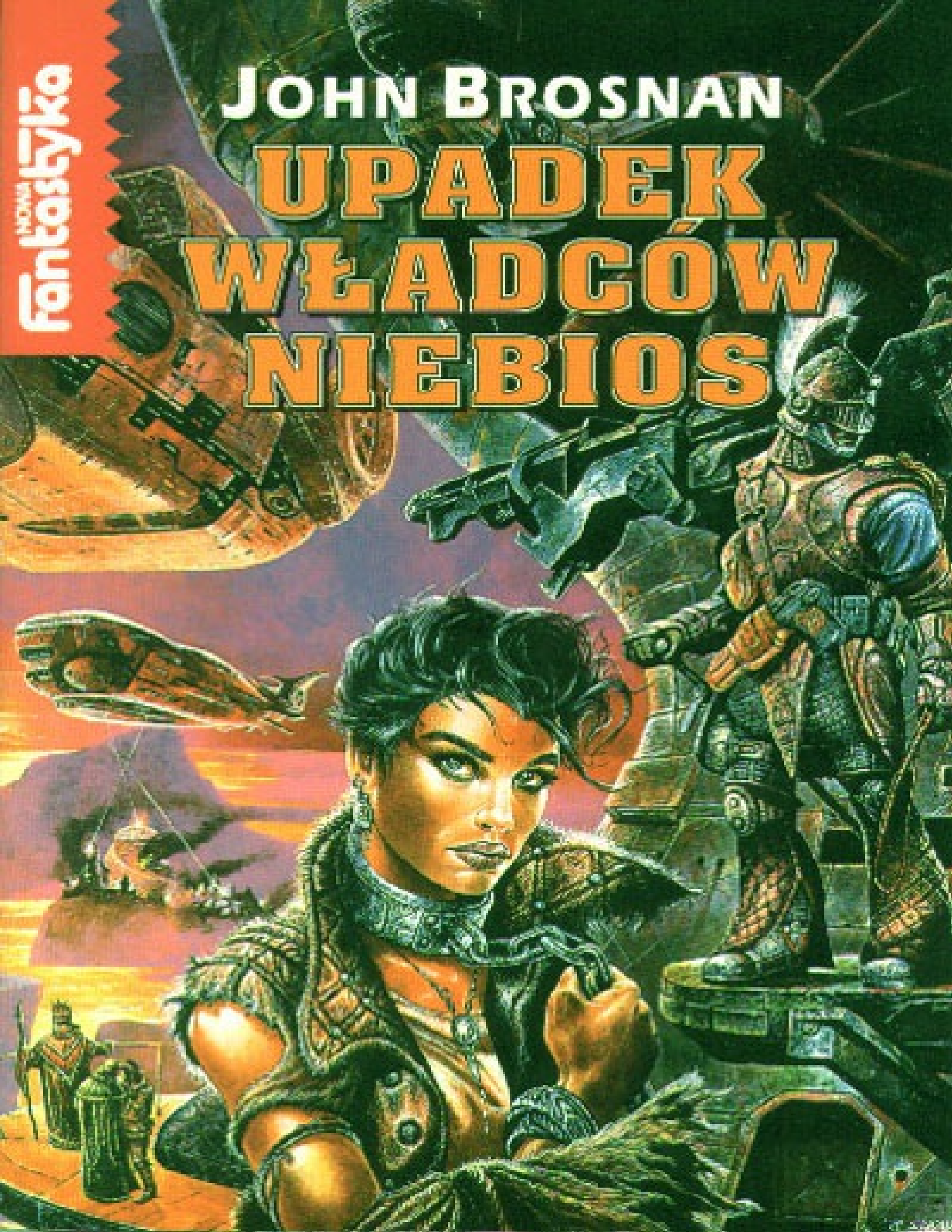


NOWA  
fantastyka

# JOHN BROSNAN UPADEK WŁADCÓW NIEBIOŚ



# JOHN BROSNAN

## UPADEK WŁADCÓW NIEBIOS

(The Fall of the Sky Lords)

Przełożyła: Hanna Pasierska



Prószyński i S-ka

1995

# Spis treści

KARTA TYTUŁOWA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI  
EPILOG

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Około 400 000 kilometrów nad powierzchnią Ziemi Milo Haze siedział samotnie w swojej celi czytając powieść fantastycznonaukową z początków dwudziestego pierwszego wieku. Natrafił na nią przypadkiem, przeglądając starożytne katalogi Centralnego Komputera. Zdumiało go, w jaki sposób aż do tej pory umknęła uwagi ojców. Nie dlatego, niestety, że była szczególnie nieprzyzwoita, ale dlatego, że Komitet Ojców już dawno obłożył klątwą a następnie wykasował wszystkie materiały literackie, które nie wyrażały idei ortodoksyjnych albo nie „zachęcały ducha, żeby wznosił się na wyżyny i wzbogacał przez kontemplację chwały bożej”. A to oznaczało, że wszystko, co było choćby w najmniejszym stopniu zabawne, zarówno książki, jak i wideokasety, uległo zniszczeniu. Wprawdzie powieść, zatytułowana *Trylion historii o świetle i miłości*, nie była szczególnie interesująca, ale po długiej diecie, złożonej z podręczników technicznych i traktatów religijnych, Milo uznał ją za miłą odmianę. Powstała w erze, którą określano później ironicznie jako Wiek Optymizmu. W tamtych czasach rzeczywiście wydawało się, że ludzkość ma do niego wszelkie prawo. Dwudzieste stulecie, najplugawsze ze wszystkich, dobiegło kresu; świat nie skończył się z nadejściem drugiego milenium, Stany Zjednoczone i nowa Rosja zawarły sojusz, a naukowcom udało się w końcu pokonać AIDS. I wszystko wskazywało na to, że będzie jeszcze lepiej, dzięki nauce generalnie, a mikrobiologii w szczególności. To właśnie z

powodu osiągnięć w nauce i technice erę tę zaczęto również nazywać Drugim Wiekiem Rozumu. Pod koniec dwudziestego stulecia nastąpił z jednej strony gwałtowny wzrost zainteresowania najróżniejszymi dziwacznymi praktykami – jak astrologia, New Age, homeopatia, spirytyzm, okultyzm, medycyna holistyczna, „naturalna” żywność, reinkarnacja, UFO i polityka „zielonych”, żeby wymienić chociaż niektóre – a z drugiej – wzrost fundamentalizmu w obrębie istniejących religii. Ale w początkach XXI wieku przesąd na krótko dał wytchnąć ludzkości i wydawało się, że w końcu uda się pokonać gnębiące ją plagi: choroby, głód i nawet starość. Nauka osiągnęła cele, jakie sobie stawiała, a ludziom, którzy się nią zajmowali, oddawano cześć niemal boską. A potem nadeszły Wojny Genetyczne... Wojny nie zostały wywołane przez naukowców, lecz ich przełożonych: przywódców państw i tych, którzy zawiadywali wszechpotężnymi w owym czasie Korporacjami Genetycznymi. Ludzi takich jak Milo.

Rozbawił go fakt, że akcja pierwszej części powieści rozgrywa się w osiedlu orbitalnym podobnym do tego, w którym mieszkał. Przynajmniej pod względem budowy. Oba były wirującymi bulwiastymi cylindrami długości około sześciu kilometrów. Osiedle opisane w książce stanowiło bazę budowniczych potężnego statku kosmicznego, który konstruowano w odpowiedzi na tajemnicze sygnały z centrum Galaktyki. Budowniczowie byli grupą młodych, idealistycznych, kochających wolność nieśmiertelnych, w przeciwieństwie do ludzi, z którymi Milo dzielił życie w swoim osiedlu, Belvedere: fanatycznych fundamentalistów chrześcijańskich, pełnych seksualnych zahamowań, spowodowanych przez sztywny kodeks moralny, którzy irytowali go w najwyższym stopniu.

Chociaż Milo rozumiał, jak doszło do tej sytuacji, nie stawała się ona przez to łatwiejsza do zniesienia. Wiedział, że mieszkańcy pozaziemskiej kolonii, odcięci od macierzystego świata, musieli przestrzegać ścisłych reguł, żeby przeżyć. W przestrzeni kosmicznej śmierć jest bliskim towarzyszem. Wystarczy nieostrożny czyn jednego tylko człowieka, by wystawić na niebezpieczeństwo całe osiedle. Fundamentalizm religijny stanowił skuteczny sposób narzucenia sztywnego kodeksu zachowań. Dodatkowym czynnikiem był uraz emocjonalny odziedziczony po pierwszych mieszkańcach Belvedere z czasów Wojen Genetycznych. Ziemię opanowała zaraza i różne monstra skonstruowane przez człowieka. Z pomocą swojej nauki ludzie zniszczyli planetę. Chrześcijanie zamieszkujący Belvedere rozgłosili wieść, że obowiązkiem ocalonych jest odpokutować przed Bogiem za ten potworny grzech, a w gorącej atmosferze tego okresu idea szybko się przyjęła. Milo dobrze pamiętał tamte czasy, czy raczej pamiętało je jego prawdziwe „ja”. On sam korzystał jedynie z owych wspomnień.

Dokończył książkę. Wyłączył projektor, usiadł z powrotem na twardym krześle i potarł oczy. Szkoda, że tajemnicza nieziemska potęga okazała się w końcu przyjazna. Wolałby trochę więcej krwi i przemocy. Pochylił się do przodu, przez terminal poinformował CenCom o istnieniu powieści i poprosił, żeby komitet cenzorów zwrócił na nią uwagę. Robił to niechętnie, bo z pewnością zostanie skasowana, ale nie miał wyboru. CenCom rejestrował wszystko, z czego Milo korzystał, i gdyby tego nie zrobił, komputer sam poinformowałby ojców. Sprawdził czas. Penitentka powinna zjawić się za kilka minut. Czekał na nią z niecierpliwością. Tego rodzaju sesje były jednym z jego

nielicznych źródeł przyjemności w Belvedere. Pozostałe stanowiły: jedzenie i marzenia na jawie. Alkohol i inne środki odurzające były, oczywiście, zakazane.

Przybyła punktualnie. Wiedział, że tak będzie. Weszła z pochyloną głową, ubrana w nieunikniony ciemnoniebieski workowaty habit. Milo wyprostował się na krześle. Wiedział, że wygląda imponująco.

— Proszę uklęknąć, siostrze.

— Tak, bracie Jamesie – odparła spełniając polecenie.

— Niech siostra patrzy mi w oczy – rozkazał.

Podniosła głowę i niechętnie skierowała na niego wzrok. Była młoda i niemal ładna, jedna z jego najlepszych studentek. Jako opiekun naukowy był również jej spowiednikiem. Coś w rodzaju dodatku funkcyjnego. Jedynie przy takich okazjach kobieta i mężczyzna mogli się spotkać tylko we dwoje. Nie znaczyło to, że są naprawdę sami. CenCom śledził każde słowo i każdy gest. Gdyby Milo ośmielił się tknąć siostrę Annę choćby jednym palcem, wylądowałby w przestrzeni kosmicznej bez skafandra.

Kontakt fizyczny między kobietą i mężczyzną był w Belvedere zakazany od ponad stu lat. Od zasady lej odstępowano jedynie w razie największego niebezpieczeństwa. Cały proces reprodukcji odbywał się, oczywiście, w laboratorium. Nie zabraniano kontaktów między osobami tej samej płci, ale jeśli tylko nabierały one podtekstów seksualnych, podlegały szybkiej i dotkliwej karze. Zakazano również masturbacji, a ponieważ w całym osiedlu nie dało się znaleźć miejsca, gdzie można by się ukryć przed nieustannie śledzącymi czujnikami CenComu, niewielu odczuwało pokusę złamania prawa. Jeśli chodzi o mężczyzn, wzbraniano „mokrych snów”. Kara nie była w tym wypadku zbyt surowa – złożenie upokarzającego wyznania na



publicznym kanale i sześć uderzeń trzcinką w dłoń. Mila, który potrafił całkowicie kontrolować swoje reakcje, nigdy to nie spotkało, ale zarówno kary, jak i wyznania były na porządku dziennym.

— Chciała mi siostra coś wyznać? – zapytał surowo.

Jej blade policzki lekko się zaróżowiły.

— Ja... tak, bracie Jamesie.

— Słucham.

Wzięła głęboki oddech.

— Ale... to takie krępujące.

— Siostra wie, że musi mi o tym powiedzieć. I że musi być zupełnie szczerą. Niczego nie wolno zataić. Bóg patrzy i słucha. – Nie mówiąc już o CenComie, a za jego pośrednictwem, ojciec. – Znowu miałam nieczyste myśli. Próbowałam je opanować, ale mi się nie udało.

— Niech siostra o nich opowie.

— To było przedwczoraj w nocy. Leżałam już w koi, ale nie mogłam zasnąć. Nie miałam zamiaru myśleć o takich rzeczach. To było prawie jak sen... Nic na to nie mogłam poradzić. – Niech siostra nie kłamie – ostrzegł. – Chciała siostra o tym myśleć.

— Nie – zaprotestowała, podnosząc głos.

— Wiem dobrze, że tak. A teraz proszę mi opowiedzieć, o czym siostra myślała.

— To był mężczyzna. Wszedł do dormitorium i skierował się prosto do mojej koi. Nie widziałam jego twarzy, ale kiedy podszedł bliżej zobaczyłam, że nie ma na sobie ubrania... – I co siostra wtedy poczuła?

— Byłam przerażona.

— Mówiłem, żeby siostra nie kłamała.

— ...i podniecona – dodała pośpiesznie. – Wcale nie chciałam,

ale nic na to nie mogłam poradzić.

Milo pochylił się w jej stronę i wzmacnił dziesięciokrotnie wydzielanie feromonów. Wkrótce powietrze w celi przesycały potężne chemiczne przekaźniki. Nie musiał długo czekać na reakcję dziewczyny. Jej twarz mocno się zaczerwieniła, zaczęła gwałtownie oddychać.

— I co dalej? – ponaglił.

— Podeszedł do mojej koi. I wtedy zobaczyłam, że ta... rzecz sterczy mu...

— Jest siostra studentką medycyny. Zna siostra prawidłową nomenklaturę.

— Mmm... penis.

Z trudem opanował śmiech. Biedna dziewczyna. Wiedziała o istnieniu męskich genitaliów i dawnych, zakazanych obecnie sposobach prokreacji tylko dlatego, że studiowała medycynę. Większość mieszkańców Belvedere była całkowitymi ignorantami w sprawach dotyczących seksu. Mieli normalnie rozwinięty popęd płciowy i żadnego sposobu, żeby go zaspokoić.

— Co dalej?

Oczy miała teraz półprzymknięte, oddychała szybko i płytko. – Ściągnął ze mnie prześcieradło... aż do samego dołu. Potem... złapał brzeg mojej koszuli nocnej i podciągnął ją w górę, pod szyję, odsłaniając nogi... mój... mój brzuch... piersi... – Leżała przed nim siostra zupełnie naga?

— Tak...

— I nie próbowała krzyknąć ani uciekać?

— Nie, bracie Jamesie.

— Co było potem?

— Położył ręce na moich udach i rozłożył je na boki. Potem wdrapał się do koi i... ukląkł między moimi nogami. Dotykał

mnie... – Zadrzała.

— Proszę mówić dalej.

— Nie przestawał mnie dotykać w różnych miejscach. Potem położył się na mnie, przycisnął mocno... i równocześnie wepchnął swój... penis... we mnie... i... – Oczy miała teraz zupełnie zamknięte. Milo jeszcze zwiększył produkcję feromonów. – Poruszał się... w przód i w tył, w przód i w tył...

Nieźle, jak na kogoś, kto zna akt seksualny jedynie z paru krótkich, chaotycznych i celowo niejasnych wykładów, pomyślał Milo.

— Co siostra wtedy czuła? Sprawilo to siostrze przyjemność? Oddychała bardzo szybko, dyszała. Czuł zapach jej potu. Mógł go niemal posmakować.

— Tak... tak.

— I czuje siostra przyjemność teraz, kiedy to sobie przypomina, prawda? Wszystko siostra dokładnie pamięta... – Tak! Tak! TAK! – odrzuciła głowę do tyłu i zadrzała. – Och! Ochchch! – Bezskutecznie starała się stłumić orgazm. Dygotała jeszcze przez kilka minut. Milo patrzył ze srogim wyrazem twarzy, ale w duchu uśmiechał się tryumfalnie.

Kiedy dreszcze minęły, pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Na podłogę kapały łzy.

— Bardzo mnie siostra rozczarowała – powiedział chłodno – Wie siostra, co to znaczy, prawda?

— Tak, bracie Jamesie – głos dochodził stłumiony przez dłonie. – Publiczna spowiedź, ostra nagana od przełożonej dormitorium i co najmniej dwa tygodnie w izolatce.

— Wiem, bracie Jamesie. Przepraszam. Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

— Za późno na przeprosiny. Będę zmuszony poinformować o

tym przełożonych. Niech siostra wraca do dormitorium i czeka na decyzję.

— Dobrze, bracie Jamesie – podniosła się z kolan i nie patrząc mu w oczy, pośpieszyła do swojej celi.

Kiedy drzwi się za nią zasunęły, Milo musiał ze wszystkich sił walczyć z pokusą, żeby się nie uśmiechnąć. Zapach siostry Anny unosił się w powietrzu. Wszystko poszło wspaniale. Zgwałcił ją tuż pod nosem przeklętych czujników CenComu. Co prawda, nie dotknął jej, ale z całą pewnością był to gwałt.

Próbował sobie przypomnieć, ile czasu minęło, odkąd kochał się z kobietą. Ponad sto lat. Naprawdę długa przerwa w pieprzeniu. Ostatni raz robił to ze swoją ówczesną żoną, Ruth, jeszcze przed wprowadzeniem dekretu o zakazie stosunków seksualnych. Teraz Ruth już nie żyła. Jakies dwadzieścia lat temu osiągnęła wyznaczoną dla Głównego Wzorca granicę dwustu lat, potem udało się jej przeżyć jeszcze trzy, co stanowiło całkiem niezły wynik. Szkoda, że musiała tkwić w tej dziurze. Co prawda, i tak dostała pod koniec kompletnego fioła na punkcie religii.

Milo spędził w Belvedere w sumie dwieście osiemdziesiąt lat, mimo że jego fizyczny wiek wynosił dopiero sto sześćdziesiąt. Oczywiście, pierwszych sto dwadzieścia przeżył w ciele prawdziwego Mila Haze'a, a z kolejnych piętnastu nie miał żadnych wspomnień. Wszystko przez dorastanie...

W tamtych czasach zostawienie swojego klonu w Belvedere przed wyruszeniem na wyprawę do kolonii marsjańskich wydawało się dobrym pomysłem. Przybywając do osiedla po Wojnach Genetycznych jako uchodźca, Milo posługiwał się dokumentami na fałszywe nazwisko, ale podany w nich wiek, czterdzieści osiem lat, odpowiadał prawdzie. Kiedy minęło sto dwadzieścia lat i wkroczył w ostatnie pół wieku swego

zaprogramowanego na dwa stulecia życia, zaczął się niepokoić. Ponieważ Milo Haze był nieśmiertelny. I gdyby nie umarł zgodnie z planem, to znaczy między swoimi dwóchsetnymi i dwieście piątymi urodzinami, zostałyby natychmiast stracony. To samo stałoby się zresztą, gdyby odkryto jego prawdziwe nazwisko.

Tak więc „prawdziwy” Milo Haze zaczął układać plany. Na ochotnika zgłosił się do udziału w wyprawie na Marsa, wiedząc, że z niej nie wróci. Zamierzał w czasie lotu wymordować pozostałych członków załogi i przybrać tożsamość najmłodszego z nich. Następnie, już na Marsie, chciał poprosić o azyl polityczny. W związku z tym, że Belvedere i kolonie od wieków znajdowały się w stanie konfliktu, nie obawiał się odmowy.

Na miesiąc przed planowanym odlotem wybrał kobietę – jakąś Carlę Gleick, pracownicę stacji odzysku wody – o której wiedział, że właśnie ma swój rok płodności. Było to na długo, zanim nadzór CenComu stał się całkowity, więc bez większych trudności wkradł się do laboratorium, kiedy miała samotny dyżur, naszpikował ją narkotykami i zapłodnił swoim klonem. Obecny Milo nie mógł, oczywiście, tego pamiętać – jego wspomnienia kończyły się na czterdzieści osiem godzin wcześniej – ale wiedział, że miał zamiar tak zrobić, a sam fakt jego istnienia był dowodem, że plan szczęśliwie się powiódł.

Z kolejnych piętnastu lat nie miał żadnych wspomnień. Potem pewnego dnia obudził się w szpitalnym łóżku. Przez dłuższy okres, wypełniony poczuciem zagubienia i dezorientacji, powoli dochodził do zrozumienia tego, co się stało. Wtedy właśnie zaczął żałować decyzji o pozostawieniu swojej „sadzonki” w Belvedere. Wiedział, że klon zachowa jego wspomnienia, nie przyszło mu jednak do głowy, że nim będzie. On miał lecieć na Marsa, a nie

siedzieć w rojącem się od fundamentalistów osiedlu jak w pułapce. Oczywiście, poleciał do kolonii. Technicznie nie był Milem Haze'em. Kłopot polegał na tym, że wydawało mu się, iż jest.

Twierdząc, zgodnie z prawdą, że cierpi na amnezję, poskładał z okrucich informacji ostatnich piętnaście lat. Jak się okazało, mąż Carli Gleick był bezpłodny, i mimo jej upartych zaprzeczeń uznano ją za winną cudzołóstwa i skazano na śmierć. Milo nie wiedział o bezpłodności jej męża, chociaż w Belvedere i innych osiedlach, w związku z nieszczelnością tarcz chroniących przed promieniowaniem kosmicznym, był to częsty przypadek. Zresztą, nawet gdyby wiedział, nie zrobiłoby mu to większej różnicy.

Milo, czy raczej James Gleick, wychowywał się w rządowej ochronce. Zgodnie z informacjami, które znalazł w swoich aktach, był normalnym dzieckiem, tyle tylko że rozwijał się niezwykle szybko. Łagodny i posłuszny, młody James był wzorowym Belvederianinem i rzadko trzeba go było przywoływać do porządku. Już jako kilkunastolatek zaczął przejawiać zdolności do medycyny. Właśnie podczas ćwiczeń, trzy tygodnie wcześniej, nagle załamał się nerwowo. Ani lekarze, ani jedyna w osiedlu maszyna medyczna nie byli w stanie wyjaśnić przyczyn śpiączki, w którą następnie zapadł. Milo zdecydował się kontynuować medyczną karierę Jamesa Gleicka. Jako były szef Korporacji Genetycznej nie spodziewał się większych trudności. Wręcz przeciwnie, mógł mieć kłopoty z ukryciem swojej wiedzy. Postanowił też, że pozostanie ideałem obywatela Belvedere, chociaż osobowość, która zamieszkiwała teraz w ciele Jamesa Gleicka, w niczym nie przypominała pierwotnej. Zmiana ta odbiła się też na jego wyglądzie. W ciągu paru miesięcy wypadły mu wszystkie włosy, a jedno z oczu,

początkowo niebieskie, zmieniło kolor na zielony. Przeklinał teraz zarozumiałstwo prawdziwego Mila. Dość szybko zauważono jego podobieństwo do jednego z uczestników ekspedycji marsjańskiej. Od czasu swego przybycia do osiedla Milo występował pod nazwiskiem Victor Parrish, stało się więc teraz jasne, z kim zgrzeszyła Carla Gleick. Na szczęście ojcowie Belvedere nie karali dzieci za winy rodziców. Poza tym, wszyscy byli przekonani, że Parrish zginął razem z innymi podczas pechowej wyprawy na Marsa. Jedyny ocalały nazywał się Len Grimwod. Milo podejrzewał, że takie nazwisko przyjęło jego prawdziwe „ja”: plan wymordowania pozostałych członków załogi najwyraźniej się powiódł. Pamiętał, że jego alter ego wybrało Grimwoda, ponieważ ten miał dopiero trzydzieści siedem lat. Jeśli tak, znaczyło to, że oryginał znowu zbliżał się do „niebezpiecznego wieku”. Milo zastanawiał się – choć bez większego zainteresowania – w jaki sposób tym razem ukryje on swoją nieśmiertelność. On sam, o sto czterdzieści pięć lat bardziej znudzony mimo licznych cichych zwycięstw (jak choćby to, które odniósł dzisiaj), wkrótce stanie przed tym samym problemem. Kiedy skończy sto sześćdziesiąt lat, będzie musiał zacząć myśleć o wydostaniu się z Belvedere. Możliwości miał ograniczone: jedno z pozostałych trzech osiedli albo kolonie na Marsie. Wolałby Marsa, ale nawet gdyby jakoś udało mu się tam dotrzeć – a nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby tego dokonać – nie uniknąłby spotkania ze swoim drugim „ja”, o ile jeszcze żyło, a nie spodziewał się miłego przyjęcia. Dwaj identyczni mężczyźni, obaj zupełnie łyси i z oczyma w różnych kolorach, zwracaliby na siebie powszechną uwagę. Tak czy inaczej, miał jeszcze kilka lat na podjęcie ostatecznej decyzji.

Ucieczka z Belvedere była obecnie trudniejsza niż w dawnych

czasach. Na belvederskie statki, kursujące między osiedlami, wstęp miała jedynie specjalnie wyszkolona klasa ludzi. Ponieważ regularnie kontaktowali się z mniej świętymi mieszkańcami innych osiedli, izolowano ich od pozostałych obywateli Belvedere, żeby uchronić tych ostatnich przed zbrukaniem. Na dodatek byli eunuchami. To właśnie z tego powodu Milo odkładał próbę ucieczki do czasu, kiedy będzie ona absolutną koniecznością. Musiał znaleźć sposób na ominięcie tego problemu.

Wysłał do CenComu raport na Bogu ducha winną siostrę Annę, a potem jeszcze raz sprawdził godzinę. Prawie pora na obiad. Wstawał właśnie z krzesła, kiedy jego terminal wydał głośne buczenie. Na monitorze ukazała się twarz. Milowi zaschło w ustach. Jeden z ojców. I to nie byle kto, ale sam ojciec Massie, najstarszy ze wszystkich. Ponury patriarcha Belvedere. Czego może chcieć? Czyżby CenCom przejrzał grę, jaką Milo prowadził z siostrą Anną? Czujniki wykryły podwyższony poziom feromonów? Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Gdyby Milo był zdolny odczuwać strach, umierałby z przerażenia. – Bracie Jamesie, niech się brat przygotuje na zaskoczenie – powiedział ojciec Massie, surowo spoglądając z ekranu monitora. – Słucham, ojcze, co się stało?

— Odebraliśmy sygnały radiowe z Ziemi.



## ROZDZIAŁ DRUGI

W migocącym świetle prymitywnej lampy gazowej grupka ludzi uważnie wpatrywała się w rozpostartą na stole plastikową płachtę, na której naszkicowano plany niższych pokładów *Władcy Montcalma*. W skład grupy wchodziło czterech mężczyzn i dwie kobiety. Byli ubrani w obszarpane futra. Ashley odcięła na statku zarówno oświetlenie, jak i ogrzewanie.

— A więc postanowione? – zapytał JeanPaul. Wskazał korytarz D na schemacie dolnego pokładu. – Atak nastąpi tutaj? Pozostali skinęli głowami.

— Popatrzcie tutaj, to jest najkrótsza droga do pomieszczenia sterowniczego – powiedział Claude. – Jeśli tam właśnie skierujemy główne uderzenie, Ashley nie będzie miała innego wyjścia, jak posłać do korytarza wszystkie roboty, jakie jej jeszcze zostały, żeby chronić sterownię.

— Miejmy nadzieję – westchnęła Dominique. – Jeśli w środku zostanie chociaż jeden, kiedy JeanPaul tam dotrze... Mężczyzna uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy, mimo że w duchu obawiał się tego samego.

— Na pewno tak zrobi – powiedział najbardziej przekonująco, jak potrafił. – Sądząc po tym, ile ich wyeliminowaliśmy, w pełni sprawnych jest tylko dziewięć, najwyżej jedenaście. – Pod warunkiem, że dobrze oceniliśmy, ile tego cholerstwa miała na początku – dodał ponuro Eric.

— Musimy założyć, że tak – stwierdził JeanPaul. Przebiegł wzrokiem po twarzach. – Wszystkie oddziały gotowe? Skinęli

głowami.

— Rzucimy do tego korytarza wszystkich i wszystko – rzekł Claude. – Do diabła, mamy spore szansę, że się uda! Zebrani mruknęli aprobująco, ale JeanPaul wiedział, że nikt w to nie wierzy. Mieli doświadczenie w walce z pajakami. W wąskim, ciasnym korytarzu nawet pojedynczy pajak był w stanie urządzić prawdziwą jatkę. JeanPaul wyprostował się. Dość tych rozważań. – Bierzmy się do roboty – powiedział.

Kiedy pozostali po kolei opuszczali niewielkie pomieszczenie, Dominique podeszła do niego.

— Boisz się? – zapytała cicho.

— Nawet nie pytaj – delikatnie przeciągnął palcem po jej policzku. Ujęła jego dłoń.

— Ja też się boję – przyznała – że cię już nigdy nie zobaczę. – Proszę – odparł z wymuszonym uśmiechem. – To nie wpływa zbyt korzystnie na moje morale.

— Przepraszam – pocałowała go i mocno przytuliła. Po chwili wysunął się z jej objęć.

— Muszę już iść. – Odwrócił się, żeby pozbierać ekwipunek. Wyszli razem. Na zewnątrz czekał Claude z wielkim zwojem liny w rękach. – Lepiej poszukaj swojego oddziału.

Skinęła głową, posłała mu ostatnie, pełne uczucia spojrzenie i odeszła z pośpiechem. JeanPaul i Claude szybkim krokiem ruszyli w swoją stronę, w kierunku niewielkiego odkrytego pokładu w dolnej części kadłuba. JeanPaul drżąc z zimna wyszedł na pokład. Starał się nie myśleć o przerażającym zadaniu, które go czekało. Jeśli mu się nie powiedzie, walka będzie skończona. Chociaż udało im się opanować znaczną część sterowca, ciągle pozostawał on pod kontrolą Ashley, obłąkanego programu komputerowego. W miarę jak zdobywali coraz to

nowe korytarze i pomieszczenia, niszczyli jej czujniki, lecz mimo to wciąż jeszcze zawiadywała pracą podstawowych urządzeń na statku. W przypiływie złości w każdej chwili mogła roztrzaskać *Władcę Montcalma* o pierwszą napotkaną górę. Dlatego należało ją zniszczyć. Jak długo istniała, ludzie na pokładzie znaczyli nie więcej niż pchły na skórze jakiegoś ogromnego zwierzęcia. JeanPaul wychylił się za burtę. Lecieli na dużej wysokości, co tłumaczyło, dlaczego zrobiło się tak zimno. Warstwa chmur przesłaniała widok na Ziemię. Poczul lekkie mdłości, ale dziarsko uśmiechnął się do Claude'a.

— Będzie dobrze!

Claude pomógł mu założyć uprzęż i sprawdził wiązania prowizorycznych raków, które JeanPaul miał przyczepione do dłoni i stóp. – Jak już dotrzesz na miejsce, szarpnij trzy razy. – Wiem, wiem, nie musisz mi mówić. To był przecież mój plan, nie pamiętasz?

Claude wyglądał na urażonego i JeanPaul natychmiast pożałował swoich słów. Podobnie jak on, musiał mieć nerwy napięte do ostateczności.

— Nie martw się – powiedział. – Dam sobie radę. Spojrzał w górę, na zakrzywioną powierzchnię kadłuba. Wszędzie, gdzie to było możliwe, kamery Ashley zostały starannie zamalowane. Tam, gdzie zamierzał się dostać, niestety nadal były sprawne. Będzie je musiał omijać. Wziął głęboki oddech, poprawił gogle i przeszedł przez reling. Claude przywiązał drugi koniec liny do słupa i stał, gotowy popuszczać ją w miarę, jak JeanPaul będzie schodził coraz niżej.

— Kiedy się to wszystko wreszcie skończy, zalejemy się w trupa – powiedział JeanPaul, potem opuścił się w dół i spróbował wbić stopę w zaokrąglony kadłub.

Bez skutku. Zewnętrzne poszycie nie było co prawda z metalu, ale bardzo twarde. Spróbował ponownie. Tym razem zaostrzony kolec raka przebił poszycie. Kolej na drugą stopę. Udało się. Wiedział z wcześniejszej praktyki, że czeka go długa i wyczerpująca wędrówka.

— *Au revoir!* – zawołał do Claude'a, zanim zniknął pod pokładem. Próbował opróżnić swój umysł z wszelkich myśli i mechanicznie powtarzając te same ruchy posuwać się w dół. Uwolnić lewą rękę i wbić znowu, wyszarpnąć prawą stopę i wbić z powrotem, wyszarpnąć prawą rękę i zaczepić kawałek dalej...

Co parę chwil zatrzymywał się i rozglądał w poszukiwaniu czujników. Kiedy jakiś zobaczy, będzie musiał go okrążyć przed podjęciem dalszej wędrówki. Kadłub był mocno zakrzywiony i już wkrótce zacznie się posuwać głową w dół, jak mucha po suficie. Czuł, jak siła grawitacji coraz mocniej ściąga jego ciało, czuł, jak rośnie obciążenie na hakach, stanowiących jego jedyny, niepewny uchwyt. Mimo zimna twarz miał zlaną potem; w końcu musiał się zatrzymać i zsunąć gogle na czoło, ponieważ zupełnie zaparowały. Wiedział, że jeśli odpadnie, zawiśnie na linie i Claude wciągnie go z powrotem na pokład, ale to oznaczałoby odwołanie akcji, bo nie miałby dość sił, żeby powtórzyć wędrówkę w dół kadłuba.

Przeżył chwilę grozy, kiedy natknął się na dwa czujniki naraz i aby je ominąć, zmuszony był wybrać drogę między nimi i przejść nad niewielką szklaną kopułką, w której mieścił się laser. Jeśli Ashley go odkryła, jego los był przesądzony. Wydawało się, że przejście tych paru stóp trwa całą wieczność; na szczęście wewnątrz lasera pozostało martwe, gdy je mijał.

Zatrzymał się znowu, żeby spojrzeć w dół. Tuż poniżej zakrzywionego kadłuba dostrzegł pomieszczenie sterownicze.

Czas na umówiony sygnał. Oswobodził jedną rękę – wydawała się ciężka jak ołów – i mocno szarpnął linę trzy razy. Spojrzał na zegarek. 12:30. Teraz musi poczekać.

Z góry doleciał go jęk alarmów przeciwpożarowych, włączonych przez Claude'a jako sygnał do ataku dla wszystkich oddziałów. Wkrótce rozpocznie się bitwa o korytarz D.

Ręce i nogi miał obolałe z wysiłku, twarz i palce zdrętwiały mu z zimna. Zastanawiał się, czy zdoła sobie poradzić z dalszą wędrówką, kiedy nadejdzie pora. Niecierpliwie odczekał dziesięć minut, po czym podjął wędrówkę głową w dół, w poprzek kadłuba. Ciekaw był, jak się mają sprawy w korytarzu.

Na koniec dotarł do sterowni, przekręcił się i zajrzał do wnętrza. Odetchnął z ulgą. Ani jednego pająka. Musi się spieszyć. Ashley mogła go już dostrzec i być może właśnie zbiera posiłki. Z trudem odczepił jedną z bomb przypiętych do uprząży, wcisnął jej woskową podstawę w szparę w miejscu, gdzie sterownia łączyła się z kadłubem sterowca i wyciągnął zawleczkę. Potem najszybciej jak mógł zaczął pełznąć do tyłu. W pośpiechu zbyt słabo wbił kolce jednej ręki i przeżył chwilę grozy, kiedy się ześlizgnęła. Gdyby nie druga ręka, odpadłby od poszycia.

Udało mu się dotrzeć na tył sterowni. Umieszczone na kadłubie lasery błyskały, nie wyrządzając mu szkody. Kąt był zbyt ostry, żeby go mogły osiągnąć. Ashley, która z pewnością już go zauważyła, zaczynała wykonywać rozpaczliwe, irracjonalne posunięcia. Dobry znak.

Chrump! Eksplozja nie była głośna, ale mimo to wydawała się potężna. JeanPaul wrócił wzdłuż burty sterowni. Została mu jeszcze tylko jedna bomba – były zbyt ciężkie, żeby mógł zabrać trzecią, na wypadek gdyby pierwsza nie przebiła burty...

Przekonał się jednak, że obawy się nie sprawdziły. W ścianie

sterowni ziała wspaniała, wielka dziura. Kiedy znalazł się bliżej, usłyszał świst wylatującego przez nią powietrza. Ciągle ani śladu robotów. Doczołgał się do otworu. Uważaj, powiedział sam do siebie, nie ma pośpiechu. Szkoda byłoby popełnić teraz jakiś głupi błąd i odpaść. Ostrożnie wsunął się do środka i zeskoczył na podłogę. Kolana uginały się pod nim ze zmęczenia, nagle zakręciło mu się w głowie. Poprzez szum wiatru dochodził go piskliwy głos Ashley: – Ty łajdaku! Zabieraj się stąd w tej chwili! Nie daruję ci tego!

Wynocha!

W następnej chwili usłyszał stukot metalowych nóg. Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć jak pająk z łoskotem zsuwa się po kręconych schodach. Ciągle jeszcze oszołomiony, wyszarpnął strzelbę i wycelował. Miał tylko jeden nabój... nie wolno mu spudłować. Boże, ależ pędzi! Pociągnął za spust. Tym razem eksplozję poprzedził głośny huk. Coś ze świstem przeleciało mu obok twarzy, oczy zaczęły łzawić. Kiedy znowu mógł widzieć wyraźnie, ujrzał jedynie dymiące szczątki pająka. Odpiął od uprząży drugą bombę i podszedł do komputera.

— Nie zbliżaj się do mnie, ty niewdzięczny sukinsynu! Cholerni ludzie, żadnego z was pożytku! Powinnaś była wyrzucić was na Ziemię, jak inne Ashley. Ani kroku albo zabiję wszystkich! Statek przebiegło drzenie. Zanurkował dziobem naprzód. Pokład przechylił się gwałtownie i JeanPaul niemal stracił równowagę, ale udało mu się dotrzeć do komputera. Przyczepił bombę z boku konsoli.

— No, Ashley, mam zamiar wysłać cię tam, gdzie powinnaś się była znaleźć już dawno – oświadczył z zadowoleniem, wyciągając zawleczkę. Rozglądając się za jakimś schronieniem w przedniej części gondoli słyszał jej krzyk: – Nie możesz tego zrobić! Nigdy

nie uda się wam kierować statkiem beze mnie!

— Mogliśmy to robić dawniej, możemy i teraz! – zawołał nurkując pod jeden z foteli, które kiedyś zajmowali sternicy. I w tym momencie znowu usłyszał stukot. Wyjrzał zza oparcia. Po schodach pełzły kolejne dwa pająki. Ledwie znalazły się na dole, bez wahania ruszyły w stronę jego kryjówki. Pochylił głowę, czekając, co będzie pierwsze: pająki czy wybuch.

Eksplozja w zamkniętym pomieszczeniu była ogłuszająca. Kiedy podniósł głowę i znowu wyjrzał zza fotela sternika, w uszach mu dzwoniło, a oczy zaszyły łzami od dymu, który natychmiast wypełnił wnętrze sterowni. Konsola, rozdarta wybuchem, wyglądała jak otwarta puszką, z jej wnętrza wydobywał się dym. Oba pająki ześlizgnęły się po podłodze i uderzyły w komputer. Nie poruszyły się więcej. Upiór martwej od dawna Ashley został w końcu wygnany z maszyny. JeanPaul wyprostował się z trudem i rozejrzał dokoła. Wnętrze sterowni wyglądało jak pobożowisko. Zniszczenia były ogromne. Miał nadzieję, że stare pulpity sterownicze nie zostały uszkodzone, ale musiał poczekać na przybycie specjalistów, żeby uzyskać pewność. Pokład ciągle był nachylony pod ostrym kątem. Ashley, nim zginęła, wprowadziła statek w lot nurkowy. Wyjrzał na zewnątrz, ale nic nie zobaczył; znajdowali się już w warstwie chmur. Z góry dobiegł go gwar podnieconych głosów. Okrzyki. Potem tupot kroków na kręconych schodach. Do wnętrza zaczęli napływać ludzie. Jego wzrok prześlizgiwał się po pokrytych sadzą, a nierzadko i krwią twarzach w poszukiwaniu Dominique, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. Zauważył za to Erica i Marcela. Podeszli, uśmiechając się szeroko. Eric wziął go w ramiona.

— Udało ci się! Ty cholerny sukinsynu, naprawdę ci się udało!  
– Aha – odpowiedział zajęty czym innym, ciągle rozglądając się

za Dominique. – Dzięki Bogu, wszystko poszło według planu. Jak było na górze?

— Istna jatka. Pająki zrobiły z nas miazgę. Właśnie się wycofywaliśmy, kiedy usłyszeliśmy drugi wybuch i nagle wszystkie stanęły – relacjonował Marcel.

— A Dominique?

Wymienili spojrzenia. Wypadło na Erica.

— Przykro mi, JeanPaul – powiedział. – Miała pecha. Ale nie cierpiała długo. W parę sekund było po wszystkim. Byłem przy tym.

JeanPaul wziął długi oddech i odwrócił się plecami. Miał wrażenie, jakby sterownia rozplynęła się nagle, a on sam spadał gdzieś w dół. Potrząsnął głową. Zobaczył, że inżynierowie już przybyli i właśnie zabierają się do pracy przy pulpitych sterowniczych. Podszedł do nich.

— Dacie radę to uruchomić? – spytał głosem, który wydał mu się zupełnie obcy.

Jeden z nich obrócił się do niego.

— Nie ma sprawy, JeanPaul – odparł z uśmiechem. – Jak tylko odłączymy okablowanie komputera, możemy przejąć bezpośrednią kontrolę. To kwestia minut. Ciężko będzie przejść na ręczne sterowanie, ale... – wzruszył ramionami.

JeanPaul tępo wpatrywał się w szare chmury na zewnątrz. Widział jedynie twarz Dominique. Drgnął, kiedy ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Eric.

— Współczuję ci z powodu Dominique – powiedział. – Ale masz też powód do radości.

— A niby jaki? – spytał gorzko.

— No jak to? Zostałeś przecież Władcą Niebios.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Niełatwo było zmienić stare nawyki, szczególnie jeśli się miało tyle lat, co Lon Haddon. Wysoki, smukły, ogorzały mężczyzna w wieży obserwacyjnej, lustrujący niebo przez silną lornetę, skończył niedawno dwieście lat. Jak zwykle uważnie przeczesywał horyzont nad powierzchnią morza, mimo że od ostatniego pojawienia się miejscowego Władcy Niebios, *Pachnącego Wietrzyka*, upłynęło kilkanaście lat.

Kiedy przez rok statek nie zjawił się, żeby dopełnić szarpiącej nerwy ceremonii odebrania haraczu, mieszkańcy Palmyry zgodnie doszli do wniosku, że coś się musiało stać. Mieli nadzieję, że spotkała go katastrofa, być może został zniszczony podczas huraganu. Część umysłu Haddona też w to wierzyła, ale równocześnie pamiętał, jak przebiegły i bezlitosny potrafił być Horado, dowódca *Pachnącego Wietrzyka*, i wątpił, czy ktoś taki mógł ulec siłom przyrody.

Poza tym, na świecie istnieli jeszcze inni Władcy i wcześniej czy później któryś mógł przybyć, żeby wypełnić lukę, powstałą po zniknięciu *Pachnącego Wietrzyka*. Gdyby jednak do tego doszło, agresora i jego załogę czeka niemiła niespodzianka. Chwila wytchnienia, którą zawdzięczali Władcy Horado, pozwoliła mieszkańcom Palmyry zebrać siły i wynaleźć środki, za pomocą których – mieli nadzieję – uda się im zniszczyć Władcę Niebios.

Lon zniżył lornetę i przebiegł wzrokiem schludne ulice rozpościerającego się przed nim miasta. Patrząc na solidne

bielone budynki, zbudowane głównie z drewna i cegły, na bujne tropikalne ogrody, czuł cichą satysfakcję. Tak wiele udało się im osiągnąć w ciągu tych lat, mimo zarazy, zagarniającej wciąż nowe obszary... i wysiłków Władcy Horado.

Nawet za jego rządów Palmyra nie odsłoniła prawdziwego oblicza. Widok, jaki przedstawiała oczom swego napowietrznego władcy, miał niewiele wspólnego z rzeczywistością, jej społeczność była bowiem o wiele liczniejsza niż się wydawało. Przez długi czas przyciągała jak magnes uchodźców zarówno z wysp, jak i z głębi lądu, ale żeby utrzymać ten fakt w tajemnicy, wielkim nakładem sił wybudowano pod ziemią obszerne pomieszczenia, gdzie znaleźli oni zakwaterowanie... i zatrudnienie. To ostatnie stanowiło drugi sekret Palmyry: była o wiele bardziej zaawansowana technicznie niż przeciętne naziemne osiedle.

Miasto leżało na wschodnim wybrzeżu wielkiego półwyspu w północnej części kontynentu-wyspy, zwanego w przeszłości Australią. Sam półwysep wchodził kiedyś w skład stanu Queensland. Nazwę zmieniono później na Noshiro, kiedy Australia była zmuszona oddać go Japończykom jako część zapłaty za obronę w czasie nieudanej próby inwazji podjętej przez Indonezję w początkach XXI wieku. W zamierzonych czasach w sąsiedztwie Palmyry znajdowało się spore miasto Cairns (nazwane potem przez Japończyków Masuda), ale do dnia dzisiejszego nie zostało po nim śladu. Kłapa w podłodze wieży zaczęła się podnosić. Lon odwrócił się i patrzył, jak do środka wdrapuje się Lyle Weaver. Podobnie jak Lon, był jednym z sześciu władców Palmyry, kolejno sprawujących władzę w sześcioletnich kadencjach. Kadencja Lyle'a trwała prawie od roku, Lon musiałby czekać na swoją jeszcze jedenaście lat, ale do

tego czasu od dawna nie będzie go już wśród żywych.

— Wiedziałem, że cię tutaj znajdę – wysapał Lyle. Wspinaczka była męcząca. – Nie rozumiem, czym się tak niepokoisz. Nasz radar jest co prawda prymitywny, ale jednak działa. – Wiem, wiem – odparł Lon ze znużeniem. – Taki już jestem.

Znasz mnie przecież.

Lyle podszedł bliżej, podciągając sarong na lekko zaokrąglonym brzuchu, i oparł się o poręcz obok Lona.

— Oj, znam. Nadal źle sypiasz?

— Tak – przyznał Lon. – Zeszłej nocy ledwo udało mi się przespać dwie godziny.

Lyle spojrzał na niego.

— Powinieneś nauczyć się godzić z losem. Walka z nieuniknionym nie ma sensu.

— W kółko mi to powtarzasz – Lon nie potrafił ukryć przepełniającej go goryczy.

— Powinieneś zaufać Bogu.

— Wiesz dobrze, jakie jest moje zdanie na ten temat. Lyle westchnął. – Tak czy inaczej, nie ustąpię. Zmuszę cię, żebyś poznał prawdę, zanim...

— Umrę? Więc się lepiej pospiesz – odparł Lon sucho. – Mogę paść trupem w każdej chwili.

— Albo równie dobrze żyć przez następnych pięć lat. – Poprawka. Przy niezwykłym szczęściu mam przed sobą jeszcze cztery lata, dziewięć miesięcy i trzynaście dni. – O, widzę, że prowadzisz ściśle obliczenia... – Zbliżanie się dwóchsetnych urodzin znakomicie wpływa na koncentrację.

— Szukasz dziury w całym, Lon. Miałeś naprawdę szczęśliwe życie... powiedzmy, względnie szczęśliwe. Spójrz, ile dobrego zrobiłeś dla Palmyry przez te wszystkie lata.

— Ale zostało jeszcze tyle spraw. Potrzebuję więcej czasu... O wiele więcej!

— Wolałbyś może żyć w dawnych wiekach, kiedy ludzie spodziewali się przeżyć najwyżej siedemdziesiąt–osiemdziesiąt lat? Spędzić ostatnie dni w ciele, które coraz bardziej odmawia posłuszeństwa? Popatrz na siebie, jesteś zdrowym człowiekiem, fizjologicznie masz nie więcej niż trzydzieści pięć lat...

— I mogę nie dożyć jutra. Kto wie, czy w przeszłości nie było lepiej. Może starcy, zamknięci w swoich zniedołężniałych, obolałych ciałach, czekali na śmierć jak na wybawienie. – Może i tak, ale ja wiem, co bym wybrał. My umieramy szybko, spokojnie i bez bólu.

— Łatwo ci mówić. Masz dopiero sto dwadzieścia lat. Poczekaj, aż będziesz w moim wieku. Szlag by trafił tych inżynierów genetyków! Nie mogli wyznaczyć mniej ostrych limitów wiekowych? – Znasz historię, Lon. Mieli szczęście, że udało się im wydłużyć czas życia do ponad dwustu lat. Przyrost naturalny był ogromny. Nawet w Złotej Erze, w połowie dwudziestego pierwszego wieku, nie starczyłoby zasobów.

Lon zaśmiał się i wskazał w głąb lądu, gdzie – poza farmami Palmyry – rozciągały się rozległe, puste połacie kontynentu. – Presja populacyjna! Co się z nią stało? Powinni byli to przewidzieć!

— Sam wiesz, że to absurd. Planeta z trudem może wyżywić tych, którzy ocaleli. I będzie jeszcze gorzej. Zaraza zajmuje coraz to nowe obszary. Spójrz na nas: z jednej strony zagraża nam zaraza morska, z drugiej – lądowa. Jeśli nie zdarzy się cud, nasz los jest przesądzony.

Na chwilę zapadła pełna przygnębienia cisza. Do wieży wleciała bzyząc pszczoła wielkości wróbla. Lon i Lyle skulili się,

żeby zejść jej z drogi.

— Dalej brak odpowiedzi na sygnały radiowe? – spytał Lon, kiedy owad poleciał dalej. Z góry wiedział, że tak. Gdyby odpowiedź nadeszła, Lyle nie posiadałby się z radości, ale pytanie stanowiło część codziennego rytuału.

— Sprawdziłem idąc tutaj. Nic. Spróbujemy na innej częstotliwości. To już parę miesięcy, odkąd uruchomiliśmy nowy nadajnik. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym na spotkaniu. Mogą być różne przyczyny: albo tam wszyscy wymarli, albo nasz sprzęt jest zbyt kiepski, żeby odebrać ich odpowiedź... albo po prostu nie chcą z nami rozmawiać.

Lyle wzruszył ramionami.

— Może być i tak, że nikt tam, na górze, nie prowadzi nasłuchu w paśmie, na którym nadajemy. Osiedla prawdopodobnie utrzymują ze sobą kontakt na ściśle określonych długościach mikrofal. Po tylu latach ciszy w eterze, kto mógłby się spodziewać sygnałów z Ziemi?

— Ale muszą wiedzieć, że ciągle jeszcze żyją tu ludzie. Z pewnością mogą dojrzeć przez teleskopy światła takich miast jak to. – Skąd wiesz, może jesteśmy ostatnią społecznością na Ziemi? – spytał Lyle. – Poza tym, są przekonani, że nie zachował się tu ani jeden nadajnik, nadający się do użytku.

— Hm, my go mamy...

— Tak, ale dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności – podkreślił Lyle.

— Chyba jednak nie aż tak wyjątkowemu... Pamiętasz tamte sygnały, kiedy uruchamialiśmy sprzęt?

— Aha, pamiętam – odparł ponuro Lyle. Odbierali tajemnicze urywki rozmów, prowadzonych na niskich, słabych częstotliwościach. Sygnały najwyraźniej dochodziły skądś z

daleka. Najbardziej zdumiewające było to, że głosy nadawców i odbiorców były identyczne. Kobięce głosy. Wydawało się, że jest ich więcej niż dwie. I wszystkie miały na imię Ashley. – Ale nie słyszeliśmy ich już od dłuższego czasu.

— To o niczym nie świadczy. Może po prostu znalazły się poza naszym zasięgiem. A to może świadczyć, jak mi się wydaje, że należały do Władców Niebios.

— Władcy z działającym sprzętem radiowym? – Lyle pokręcił głową. – Nie chce mi się wierzyć.

— A ja nie wierzę, że wysyłanie w eter sygnałów SOS gdziekolwiek nas zaprowadzi. Pokładać nadzieję w cudownym ocaleniu z nieba... – Potrząsnął głową. – Gruszki na wierzbie. Nawet jeśli jacyś ludzie przeżyli w osiedlach, to prawdopodobnie mają zbyt wiele własnych problemów, żeby chciało się im przejmować naszym losem. Jeżeli przeżyli. Prawdopodobnie jedyne, co zachowało się w tych wszystkich osiedlach i koloniach, to kupa bardzo starych kości.

— Stajesz się cynikiem i pesymistą, Lon i chociaż jest to zrozumiałe w twoim, hm, położeniu, zaczyna zaciemniać twój osąd. – Podobnie jak nadmierny optymizm zaciemnia twój – odparł Lon. – Wydaje ci się, że tam na górze rozwinęła się kwitnąca cywilizacja, sięgająca od osiedli do kolonii na Marsie. Obawiam się, że czeka cię bolesne rozczarowanie.

— To się jeszcze okaże, Lon, to się okaże... Popatrz – wskazał w stronę morza. – Łódź podwodna wraca. Może to Ayla. – Tak, na pewno – potwierdził Lon, patrząc jak brama w wewnętrznym ogrodzeniu wolno się podnosi. Chwilę później na płyciźnie pojawiła się sunąca na gąsienicach łódź. Kiedy dotarła na brzeg, pokrywa wjazdu odskoczyła i z wnętrza wynurzyła się jakaś postać. Nastawił ostrość. Tak, to była Ayla. Smukła, wysoka

kobieta w skafandrze, o czarnych, krótko ostrzyżonych włosach. Zsunęła się na ziemię i pomachała mu ręką. Z odległości nie mogła go rozpoznać, ale wiedziała, że o tej porze dnia tylko on mógł przebywać w wieży obserwacyjnej. Kiedy zaczęła zdejmować skafander do nurkowania, w otworze wjazdu pojawiła się podobnie ubrana, ale niższa i tęższa sylwetka. Juli, jej najlepsza przyjaciółka, córka Lyle'a. A za nią ciemnoskóry Kell, jeden z nielicznych Palmyrczyków, w których żyłach płynęła krew rdzennych mieszkańców kontynentu. Lon obserwował, jak zdejmują skafandry i biegną do wody, żeby splukać z siebie pot i wonie, którymi przesiąkli w gorącym wnętrzu łodzi. – Bezmyślni głupcy, jak mogli zostawić łódź na widoku! – burknął, – Powinni byli najpierw wprowadzić ją do szopy. – Przestań zrzędzić – zbeształ go Lyle. – I skończ z tym udawaniem, że ci nie zależy. Jesteś dumny jak paw, że masz taką córkę. Ta dziewczyna to skarb! Jest praktycznie niezastąpiona. Nikt nie potrafi radzić sobie z wodnymi ludźmi tak dobrze, jak ona. – Juli też jest w tym niezła – odparł Lon dyplomatycznie. – To prawda, ale nie dorównuje Ayli. Ayła świetnie potrafi się z nimi dogadać.

— Fakt – przyznał, w dalszym ciągu obserwując córkę przez lornetkę. Zrobiła się taka podobna do matki: ta sama oliwkowa skóra, te same duże, ale lekko skośne oczy – dziedzictwo po jakimś odległym japońskim przodku. Patrząc na nią czuł jednocześnie dumę i głęboki smutek. Również ze względu na nią z tak wielką niechęcią myślał o zbliżającej się śmierci. To niesprawiedliwe, byli ze sobą tak krótko. Chciał się dowiedzieć, jaka przyszłość ją czeka. I czy będzie miała jakąkolwiek...

Juli, której okrągła twarz ociekała wodą, wskazała odległą wieżę: – To twój ojciec, prawda? Jak zwykle?

Ayła z uśmiechem kiwnęła głową i chlusnęła wodą na Juli. –

Pewnie właśnie się skarży swojemu towarzyszowi, ktokolwiek to jest, że zachowujemy się jak bezmyślni głupcy, bo nie wprowadziliśmy łodzi do szopy.

— Mówiłem, żeby to zrobić – powiedział Kell poważnie. – Jesteś równie okropny jak on! – krzyknęła Ayla opryskując z kolei jego. – Całe to wasze gadanie o Władcach Niebios. Nie wierzę, że został chociaż jeden. Rozsypali się ze starości, a ich szczątki spadły na ziemię.

Szeroki uśmiech zniknął z twarzy Kella. Pokręcił głową i odwrócił się, żeby zlustrować horyzont.

— Masz rację, Aylo, jestem taki sam, jak twój ojciec. Groźba jest ciągle realna. Nawet jeśli *Pachnący Wietrzyk* nie wróci, pojawi się inny Władca. – Znowu zwrócił na nią swoje ogromne, ciemne, natarczywe oczy. – Ja to wiem, Aylo.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Jan przysiadła na piętach na pokrytej śniegiem ziemi i przyglądała się pingwinom. Pingwiny, ze swej strony, całkowicie ją ignorowały. Wszędzie wokół kwitło życie towarzyskie, nie była jednak w stanie powiedzieć, czy są to sprzeczki, czy też skomplikowane rytuały godowe. Kiedy nogi zaczęły jej cierpnąć, podniosła się wolno i przeciągnęła. Starła się nie wykonywać gwałtownych ruchów, żeby nie spłoszyć ptaków, ale zachowywały się, jakby była niewidzialna. Spojrzała w górę, w czyste, jasnoniebieskie niebo, a potem, niechętnie, w stronę *Maskotki*, zaparkowanej jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Równie dobrze może wrócić do Shangri La, zdecydowała. Ostrożnie poruszając się w tłumie pingwinów, rozmyślała o tym, że od czasów, kiedy rządili tu ludzie – nie, mężczyźni – minęło już tyle lat, że ptaki wykreśliły ich z listy swoich wrogów. – Wracamy do domu – rozkazała *Maskotce*, kiedy znalazła się w środku. – Najdłuższą drogą. – Nie było się dokąd śpieszyć. Nigdy nie było. – Jak sobie życzysz, Jan – odparła *Maskotka* i zamknęła włązy, a potem z cichym brzęczeniem błyskawicznie uniosła się w powietrze. Jan nie lubiła kobiecego głosu *Maskotki*. Za bardzo przypominał jej Ashley, mimo że wiedziała, jak bardzo się różnią: Ashley była komputerowym zapisem ludzkiej osobowości, podczas gdy *Maskotka* – „zwyczajnym” programem.

Na ekranach monitorów obserwowała, jak biała równina Antarktyki ucieka do tyłu. *Maskotka* mknęła na wysokości zaledwie kilkudziesięciu metrów. Gdzieś tam widać było

sterczące spod lodu ruiny – pozostałości ludzkich osad. W przeszłości stanowiły część potężnych urządzeń wydobywczych i górowały nad okolicą, ale teraz lód pokrył je niemal całkowicie. W końcu zupełnie znikną. Jan chętnie wydałaby *Maskotce* polecenie, żeby poleciała gdzieś dalej, ale pierwotny program komputera pokładowego został odtworzony i maszyna nie mogła opuszczać wyznaczonego obszaru, ograniczającego się do skutego lodem kontynentu i wąskiego skrawka wód wokół niego. Duże podwodne osiedle, nazwane przewrotnie Shangri La [*ukryty raj amów buddyjskich opisany w powieści Jamesa Hiltona Lost Horizon*] przez swoich mieszkańców, równie przewrotnie zwanych Ełojami [*beztroscy ludzie przyszłości, bohaterowie noweli Wehikuł czasu H.G. Wellsa*], było położone pod powierzchnią rozległego Lodowca Szelfowego Rossa. Kolonia pingwinów, którą Jan odwiedziła, leżała na wybrzeżu po przeciwnej stronie kontynentu, w miejscu zwanym Ziemią Królowej Maud w czasach, kiedy znajdowało się ono pod zarządem Norwegii, ale nawet mimo że *Maskotka* nie leciała po linii prostej, dotarła do Lodowca Rossa w niespełna piętnaście minut. Doleciała do wybrzeża, zanurkowała w morzu, a potem zawróciła pod lodem. Dopłynęła do ogromnej metalowej kuli, wewnątrz której mieściło się osiedle, i gładko wsunęła do swojego doku w podwójnej ścianie. Jan zaczęła, aż z doku zostanie wypompowana woda, i wyskoczyła na zewnątrz, ignorując uprzejme pożegnanie *Maskotki*. Wjechała windą na poziom, na którym mieściła się wspólna kwatera jej i Robina (wiedziała, oczywiście, że naprawdę ma na imię Ryn, ale dla niej już na zawsze pozostanie Robinem).

Na korytarzu minęła dwóch Ełojów trzymających się za ręce. Uśmiechnęli się do niej sennie. Rzuciła im gniewne spojrzenie.

Dokładnie tak, jak ją Robin uprzedzał, wzbudzali w niej równocześnie poczucie bezsilności i nieopanowaną furję. Zamknięci na zawsze w swoich małych, prywatnych światach, w stanie nieprzemijającej łagodnej euforii, byli towarzysko równie inspirujący jak stoły albo krzesła. Właśnie kiedy miała wejść do wspólnej kwatery, przed drzwiami zmaterializowała się komputerowa projekcja. Rozpoznała Davina, program, który Robin lubił najbardziej.

— O co chodzi? – zapytała ostro.

Uśmiechnął się do niej. – Chciałem cię uprzedzić, że Ryn właśnie śpi.

— Też mi nowina. Nie musisz się martwić, postaram się nie hałasować. Wezmę tylko prysznic i się przebiorę. Mogę już wejść? – Powinien odpoczywać tak dużo, jak to możliwe. To ważne dla jego rekonwalescencji – odparł łagodnie Davin. – Może byś posiedziała w świetlicy, póki się nie obudzi?

Jan spojrzała na niego z wściekłością. Eloje doprowadzali ją do furii, programy i tworzone przez nie projekcje równocześnie złościły ją i wzbudzały obawę. Wiedziała, że podobnie jak *Maskotka*, w niczym nie przypominają Ashley, a mimo to czuła się w ich towarzystwie nieswojo. Rozmowy z Carlem, programem, który dzielił z Ashley biosoftware, nie sprawiały jej najmniejszych trudności. Miała do czynienia z czystą logiką, z umysłem maszyny. Ale programy w Shangri La zostały uczłowieczone w najwyższym stopniu. Czy raczej potrafiły naśladować ludzi z niesamowitą wiernością. Wątpiła, żeby te superludzkie osobowości stanowiły odzwierciedlenie ich wnętrza. Nie ufała im dla zasady, mimo że zawdzięczała im życie. Kiedy *Maskotka* przywiozła ją i śmiertelnie ранego Robina do osiedla, mogły ich przecież po prostu odesłać do

domu.

— No dobrze, pójdę już do tej świetlicy – westchnęła. – Powiedz Robinowi, gdzie mnie szukać, jak się obudzi.

Davin skinął głową i zniknął. Jan weszła o poziom wyżej, gdzie znajdowała się „ludzka” świetlica. Pokój nie był pusty. Samotny Eloj, zupełnie nagi, siedział obok ozdobnego basenu, przyglądając się, jak zamieszkujący go karp pływa tam i z powrotem. – Zagrasz w piramidkę? – spytała Jan sarkastycznie. Odwrócił się do niej i posłał jej charakterystyczny, senny uśmiech. Cholerny bezpłciowy elf – mruknęła do siebie z goryczą. Pomyśleć tylko, że kiedyś był normalną ludzką istotą, naukowcem z Dawnych Czasów, który zamiast próbować walczyć ze złem, spowodowanym przez Wojny Genetyczne, zdecydował się wycofać w stan prywatnej nirwany. Ja przynajmniej próbowałam – powiedziała sobie Jan. Bogini Matko, jak bardzo się starała! I co zyskała? Z początku nienawiść innych, a potem... zupełnie nic. Całe szczęście, że udało się jej ujść z życiem. Być może Eloje mimo wszystko mieli rację... Jan wyplątała się z ocieplanego kombinezonu i, w samej tylko bieliźnie, rozsiadła na podłodze i włączyła jakiś stary film. Prychnęła z dezaprobatą, kiedy doleciał ją zapach potu. Kazała rozpocząć projekcję. Był to dwuwymiarowy komediowy dreszczowiec z początków dwudziestego pierwszego wieku. Opowiadał o przygodach prywatnego detektywa, wynajętego do śledzenia własnego klonu, który tymczasem zmienił płeć i stał się kobietą. Film nosił tytuł *Piękna nieznajoma* i kończył się właśnie, kiedy nareszcie zjawił się Robin, ubrany w nocną koszulę. Rzucił Jan czuły uśmiech, zmierzwił jej ręką włosy i bezwładnie opadł na stojącą w pobliżu otomanę. Dziewczyna przerwała projekcję, podeszła i usiadła obok niego. – Jak się czujesz? – spytała.

— Dobrze. Trochę zmęczony, to wszystko.

Przytuliła się do niego, a potem mocno pocałowała w usta. Odwzajemnił pocałunek i objął ją ramionami, ale zaraz potem poczuła, jak jego uścisk słabnie. Odsunęła się, żeby mu się przyjrzeć. Wyglądał na zmieszanego.

— Przepraszam, Jan.

— Nic się nie stało – powiedziała próbując ukryć rozczarowanie.

Sięgnęła w dół i poprzez materiał koszuli pomacała jego krocze. Miętko. A przecież wiedziała, że mimo braku jąder był zdolny do erekcji. Jego prostata została zmodyfikowana i produkowała normalną ilość testosteronu. Tylko że to po prostu nie działało. Kilka razy próbowali się kochać, ale za każdym razem wynik był niezadowolający. Szczerze mówiąc, zupełna katastrofa. Jan ciągle nie rozumiała, dlaczego maszyna medyczna nie jest w stanie wyposażyć Robina w nowe jądra. Program Medyczny wyjaśnił jej, że wystarczy wziąć jakąkolwiek komórkę z ludzkiego ciała i pomajstrować w jej DNA, żeby stworzyć nowe oko, rękę, wątrobę czy cokolwiek innego – metody tej nie można jednak zastosować do odtworzenia narządów rozrodczych. Nie pojmowała przyczyny tego ograniczenia i przekonywała Program, że osiedle ma przecież bank nasienia i komórek jajowych, nic więc prostszego, jak doprowadzić do powstania embrionu, a następnie pobrać z niego potrzebne komórki. W odpowiedzi usłyszała, że nie pozwala na to Program Etyczny.

Ostatecznie to dzięki zakodowanym w Programie Etycznym zasadom, dotyczącym postępowania z embrionami, pozwolono Robinowi rozwinąć się w normalną istotę ludzką, zamiast w Eloja. I to była druga przyczyna, która wzbudziła podejrzenia Jan względem Programu Etycznego, chociaż nie potrafiłaby określić,

dlaczego się jej wydaje, że coś jest nie w porządku. Pamiętała zdziwienie Mila na wieść, że te superinteligentne programy pozwoliły się rozwinąć mutacji wstecznej – bo tym był dla nich Robin – jakby przez przypadek. Jan wstała z otomany i popatrzyła na Robina. Jak bardzo był niepodobny do pełnego życia, energicznego młodego człowieka, który przedstawił się jej na Aniele Niebios i zaofiarował swoje usługi, a potem miłość. Nic w nim nie zostało z dawnej namiętności, dawnego ducha. Kiedy ta dziwka, księżniczka Andrea, go wykastrowała, pozbawiła go czegoś więcej niż tylko kawałka ciała. – Szkoda, że nie chciałeś ze mną lecieć – powiedziała. – Powietrze było takie rześkie. Dobrze by ci zrobiło. – Czuję się dzisiaj bardzo zmęczony. Może następnym razem. – Nie ma sprawy – odparła. – Idę się umyć i przebrać. Zobaczymy się na kolacji.

Uśmiechnął się blado i skinął głową.

§ § §

Biorąc prysznic Jan rozmyślała nad tym, jak bardzo nudzi ją życie w osiedlu. Oczywiście, alternatywą była śmierć: gdyby *Maskotka* nie zjawiała się na promenadzie w samą porę, żeby ich uratować, oboje byliby już martwi. Bez większych emocji zastanawiała się, co się stało z księciem i pozostałymi, a szczególnie z dwójką jego okropnych dzieci, które chciały ją zamordować. Najbardziej jednak interesował ją Milo. Musi już być dorosły i z pewnością w niczym nie przypomina biednego Simona, którego ciało tak bezwzględnie sobie przywłaszczył. Przynajmniej miała nadzieję, że tak się stało. Biedny Simon...

I biedny świat. Teraz, kiedy Milo i Ashley połączyli siły i opanowali nie tylko Anioła Niebios, ale całą flotę Władców Niebios. Milo. Jakże go nienawidziła. Zabrał jej wszystko, nawet

syna. A teraz miał dość władzy, żeby podbić cały świat.  
Czy też to, co ze świata pozostało.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Milo Haze leżał nago na brudnej pryczy z rękami założonymi pod głową, wpatrzony w jakiś punkt poza sufitem. Był teraz spokojny. Był spokojny przez ostatnie trzy miesiące. Wgniecenia w stalowych drzwiach, podobnie jak dziury w ścianach, powstały na początku okresu jego uwięzienia. Kiedy w końcu postanowił dać spokój bezsensownym wybuchom gniewu, obiecał sobie, że będzie odtąd używał głowy zamiast mięśni. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby z powrotem wkraść się w łaski Ashley...

Wydawało się, że znalazł wreszcie rozwiązanie. Plan przyszedł mu do głowy tydzień temu i od tej pory spędzał czas rozkładając go na poszczególne elementy i składając z powrotem, dopracowując w najdrobniejszych szczegółach. Uważał, że ma pięćdziesiąt procent szans powodzenia. Był gotowy, żeby wprowadzić go w życie... Odczekał cierpliwie, aż zegar wskaże 18:00, potem wstał z pryczy, wziął z podłogi tacę, na której stały puste talerze i kubek, i podszedł do drzwi. Ruchoma płyta odsunęła się prawie natychmiast i do środka zajrzał Shan. Milo podniósł tacę do otworu. Kiedy Shan ją od niego odbierał, powiedział: — Chcę rozmawiać z Ashley. W ważnej sprawie.

— Wiesz, że to niemożliwe – odparł Shan, patrząc na niego obojętnie. Na chwilę zniknął z pola widzenia, żeby położyć na podłodze tacę z obiadu Mila i podnieść drugą, z jego wieczornym posiłkiem.

Milo udał, że jej nie dostrzega.

— Mówiłem ci, to ważne. Dla Ashley. Kiedy się dowie, o co



chodzi, na pewno będzie chciała mnie wysłuchać.

— Ashley nie chce z tobą rozmawiać nigdy więcej – powiedział Shan. Nie potrafił ukryć zadowolenia w głosie. Milo pohamował złość. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie miał mnóstwo czasu, żeby się policzyć z tym bezpłciowym Minerviańczykiem.

— Przekaż jej tylko wiadomość – poprosił cicho. – Powiedz, że mam coś, co jest dla niej bardzo cenne.

— Nie licz, że ci w czymkolwiek pomogę – odparł Shan. – Nie po tym, co zrobiłeś Tyrze. A teraz zabierz tacę. Milo znów ją zignorował.

— Więc zrób to we własnym interesie. Jeśli Ashley dowie się kiedykolwiek, że z twojej winy straciła szansę, żeby znowu stać się istotą z krwi i kości, człowiekiem, wpadnie w szal, nie wątpisz chyba. Shan zmarszczył brwi.

— O czym ty mówisz? Jak to „stać się człowiekiem”? Przecież to niemożliwe.

— A ja uważam, że tak. Znalazłem sposób, żeby zdobyć dla niej nowe ciało. I musisz jej to powiedzieć.

Shan myślał przez chwilę, po czym pokręcił głową. – Bzdury. Szukasz pretekstu, żeby się z nią spotkać. Chcesz ją przekonać, żeby cię uwolniła. Ja ci w tym nie pomogę. A teraz zabieraj tacę albo będziesz siedział głodny.

Tym razem Milo usłuchał. Kiedy Shan zaczął zasuwając okienko, zawołał: — Zaczekaj, Shan!

— Co znowu? – zapytał ten podejrzliwie.

— Pozdrów ode mnie Tyrę.

Okienko zatrzasnęło się z hukiem.

Ciągle z uśmiechem na twarzy, Milo wrócił na pryczę. Teraz wszystko zależało od tego, czy podejrzenia, że Ashley ma jego

cełę na podsłuchu, były słuszne. Co prawda, pierwszego dnia jego uwięzienia Shan powiedział, że kazała pająkom usunąć wszystkie czujniki z jego apartamentu, Milo podejrzewał jednak od początku, że nie odmówiłaby sobie przyjemności oglądania i słuchania, jak on cierpi. Jeśli się mylił, cały plan spali na panewce. Nie musiał długo czekać. Parę minut później usłyszał na korytarzu jakiś szmer. Drzwi zaczęły się opornie odsuwać. Kiedy były w połowie otwarte, przez szparę wcisnął się do środka pająk. Szurając nogami, kulisty robot zbliżył się do pryczy. Milo przyglądał mu się spokojnie.

— Cześć, Ashley – powiedział.

Pająk zatrzymał się obok niego.

— Jeśli to kolejna z twoich sztuczek, wypruję ci flaki – powiedział głosem Ashley.

Milo usiadł na posłaniu.

— Więc Shan przekazał ci moją wiadomość?

— Mniejsza o to, skąd się dowiedziałam. A teraz mi powiedz, w jaki sposób mogę się znów stać człowiekiem. Masz trzydzieści sekund, żeby mnie przekonać.

Milo uśmiechnął się. Miał rację. Rzeczywiście zostawiła czujniki w jego celi. – Nie ma pośpiechu – powiedział spokojnie. – I przestań mi grozić, bo ci nic nie powiem.

— Milo...!

— Zanim zacznę, musimy ustalić warunki.

Robot zaczął wydawać bulgocące dźwięki.

— Warunki? Co ty sobie wyobrażasz? Nie masz prawa stawiać żadnych żądań!

Milo założył ręce za głowę i znowu wyciągnął się na pryczy. – Skoro nie jesteś gotowa do ustępstw, możesz równie dobrze sobie iść. I nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi. Kolejna porcja

bulgotu.

— No dobra, zwyciężyłeś... na razie. To jakie są te twoje warunki?

— Na początek, oczywiście, swoboda poruszania się po statku.

— To zależy od tego, co mi masz do powiedzenia. Zgoda...

— Ten palant Shan zostanie moim osobistym niewolnikiem.

— Sama go miałam ukarać. Zrobione.

— I chcę dziewczynę z powrotem.

Na chwilę zapadła cisza.

— Ashley?

— Najpierw mi powiedz, jak mogę się stać człowiekiem. – Bardzo dobrze – odparł Milo po krótkim wahaniu. Wstał z pryczy i zaczął się przechadzać po celi. – Pamiętasz jeszcze naszego niepożądanego gościa, Robina, i jego cudowną maszynę? – Pewnie, że tak.

— A przy okazji, widziałaś ją jeszcze kiedyś po tym, jak nas tak nagle opuścili?

— Nie – powiedziała Ashley, a potem dodała niecierpliwie – Wyduś to wreszcie z siebie!

— I chyba pamiętasz (jestem pewien, że podsłuchiwałaś przez cały czas), jak opowiadał o swoim życiu w Shangri La z tymi dziwnymi Elojami?

— Aha. No i co?

— Przypominasz sobie, jak mówił, że mają w osiedlu bank spermy i komórek jajowych?

— Zaraz... chyba tak. Czemu pytasz?

— Przecież to jasne! Materiał na twoje nowe ciało! Pająk ruszył w jego stronę wysuwając laserowy nóż. Zagnał Mila w kąt pokoju.

— Ashley, co...?

— Może nie potrafię myśleć tak jasno, jak kiedyś, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem kompletną idiotką! – krzyknęła. – Co mi po jakichś zamrożonych jajach ukrytych w podwodnym osiedlu na biegunie południowym? Wytłumacz mi to, bo jak nie, wysmażę ci oczy!

Milo podniósł ręce do góry.

— Spokojnie, daj mi wyjaśnić.

— Słucham.

— To osiedle jest naszpikowane nowoczesną techniką. Te inteligentne, zdolne do samoewolucji programy, o których opowiadał Robin, potrafiłyby wyprodukować sprzęt, potrzebny mi, żeby przenieść zapis twojej osobowości i wspomnień z biochipu do czystego, nowego mózgu.

Ashley milczała przez chwilę, przetrawiając to, co usłyszała, po czym spytała: — Uważasz, że to możliwe?

— Oczywiście. Nic trudnego, pod warunkiem, że będę miał odpowiednią aparaturę.

— Rozumiem... – powiedziała wolno. – Ale jak znajdziemy osiedle? Cała flota Władców Niebios próbowała i nie dała rady. – Banda prymitywów. My mamy środki techniczne, żeby to zrobić. Każemy Carlowi przerobić część pajaków na podwodne sondy. Będą szukać osiedla pod powierzchnią lodowca. Kiedy je zlokalizujemy, przebijemy się przez lód laserami i zmusimy ich, żeby wyszli z ukrycia.

— Mówisz, że to takie proste?

— Dobrze to wszystko przemyślałem. Możesz mi zaufać.

— Ha! – prychnęła, ale pajak schował nóż.

— To co, ubijemy interes?

— Być może...

— I dostanę dziewczynę?

— No dobrze, dostaniesz.

Milo wyszczerzył zęby.

— Powiesz mi, gdzie są ich kwatery? Chciałbym osobiście zanieść im dobrą nowinę.

Ku wielkiej satysfakcji Mila, Tyra zbladła na jego widok. Shan, siedzący obok niej na kanapie, po prostu gapił się nie wierząc własnym oczom.

— Jak... jak ci się udało wydostać? – spytał w końcu. Milo udął, że nie słyszy. Stał z rękami na biodrach, wpatrując się w Tyrę. Podniecała go jej rosnąca panika.

— Nie mylisz się, to ja, Milo. Urosłem, odkąd widzieliśmy się ostatni raz, prawda? Jestem teraz prawdziwym mężczyzną i zapewniam cię, że tym razem będę o wiele lepszym kochankiem. Zaraz ci to udowodnię...

Ruszył w jej stronę. Shan w mgnieniu oka zerwał się z kanapy i zastąpił mu drogę. Milo złapał go za gardło. Był teraz wyższy od Shana. I o wiele, wiele silniejszy.

— Sytuacja się zmieniła, mój ty minerviański bohaterze. Znowu ja tu rządę, a to znaczy, że siedzisz po szyję w gównie. – Podniósł go w powietrze, a potem rzucił przez pokój.

Tyra podbiegła do jęczącego Shana. Milo zbliżył się również, chwycił ją za kark i zmusił, żeby wstała z kolan. Bezskutecznie szamotała się w jego uścisku, kiedy włókł ją w stronę sypialni. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Milo Haze, czy raczej James Gleick, wynurzył się na „powierzchnię” Belvedere. Ściśle rzecz biorąc, była to wewnętrzna powłoka sześciokilometrowego cylindra, w którym mieściło się osiedle. W pewnej odległości od miejsca, gdzie stał, powierzchnia „gruntu” wznosiła się i przechodziła w ścianę, potem w sufit, a następnie z drugiej strony obniżała znowu. W osiedlu nieśmiertelnych, o którym Milo czytał w książce, rosły drzewa, trawa, a nawet płynęły niewielkie rzeczki, tymczasem wokół siebie, poza wąskimi szklanymi listewkami, które wpuszczały do wnętrza odbite światło słoneczne, widział jedynie ciągnące się w nieskończoność akry metalu i szarobrazowego plastiku.

Tutaj, na „otwartej przestrzeni”, powietrze było równie stęchłe jak na niższych poziomach. Bakterie w systemie odzysku, skonstruowane całe wieki temu, najwyraźniej uległy jakiejś mutacji i od dawna już nie pracowały ze stuprocentową wydajnością. Ponieważ jednak na Belvedere technika genetyczna we wszystkich postaciach była zakazana, Milo wiedział, że nie ma nadziei na usunięcie defektu. Poszedł na pobliską stację i po chwili jechał już jednoszynową kolejką. Obowiązywała tu, oczywiście, segregacja płciowa: pierwszy wagon tylko dla mężczyzn, drugi – tylko dla kobiet. Celem jego podróży był Gmach Zebrań, gdzie miało się odbyć kolejne spotkanie poświęcone temu, co obecnie określano jako Problem Ziemi. Dotychczas nie podjęto decyzji, w jaki sposób zareagować na

sygnały, regularnie docierające z Ziemi. Pomimo istniejących różnic w kwestiach religijnych i politycznych, ojcowie porozumieli się z władzami pozostałych osiedli – Cruise City, Starshine i Karagangi – które wiadomość ta poruszyła w nie mniejszym stopniu. Tak jak ojcowie Belvedere, władze innych osiedli zatrzymały ją dla siebie, obawiając się zamieszek. Poinformowano też kolonie marsjańskie, znajdujące się poza zasięgiem sygnałów z Ziemi. Rządzące w nich liczne partie wyraziły ogromne zaskoczenie.

Jak dotąd osiedla, idąc za przykładem Belvedere, nie odpowiedziały na sygnały Ziemian, ale – jak Milo podejrzewał – taka jednomyślność nie mogła trwać długo. Nie miał wątpliwości, że wkrótce ktoś zdecyduje się przerwać milczenie, chociaż z całą pewnością nie będzie to Belvedere. Ojcowie uważali Ziemian za skazanych na potępienie. Na pierwszym spotkaniu, zwołanym dla przedyskutowania sytuacji, jeden z nich zasugerował, że wszystko może być tylko sztuczką Szatana. Ci, którzy nadali sygnały, mówił ów ojciec, twierdzili, że żyją na obszarze wolnym od zarazy od setek lat, ale może to tylko podstęp, którego celem jest zwabienie nieskalanych Belvederian, żeby zarazić ich jakąś nieczystą chorobą. Z tego właśnie powodu Milo został zaproszony na spotkanie. To chyba niemożliwe, żeby jakakolwiek ludzka istota przetrwała na planecie od czasów Wojen Genetycznych?

Milo zgodził się, że jest to bardzo mało prawdopodobne, ale najwyraźniej jednak możliwe. Prawda, przez całe stulecia nie odebrano z Ziemi żadnych sygnałów. Być może nie całą ludzkość spotkała zagłada, a brak sygnałów był spowodowany jedynie załamaniem się cywilizacji technicznej w czasie epidemii. Nieliczni, którzy przeżyli, z czasem osiągnęli dawny poziom

techniki. Czy raczej, udało się to tylko jednej społeczności, bo sygnały dochodziły z jednego tylko miejsca. Na północnowschodnim wybrzeżu Australii. Milo wyczuł atmosferę tłumionego podniecenia, ledwie wszedł do Gmachu. Z pewnością wydarzyło się coś nowego. Kiedy zajmował miejsce za stołem, ojciec Massie, siedzący u szczytu, popatrzył na niego i zmarszczył brwi.

— Czekaliśmy, bracie Jamesie.

Milo spuścił głowę.

— Proszę o wybaczenie – odparł pokornie – Przybyłem najszybciej, jak mogłem.

Ojciec Massie mruknął coś z niezadowoleniem, po czym zaintonował: — Zanieśmy modły do Boga...

Milo, z zamkniętymi oczyma i złożonymi rękami, próbował zignorować jego jednostajne mamrotanie zastanawiając się, co się mogło stać. Modlitwa trwała przez dłuższy czas. Kiedy się nareszcie skończyła, ojciec Massie powiedział: — Czas rozpocząć zebranie. Wielu z was wie już, co się wydarzyło. Przypadł mi w udziale przykry obowiązek powiadomienia pozostałych, że otrzymałem złą nowinę z osiedla Karaganga... Milo nachylił się do przodu i cały zamienił w słuch. Każda wiadomość, która przygnębiła ojca Massie, musiała być warta uwagi. – Odpowiedzieli na sygnały z Ziemi. Nawet w tej chwili są w kontakcie z Ziemianami, czymkolwiek oni są w rzeczywistości. Ale to nie jest jeszcze najgorsze. Postanowili zaufać słowom mieszkańców Ziemi, że ich osada jest wolna od zarazy. Wysyłają na Ziemię statek. Miła zalała fala emocji. Wszystko jedno w jaki sposób, dostanie się na ten statek.

Ayla, zniecierpliwiona, czekała wraz z Juli obok łodzi podwodnej. Kell pływał w pobliżu, jego głowa obracała się we



wszystkie strony, kiedy wypatrywał, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Trzymał w gotowości miotacz włóczni. Ayla i Juli nie miały broni. Mimo że od otwartych wód oceanu oddzielała ich Wielka Rafa Koralowa, stanowiąca naturalną ochronę przed największym zagrożeniem, zawsze istniała możliwość, że jakaś ośmiornica, glista morska czy inne zwierzę zabłądzi w pas wody między Rafą a wybrzeżem. Dlatego niezbędne się stało wybudowanie ogrodzenia chroniącego wewnętrzne wody Palmyry i jej farmy rybne.

Juli dotknęła ramienia Ayli i wskazała przed siebie, ale Ayla już sama dostrzegła pięć niewyraźnych sylwetek. Dała znak Kellowi, a kiedy ten skinął w odpowiedzi, wspólnie z Juli chwyciła wielki pleciony kosz. Wolno podpłynęły w stronę postaci, które zatrzymały się w odległości około czterdziestu metrów. Kiedy znalazły się bliżej, Ayla rozpoznała w największej z nich przywódcę wodnych ludzi, którego nazywała Tygrysem. Wśród pozostałych zauważyła dwie kobiety. Podniosła wolną rękę w geście powitania. Tygrys odpowiedział tym samym. Wielkie pazury, którymi kończyły się jego dłonie o połączonych błoną palcach, były schowane na znak, że przybywa w pokojowych zamiarach.

Ayla i Juli stanęły i opuściły wielki kwadratowy kosz na piaszczyste dno. Był wypełniony po brzegi świeżo złowionymi rybami. Tygrys podpłynął bliżej, żeby zbadać jego zawartość, z aprobatą skinął głową, po czym gestem przywołał swoich towarzyszy. Obie wodne kobiety podpłynęły bliżej. One również coś niosły. Położyły to na dnie morskim obok kosza, po czym wróciły do dwóch pozostałych mężczyzn. Ayla przyglądała się przedmiotowi ze zmarszczonymi brwiami. Miał może metr długości, trzydzieści centymetrów szerokości, połyskiwał

metalicznie. Pytająco spojrzała na Tygrysa i pokazała na migi, że nie wie, co to jest. Potrząsnął głową gestem, który nauczyła się interpretować jako objaw irytacji, podpłynął do przedmiotu i przebiegł palcami po jego boku. Kiedy wieko odskoczyło, Ayla zorientowała się w końcu, że to pojemnik. Zajrzała do środka. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego, ale nie miała wątpliwości: była to broń. Kiwnęła głową, podziękowała mu i schyliła się, żeby zatrzaskać wieko. I w tym momencie Tygrys złapał ją za rękę... Wodni ludzie zostali stworzeni wiele lat wcześniej przez inżynierów genetyków z jednej czy kilku Korporacji Genetycznych do obsługi podwodnych urządzeń w kopalniach i na wielkich farmach rybnych, które istniały przed wybuchem Wojen. Chociaż woleli głębsze wody, potrafili się przystosować do każdych warunków. Parę dziesiątków lat wcześniej grupa, do której należał Tygrys, zdecydowała się przenieść bliżej wybrzeża, uciekając przed pogarszającymi się warunkami na otwartych wodach oceanu. Podczas gdy zmodyfikowane genetycznie gatunki znakomicie się rozwijały, zwykłe ryby, stanowiące podstawę pożywienia wodnych ludzi, stawały się coraz mniej liczne. Znaleźli schronienie w zatopionym podwodnym osiedlu, które odkryli niedaleko Wielkiej Rify. Zaczęli napadać na niewielkie farmy Palmyry, jako że ryb brakowało również i w tej okolicy. Stało się to powodem wojny. Nieżyjąca już matka Ayli, Glynis, doprowadziła do zawarcia pokoju między zwaśnionymi stronami. W akcie niezwykłego męstwa wypłynęła na spotkanie oddziału wodnych ludzi i złożyła im propozycję zawarcia pokoju w postaci pewnej ilości martwych ryb. Napastnicy przyjęli dar i odpłynęli. Po jakimś czasie wrócili przynosząc w zamian mały komputer.

Okazało się, że zatopione osiedle, pierwotnie należące do

Japończyków, było wyposażone w ogromną ilość sprzętu, który mimo wielu lat pod wodą był ciągle w doskonałym stanie. Ze skąpych informacji uzyskanych od wodnych ludzi wynikało, że kiedy je znaleźli, znaczna część nie była zalana. Japończycy, kiedy zawiódł system napowietrzający, woleli umrzeć w głębinach niż wynurzyć się na powierzchnię, gdzie szalały epidemie. Tak zaczęły się długie lata handlu wymiennego między wodnymi ludźmi i Palmyrczykami, za który obecnie odpowiedzialna była Ayla (przywódcy wodnych ludzi jasno dali do zrozumienia, że będą się kontaktować tylko z kobietami). Na wiele lat zapanował pokój. Od zakończenia wojny żaden człowiek nie został zaatakowany. Aż do tej chwili...

Ayla była tak zaskoczona, że omal nie zgubiła ustnika. Z pełnym niedowierzania zdumieniem wpatrywała się w okrągłe, rybie oczy Tygrysa. Gdzie popełniła błąd? Jakie nieznane tabu złamała? Dlaczego ją zaatakował? I czy naprawdę był to atak? Chociaż Tygrys mocno ścisnął jej rękę, nie wysunął pazurów. Zobaczyła, że wskazuje za siebie, w stronę otwartego oceanu, skąd przybył. Wykonał gest oznaczający niebezpieczeństwo. Trzy razy. A potem puścił ją, odwrócił się i odpłynął. Jego ludzie podążyli za nim.

— O co chodziło w tym wszystkim? – spytał Kell, kiedy znaleźli się z powrotem w ciasnej komorze sterowniczej łodzi. – Przez chwilę myślałem, że cię chce zaatakować. Właśnie się miałem rzucić na pomoc, kiedy cię puścił.

Ayla zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

— Wiem tylko tyle, że trzy razy zrobił gest, który oznacza niebezpieczeństwo. To oznacza coś bardzo niebezpiecznego. I to coś musiało się przedostać przez Rafę, bo inaczej nic by mi nie powiedział. Chciał nas ostrzec.

— Byłam przerażona – wyznała Juli, włączając silniki łodzi. – Nigdy wcześniej żaden z nich nie próbował cię dotknąć. – Myślę, że w ten sposób chciał podkreślić wagę swojej wiadomości – powiedziała Ayla.

— Ale co możemy zrobić, skoro nie wiemy, na czym polega zagrożenie? – spytał Kell.

— Nie wiem – przyznała Ayla. – Będę musiała porozmawiać o tym z tatą.

Po powrocie czekało Aylę kolejne zaskoczenie. Jej ojciec opuścił swój zwykły posterunek na wieży i czekał na nich na plaży. Wyglądał na bardzo podnieconego.

Kiedy pomagał wydostać się jej z łodzi, zaczęła: — Wiesz, tato, dzisiaj podczas wymiany zdarzyło się coś dziwnego. Tygrys...

Nie pozwolił jej skończyć.

— Wspaniała wiadomość, kochanie! Odebraliśmy odpowiedź z jednego z tych pozaziemskich osiedli!

Popatrzyła na niego oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

— Naprawdę?

— Tak – potwierdził radośnie. – I w dodatku mają zamiar wysłać do nas ekspedycję! – Przytulił ją do siebie. – Będziemy mieli gości, córeczko!

— Oczywiście przedstawiciel Belvedere weźmie udział w wyprawie na Ziemię, organizowanej przez osiedle Karaganga? – upewnił się Milo.

Twarze zebranych wokół stołu zwróciły się w jego stronę. Ojciec Massie wyglądał na zaskoczzonego. Nie on jeden. Po dłuższej chwili wolno zapytał: — Czy brat postradał zmysły? Nie chcemy mieć nic wspólnego ze światem potępionych.

Milo zerknął przelotnie na wielki metalowy krzyż, wyrastający groźnie nad krzesłem ojca Massie'ego.

— Czyż nie jest naszym obowiązkiem poznać, jak wygląda sytuacja tam, w dole? – zapytał. – A jeśli żyją tam dusze, które można uratować przed wiecznym potępieniem? Poza tym należy rozważyć jeszcze jeden aspekt. Jeśli Karaganga zdecyduje się wejść w sojusz z Ziemianami, dobrze byłoby mieć na miejscu kogoś, kto nas o tym powiadomi. – Przerwał, żeby znaczenie jego słów do wszystkich dotarło. Odnotował z satysfakcją, że oblicze ojca Massie’ego nagle się zasepiło. Ryba połknęła haczyk. – Dlatego sugeruję – ciągnął – żeby jeden z ojców zgłosił się na ochotnika do udziału w wyprawie na Ziemię... – Znowu przerwał, czekając, aż ucichną szepty. Przebiegł wzrokiem twarze zgromadzonych. – Naturalnie, misja jest niebezpieczna; niewykluczone, że spotka go śmierć, ale czy istnieje większy zaszczyt dla zakonnika z Belvedere niż poświęcić swoje życie służąc Bogu? Szczególnie, jeśli będzie to z korzyścią dla Belvedere? W sali zapadła cisza. Ojcowie zerkali na siebie z wyrazem niepokoju i zmieszania na twarzach. Na koniec wszyscy zwrócili się w stronę ojca Massie’ego, wciąż głęboko pogrążonego w myślach. Zanim jednak przemówił, upłynęła dłuższa chwila. – Choć w pierwszej chwili sugestia brata Jamesa może się wydawać szalona, uważam, że ma on rację. Mam zamiar poważnie ją rozważyć i to samo zalecam wszystkim obecnym.

Rozległ się szmer potwierdzenia, choć wiele głosów przyłączyło się z ociąganiem.

— Na kiedy Karagańczycy zaplanowali rozpoczęcie ekspedycji? – spytał Milo.

— Za około dwa miesiące – odparł ojciec Massie. – Mają nadzieję, że do tego czasu uda się im tak zmodyfikować jeden ze statków, którymi latają na Marsa, żeby zniósł podróż przez

ziemską atmosferę.

Milo skinął głową. W żadnym z osiedli nie zachowały się promy kosmiczne używane do komunikacji z Ziemią. W przekonaniu, że nie będą już nigdy potrzebne, dawno temu rozebrano je na części. Milo odchrząknął i śmiało spojrzał w oczy ojcu Massie'emu.

— Naturalnie, ja również wezmę udział w wyprawie – powiedział. Reakcja była łatwa do przewidzenia. Zakonnik wzdrygnął się z przesadnym zdumieniem i spojrzał pytająco na Mila. – Słucham, bracie Jamesie?

— Zadeklarowałem swój udział w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu – spokojnie stwierdził Milo. – Ostatecznie, to ja poddałem pomysł, żeby jeden z ojców towarzyszył Karagańczykom, uważam więc za słuszne, że powinienem zaryzykować również własne życie. – Ale w jakim celu? – chciał wiedzieć jeden z ojców, siedzący po lewej stronie otyły mężczyzna o okrągłej twarzy, imieniem Shaw. Zdaniem Mila, jeden z największych formalistów i świętoszków w osiedlu. – Nie jest brat, za przeproszeniem, nawet ojcem. Nie otrzymał brat święceń kapłańskich. W jaki sposób wyobraża sobie, że mógłby pomóc w zbawieniu tych nieszczęsnych istot?

— To ja proszę o wybaczenie, ojciec Shaw – Milo odwrócił się i uśmiechnął do niego. – Nie zrozumiał ojciec powodu, dla którego się zgłosiłem. Nie ze względu na Ziemię, ale na tego nieustraszonego zakonnika, który zechce wziąć udział w wyprawie. Jestem, jeśli wybaczycie brak skromności, najlepszym lekarzem–praktykiem w osiedlu. Jeśli się okaże, że na planecie nadal szaleją zarazy, mogę mu oddać nieocenione usługi. – Znowu zwrócił się do ojca Massie'ego. – Jestem przekonany, że śmiałek, który uda się z misją, w pełni zasługuje na to, żeby mieć

do dyspozycji przynajmniej moje umiejętności i wszelkie dostępne w osiedlu leki. Ojciec Massie w milczeniu przyglądał się Milowi, skubiąc brodę. Podobnie jak jego włosy, była ufarbowana na siwy kolor. Wszyscy ojcowie farbowali sobie włosy i brody, żeby wydać się starszymi, a przez to wzbudzać większe poważanie. Milo, który jeszcze pamiętał prawdziwych starców, uważał, że wyglądają absurdalnie. W końcu ojciec Massie przemówił: — Przyznaję, bracie Jamesie, że w przeszłości miałem wątpliwości co do osoby brata. Nic konkretnego, rozumie brat, po prostu nieokreślone przeczucie. Ale ten postępek sprawił, że ujrzałem brata w nowym świecie. A więc dobrze, zgadzam się na tę śmiałą propozycję. Weźmie brat udział w wyprawie. A teraz zanieśmy modły do Boga...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

JeanPaul nie cieszył się z tego, że został Władcą Niebios. Zbyt wielu ludzi zadawało mu pytania, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi, zbyt wielu było od niego zależnych. Z każdym dniem odpowiedzialność ciążyła mu coraz bardziej. A z nią poczucie straty, nie opuszczające go nawet na chwilę. Mimo wszelkich wysiłków nie potrafił usunąć Dominique ze swoich myśli...

Obserwował chaos panujący w pomieszczeniu sterowniczym. Wszędzie wałały się fragmenty rozmontowanych urządzeń, odsłonięte kable i przewody tworzyły istny labirynt. Powietrze drżało od pełnych złości głosów inżynierów kłócących się między sobą. Trzeba z tym skończyć. Ludzie z zespołu rybackiego pewnie się już niecierpliwią. Wszedł na środek i zapytał głośno: — No więc, jak się sprawy mają? Uda nam się wykonać manewr? Wrzawa ucichła, technicy patrzyli na siebie w oczekiwaniu, który odezwie się pierwszy. W wyniku cichego porozumienia wybór padł na Marcela, drobnego muskularnego mężczyznę. Wzruszył ramionami.

— Chyba tak, ale to będzie niebezpieczne.

— A to coś nowego – burknął JeanPaul ze znużeniem. Wyjrzał przez okno sterowni na rozciągający się w dole ocean. Odkąd wysadzili w powietrze komputer, jedno nieszczęście gonilo drugie. Cud, że ciągle jeszcze unoszą się w powietrzu. Przez kilkanaście dni, kiedy inżynierowie zmagali się z uszkodzonym układem sterowania, praktycznie nie mieli kontroli nad statkiem. Zapewnienia, że przejście na sterowanie ręczne jest



„kwestią minut”, okazały się stanowczo zbyt optymistyczne. Wybuch zniszczył nie tylko Ashley i Carla, ale i cały zestaw komputera, a kierowanie ogromnym sterowcem zupełnie bez jego pomocy okazało się prawie niemożliwe. Co prawda, uzyskali kontrolę nad sterami wysokości i kierunku, ale nie nad urządzeniami nośnymi, więc byli zmuszeni zmniejszyć moc. To z kolei spowodowało, że nie mogli już kontrolować temperatury gazu w komorach i statek wkrótce zaczął tracić wysokość. Jedynie sprawność sterników i wyrzucenie znacznych ilości balastu za burtę uratowały ich przed rozbiciem.

Zanim inżynierom udało się uzyskać bezpośrednią kontrolę nad dwoma urządzeniami nośnymi, pasaty północnowschodnie zagnały *Władcę Montcalma* daleko na południowy zachód, nad otwarte wody Pacyfiku. JeanPaul zwołał naradę i zaprosił na nią najbliższych towarzyszy, żeby przedyskutować następny ruch. Zdecydowali się lecieć dalej w tym samym kierunku. Powrót na kontynent północnoamerykański wiązał się z ryzykiem, że napotkają innego *Władcę Niebios* opanowanego przez Ashley, a ponieważ nie mieli kontroli nad systemem laserowym – zakładając, że w ogóle był sprawny – musieli liczyć się z faktem, że przegrają w każdej potyczce. Najbardziej palącym problemem stało się zdobycie żywności. Zapasy kończyły się i nawet mimo ścisłego racjonowania było mało prawdopodobne, że wystarczy ich, żeby utrzymać załogę przy życiu. W ciągu ostatnich miesięcy stracili wielu ludzi, ale w dalszym ciągu na pokładzie *Władcy Montcalma* znajdowało się ponad osiemset osób. I wtedy ktoś wpadł na oczywisty pomysł. Ryby. Lecą przecież nad cholernym oceanem, cóż prostszego, jak zniżyć lot, spuścić wózek załadunkowy tuż nad powierzchnię wody i zarzucić sieci i wędki...

Tak, proste w teorii, ale nieco trudniejsze do zastosowania w praktyce. Trzeba oddać sprawiedliwość technikom, że udało się im uruchomić kolejne dwa urządzenia nośne, dzięki czemu uzyskali nad statkiem dostateczną kontrolę, żeby stało się możliwe krążenie nad wodą. Teoretycznie.

— W porządku – powiedział JeanPaul. – Zaczynamy. Dajcie znak ekipie rybackiej.

Odwrócił się i przeszedł na tył sterowni. Dziura po wybuchu została prowizorycznie załataną, ale ciągle przelatywało przez nią powietrze, wydając dźwięk podobny do krzyku kobiety. Dominique. Ktoś mu powiedział, że nie cierpiała. Kto? Ach tak, Eric. Ten sam Eric, który próbował go powstrzymać przed obejrzeniem zwłok. JeanPaul nalegał i Eric ustąpił. Pamięta wyraz jego oczu. Poszli na górny korytarz, gdzie złożono ciała. JeanPaul nie poznał Dominique, kiedy Eric odsłonił poplamiony krwią koc z jej twarzy. Świadomość, że nie cierpiała długo, nie była wielkim pocieszeniem, kiedy ukochana kobieta wyglądała, jakby dostała się w tryby jakiejś maszyny. Najbardziej tęsknił za nią nocami. W dzień nie kończące się problemy z dowodzeniem *Władcą Montcalmem* odrywały go od rozmyślań, ale w nocy nie miał się jak przed nimi bronić. Sypiał niespokojnie. Najgorsze były chwile, kiedy budził się i wyciągał rękę, żeby jej dotknąć – przez parę sekund zastanawiał się, dlaczego śpi sam, potem pamięć wracała...

Jęk silników zmienił tonację, kiedy *Władca Montcalm* wolno wyhamował i, zataczając kręgi w powietrzu, zaczął się opuszczać nad ocean. Jakies trzydzieści metrów nad powierzchnią wody zatrzymał się z szarpnięciem. JeanPaul patrzył, jak przez jeden z luków ładowni wynurza się wózek. Razem z Carlem, który zaproponował, że obejmie dowództwo, znajdowało się na nim

dwudziestu mężczyzn. JeanPaul próbował odszukać go wśród pozostałych, ale odległość była zbyt duża. Widział za to wielki kłęb sieci, które splatali w pośpiechu przez kilka ostatnich dni.

W tym miejscu wody były wolne od wodorostów o odrażającym wyglądzie, pokrywających wielkie połacie oceanu. JeanPaul podejrzewał, że dławią one życie w wodzie podobnie jak zaraza czyni to na lądzie. Miał nadzieję, że w okolicy zostało wystarczająco dużo jadalnych ryb, żeby zapewnić sukces ich wyprawie. Wózek dotykał już niemal powierzchni wody. Ktoś dał znak operatorowi w sterowcu i wózek zawisł w powietrzu, lekko kołysząc się na linach. Niemal równocześnie załoga zaczęła wyrzucać sieci za burtę. Jak dotąd, wszystko w porządku, pomyślał JeanPaul, uważnie obserwując wózek. – Dobra, teraz naprzód, ale nie za szybko – rzucił. *Władca Montcalm* wolno ruszył z miejsca. Ocean wydawał się spokojny, ale JeanPaul obawiał się, że kiedy wózek dotknie powierzchni wody, nagły wstrząs może wyrwać jedną z lin, na których był zawieszony.

Kiedy wyrzucono sieci do końca, wydał rozkaz zatrzymania statku. Załoga w dole szykowała się właśnie do wybierania sieci, kiedy to się wydarzyło...

W wodzie przed wózkiem dało się zauważyć jakieś poruszenie. Nikt z załogi niczego nie zauważył. Uwagę wszystkich pochłaniało to, co działo się z tyłu, przy sieciach. JeanPaul już miał krzyknąć ostrzegawczo, ale w ostatnim momencie uświadomił sobie, że go i tak nie usłyszą.

— Każ wstrzymać załadunek! – krzyknął. – I niech wciągną wózek, szybko!

— Ale przecież jeszcze nie wybrali sieci... – zaczął Marcel.

— Rób, co ci mówię! – JeanPaul podniósł głos do krzyku.

Jeden z techników szybko do niego podszedł.

— Co się stało?

— Patrz! – wykrzyknął JeanPaul wskazując ręką. Ogromny szarobiałły kształt pojawił się pod powierzchnią. Był co najmniej cztery razy dłuższy niż wózek. Potem z wody wynurzyły się ramiona. Któryś z mężczyzn je dostrzegł... zaalarmował pozostałych. JeanPaul widział, jak pokazują to sobie rękami, gestykulując w podnieceniu. Wiedział, że poza nożami nie mają innej broni. Powinien był kazać im zabrać strzelby. Ale kto mógł przewidzieć...? Wózek zaczął się wznosić, ale było już za późno. Potężne ramię ośmiornicy sunęło w górę po jednej z lin. Mniejsze obejmowały boki. JeanPaul poczuł drzenie, przebiegające sterownię. – Matko Boska! – wyszeptał inżynier.

Wózek już się nie podnosił. Przechylał się na bok coraz bardziej, ludzie tracili równowagę, wpadali na siebie. Jedna z mniejszych macek dosięgła któregoś z mężczyzn, uniosła go w powietrze i błyskawicznie wciągnęła pod wodę. Pojawiło się kolejne wielkie ramię i owinęło wokół drugiej liny.

— JeanPaul! – krzyknął Marcel. – Operator podnośnika mówi, że nie da rady ich wciągnąć! Ten potwór waży tony! Pyta, co robić! Dobrze pytanie, pomyślał JeanPaul, widząc jak kolejni dwaj mężczyźni znikają z platformy wózka.

Siedząc i plotkując z Davinem Jan zdała sobie sprawę, dlaczego programy pozwoliły jej zostać w Shangri La. Że nie z dobrego serca, a nawet nie ze względu na Robina, nie wątpiła od pierwszej chwili. Podejrzewała, że ciągłe wypytywanie o przeszłość wynika z zaprogramowanej „uprzejmości”, ale teraz, nagle, wszystko stało się dla niej jasne. Była dla nich nieocenionym źródłem informacji. Przez wieki Shangri La pozostawało odcięte od reszty świata. Żeby nadal móc wypełniać swoje podstawowe zadanie – ochronę Eloiów – możliwie

skutecznie, programy musiały za wszelką cenę zgromadzić informacje o najnowszej historii i obecnym stanie otaczającego świata, aby przewidzieć zagrożenia, jakie niesło to dla Elojów. – Mówiłaś, że... – zapytał Davin, zaskoczony nieoczekiwaną przerwą w rozmowie.

— Przepraszam, właśnie sobie o czymś przypomniałam – odparła pośpiesznie, zła na siebie, że się wcześniej nie spostrzegła. Właśnie opisywała mu życie codzienne niewielkiej społeczności Minervy, będącej jedyną pozostałością niegdyś potężnego feministycznego państwa. Jak się wydawało, Davina interesowali przede wszystkim minerviańscy mężczyźni, i Jan, uzbrojona w nowo nabytą wiedzę o jego motywach, zastanawiała się, dlaczego.

— Pytałeś o naszych mężczyzn... jakie mieli charaktery? – Chciałem wiedzieć, czy w swojej zmodyfikowanej postaci zachowali jakąkolwiek zdolność do stosowania przemocy fizycznej – powtórzył Davin.

— Teoretycznie nie, ale... – przerwała znowu, kiedy zalała ją fala wspomnień. Stał przed oczyma dzień, kiedy *Władca Pangloth* zbombardował Minervę, a następnie zrzucił na spadochronach oddziały Niebiańskich Wojowników, aby dokończyli krwawego dzieła. Mimo całej okropności tego, co działo się wokół, pamiętała, jakim szokiem był dla niej widok minerviańskich mężczyzn z bronią w ręku. Było to sprzeczne ze wszystkim, czego ją uczono o ich naturze, odmienionej przez Boginię Matkę.

— ...niektórzy walczyli, pod koniec, u boku kobiet. Chyba byli to mutanci. Mutacje wsteczne zdarzały się czasem wśród samców szympanсів, których używałyśmy do cięższych prac. Prawdę mówiąc, po osiągnięciu pewnego wieku nie można było

ufać żadnemu z nich. Kiedy osiągały dojrzałość, zamykałyśmy je w zagrodach i używałyśmy tylko samic. Uśmiechnęła się do kolejnego wspomnienia.

— Mnie też uważano za mutantkę z powodu niskiego wzrostu.

Byłam mała jak przeciętny minerviański mężczyzna. – Mutacje wsteczne są nieuniknione, zmiany w materiale genetycznym następują w czasie losowo. Ale powinno być możliwe skonstruowanie czegoś w rodzaju genetycznej „jednostki naprawczej”, która co jakiś czas likwidowałaby wszelkie przypadkowe zmiany, jakie pojawiły się w DNA gatunku.

Jan popatrzyła na Davina.

— Najwyraźniej przekraczało to możliwości minerviańskich inżynierów genetyków w czasach, kiedy modyfikowali mężczyzn – powiedziała. – Jaki sens mówić o tym teraz? I tak już za późno, żeby udało się cokolwiek zrobić dla jakiegokolwiek gatunku na Ziemi, prawda?

— Niezupełnie rozumiem, o co ci chodzi – odparł Davin z wystudiowaną niewinnością w głosie.

— Nie chce mi się wierzyć – stwierdziła Jan sucho. – Pytałam, dlaczego o tym mówisz. Czyżbyście mieli jakieś plany wobec reszty świata? Wiem, że leży to w waszych możliwościach. Davin pokręcił głową.

— Wyjaśnialiśmy ci to wcześniej, Jan. Jedyne, co nas interesuje, to Eloje. Tak zostaliśmy zaprogramowani. Nie możemy wam pomóc. Los świata jest godzien ubolewania, ale to nie nasza sprawa. My istniejemy jedynie po to, żeby opiekować się Elojami i ich chronić.

Wydawał się szczerze zmartwiony, ale Jan nie dała się zwieść. Czowała odrazę do zimnej, nieludzkiej rzeczy ukrytej gdzieś we wnętrzościach osiedla, która manipulowała tym

przekonującym obrazem człowieka. Wzięła głęboki oddech.

— Dużo wam z tego przyjdzie, jeśli Milowi uda się odkryć to miejsce – powiedziała ze złością.

— Ach tak, ten Milo, o którym ciągle mówisz... niezwykle interesująca postać.

— Raczej potwór – powiedziała Jan. – I wcale nie jestem pewna, czy interesujący.

— Uważasz, że mógłby być dla nas niebezpieczny? – Owszem. Jak wam już mówiłam, Milo stanowi poważne zagrożenie dla wszystkich. A kiedy usłyszał o Shangri La od Robina, wydawał się bardzo zainteresowany. Nie zdziwiłabym się, gdyby szukając nas udał się na południe.

— Sama powiedziałaś, że cała flota Władców Niebios próbowała nas znaleźć, ale bez skutku.

— Cała flota antycznych sterowców z barbarzyńcami na pokładzie. Anioł Niebios jest inny. Nowy i wyposażony w niesamowitą broń. Obsługują go programy podobne do ciebie. I Milo też jest inny. Też, podobnie jak ty, nie jest istotą ludzką.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Zebranie należało do hałaśliwych. Nie wszyscy podzielali entuzjazm Lyle'a i Lona Haddona przed zbliżającą się wizytą pozaziemców. Wśród oponentów wodził prym Jelker Banks. Od dawna ostro krytykował poczynania Lona Haddona. Ayla wiedziała, że jego wrogość bierze się z faktu, że nie udało mu się wejść do rządzącego sekstetu. Zaraził nienawiścią całą swoją liczną rodzinę i od tej pory wszyscy Banksowie zadawali sobie wiele trudu, żeby zatruć życie Haddonowi i jego bliskim – czyli Ayli i jej starszemu bratu. Po drugiej stronie sali zgromadzeń Banks w otoczeniu swoich zwolenników właśnie przedstawiał – czy raczej wykrzykiwał – swoje racje.

— ...a ja wam mówię, że wystawiamy się na poważne niebezpieczeństwo! Skąd wiadomo, że możemy im zaufać? Mamy tylko ich zapewnienia, że przybywają w pokojowych zamiarach! Lon Haddon i jego przyjaciele dali się złapać na te podejrzane obietnice jak naiwne dzieci!

Rozległy się gromkie okrzyki jego popleczników. Z innych części sali zaczęły dochodzić szmery poparcia. Lyle Weaver, zasiadający na Tronie Władcy, gestem nakazał ciszę i wskazał na Lona Haddona, żeby odpowiedział na zarzuty. Ayla, która przycupnęła na samej górze wznoszących się amfiteatralnie rzędów siedzeń, widziała, jak daleko w dole jej ojciec wstaje z miejsca. Ze smutkiem uświadomiła sobie, że jego głos staje się coraz bardziej znużony i ochrypły. – Mój szacowny kolega przejawia nieuzasadniony pesymizm w sytuacji, kiedy



powinniśmy się radować szczęściem, jakie nam przypadło w udziale. Spotkanie z naszymi braćmi z pozaziemskiego osiedla wyznacza początek nowej ery, otwiera przed nami nową przyszłość. Nie tylko przed nami, ale przed całą ludzkością! Gdzieniegdzie zabrzmiały oklaski i okrzyki poparcia. Jelker Banks zaczął protestować, mimo że nikt nie udzielił mu głosu: — To ty tak mówisz, Haddon! Skąd ta pewność? Ledwo udało się nam wyrwać spod panowania *Pachnącego Wietrzyka*, a już nas chcesz wpakować w kolejną niewolę!

— A jaki interes mieliby Karagańczycy w podbijaniu Palmyry?  
— zawołał Haddon.

— Taki sam, jak przekłęci Władcy Niebios, kiedy trzymali nas pod butem! Żebyśmy dostarczali im żywności, odzieży i innych dóbr! — odparł Banks.

— Po co im nasza żywność i cała reszta, skoro byli samowystarczalni przez całe stulecia? — przekonywał Haddon. — Może mają już dość żarcia z odzysku! Wcale bym się im nie dziwił! — Uwaga wywołała na sali salwy śmiechu, nie tylko wśród zwolenników Banksa.

Haddon poczekał, aż hałas ucichnie, po czym kontynuował: — Utrzymujemy z nimi kontakt już od trzech tygodni. Sam spędziłem na rozmowach z nimi wiele czasu. Na tej podstawie uzyskaliśmy w miarę prawdziwy obraz ich społeczności i warunków panujących w osiedlu. Przyznają, że nie żyją w luksusie, ale żywności z całą pewnością im nie brakuje. Zmodyfikowane genetycznie szczepy bakterii w ich fabrykach żywności w dalszym ciągu pracują wydajnie i wytwarzają szeroką gamę produktów z odzyskiwanej materii organicznej. — Znowu masz na dowód tylko ich słowa! — wykrzyknął Banks. — I wierzę im — odparł zdecydowanie Haddon. — Uważam, że

wszyscy powinniśmy im wierzyć. Nasze istnienie, stosunkowo wysoki poziom naszego rozwoju technicznego, jest dla nich zachęcającym znakiem, że świat może się podnieść z zapaści spowodowanej przez Wojny Genetyczne. Przybywają, żeby się przekonać, na ile możliwość ta jest realna. Wiesz dobrze, Jelkerze – tu Haddon wskazał oskarżycielsko na Banksa – że mimo naszych osiągnięć nie mamy szans w walce z zarazą. Warunki pogarszają się w szybkim tempie. I nie trzeba żyć tak długo jak ja, żeby to dostrzec. Bez pomocy z zewnątrz my... Palmyra nie przetrwa długo. Trzeba być głupcem, żeby odrzucić propozycję połączenia sił.

Ayla wyszła na werandę na pierwszym piętrze, niosąc w rękach dwie szklanki zimnego piwa. Gdzieś z głębi lądu opanowanego przez zarazę dochodził pełen gniewu ryk jakiegoś zwierzęcia. Chyba jeden z tych olbrzymich gadów. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Lon leżał wyciągnięty na leżaku, wpatrując się w ciemny ocean. Podała mu szklankę, przysunęła sobie drugi leżak i usiadła. Patrzyła na niego z wyrazem troski na twarzy. – Co cię tak przygnębiło? Głosowali przecież na twój projekt? – Och, wiedziałem, że tak będzie. Zresztą Lyle i tak ma prawo weta. Chodzi mi o rozmiary poparcia, jakie uzyskał Jelker. Coraz więcej ludzi przyłącza się do niego. Dzisiaj wieczorem zyskał sobie nowych popleczników. Obawiam się, że to może spowodować problemy, kiedy nasi przyjaciele wreszcie przybędą. Ayla pociągnęła łyk piwa.

— Rozumiem – powiedziała. – Ja też się martwię.

Lon odwrócił się do niej.

— Jelkerem?

— Och, to swoją drogą. On i ta jego okropna rodzinka. Nie, myślałam o tym, że wszyscy zapomnieli na zebraniu o

ostrzeżeniu, jakie otrzymaliśmy od wodnych ludzi. Obiecałeś, że porozmawiasz o tym z Lyle'em.

— To dlatego, że ta, hm, debata na temat przybyszów zabrała tak wiele czasu.

Oboje wzdrygnęli się lekko, kiedy w siatkę, osłaniającą werandę, uderzył z gniewnym brzęczeniem jakiś wielki owad. Po chwili Ayla rzekła: – Następne zebranie będzie dopiero za dwa tygodnie. A powinniśmy zacząć działać już teraz.

— Wybacz, że to mówię, kochanie, ale czy nie przywiązujesz do całej sprawy zbyt wielkiej wagi? Wodnym ludziom zagraża jakieś nowe niebezpieczeństwo. Należało się tego spodziewać. Sama dobrze wiesz, że ocean staje się coraz bardziej niebezpieczny. Może w zajmowanym przez nich sektorze rozmnożyły się glisty morskie? Ale wodni ludzie są dobrze przygotowani i potrafią się obronić. Tak zostali skonstruowani. Oprócz tego, że umieją walczyć z naturalnymi zagrożeniami, zostali jeszcze ulepszeni do walki z oddziałami dywersyjnymi, wysyłanymi przez inne przedsiębiorstwa, kiedy rywalizacja między Korporacjami Genetycznymi stawała się coraz bardziej zaciekle. Więc na twoim miejscu aż tak bardzo bym się tym nie przejmował. – To dlaczego chcą, żebyśmy im dostarczyli broni?

— Czego? – zapytał Lon Haddon zaskoczony.

— To prawda. Dzisiaj podczas wymiany ich przywódca, Tygrys, ciągle wskazywał na strzelbę, którą Kell miał ze sobą. Jego intencje były zupełnie jasne. Chciał dostać podobną broń. W każdej ilości. – Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

— Nie miałam czasu, żeby z tobą porozmawiać przed zebraniem. Myślałam, że o tym powiem, kiedy poruszyście problem wodnych ludzi. Ale nie było okazji. – Wzruszyła ramionami. Haddon zmarszczył brwi.

— Nic nie rozumiem. Mają pazury i zęby ostre jak brzytwy... Dlaczego mieliby naraz potrzebować broni? Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. – Dlatego się martwię, tato. Tygrys znowu mnie ostrzegął. Tak jak w zeszłym tygodniu. Złapał mnie za rękę i pokazał na ocean. I jest jeszcze coś. Zawsze towarzyszyły mu dwie kobiety. Myślę, że to jego żony. A dzisiaj była z nim tylko jedna.

— To może oznaczać wiele różnych rzeczy – zaczął Haddon.

— Tak, ale biorąc pod uwagę wszystko inne, sądzę że to zły znak.

Podobnie jak jego blizny.

— Blizny?

— Długie okropne szramy. I wszystkie świeże. Cały tors ma nimi pokryty. Wiem, że jest jak zakuty w zbroję, ale na ich widok aż się wzdrygnęłam. Widziałam je też u innych mężczyzn. Rekiny ani glisty morskie nie mogły ich zrobić.

Haddon milczał dłuższą chwilę popijając piwo.

— Bardzo się tym martwisz, prawda?

— Bardzo. Ale wydaje mi się, że jak na razie, oprócz Kella i Juli nikogo to nie obchodzi. Lyle Weaver próbuje mnie spławić za każdym razem, kiedy zaczynam o tym mówić, tak samo ty. Jedyne, co was obchodzi, to wizyta „naszych pozaziemskich przyjaciół”. W porządku, wiem, że to historyczne wydarzenie i jakie ma znaczenie dla Palmyry, ale nie możemy przecież zaniedbać całej reszty z tego powodu.

Haddon westchnął. – Masz rację, myślę tylko o jednym. Ale trudno się temu dziwić. Odzyskałem nadzieję, Aylo, nadzieję. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat zaczynam wierzyć, że być może mamy przed sobą jakąś przyszłość. Oczywiście, nie myślałem o sobie, ale o tobie, Palmyrze, o całym rodzaju ludzkim.

Ayla skuliła się wewnętrznie. Nie znosiła, kiedy nawiązywał, choćby okrężną drogą, do swoich niedawnych urodzin i ich znaczenia. Chociaż nigdy nie rozmawiała z nim otwarcie na ten temat, wiedziała, że od dawna jest na to przygotowany. Nie chciała o tym myśleć. Przerazało ją, że ojciec może umrzeć w każdej chwili w ciągu najbliższych pięciu lat. Szybko dopiła piwo i wstała.

— Idę spać. Jutro przeprowadzamy inspekcję zewnętrznego ogrodzenia, muszę się wyspać. Nie zapomnij, proszę, powtórzyć Lyle’owi tego, co ci mówiłam o wodnych ludziach. – Dobrze, kochanie. Obiecuję.

— Dzięki.

Szybko opuściła werandę, nie zatrzymując się, żeby jak zwykle pocałować go w policzek na dobranoc.

Ojciec zbudził ją, potrząsając za ramię. W świetle wczesnego ranka wydawał się przygnębiony, co ją przeraziło. – Co się stało? Źle się czujesz? – zapytała z niepokojem. – Nie, w porządku... przynajmniej fizycznie. Wstawaj natychmiast. Ogłoszono alarm.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że słyszy wycie syren.

— Czy to...?

Przytaknął poważnie.

— Radar wykrył go przed chwilą. Jest jeszcze daleko nad oceanem, ale z całą pewnością zmierza w naszym kierunku. Władca Niebios.

JeanPaul potarł szczecinę, porastającą jego zapadnięte policzki, spoglądając w zamyśleniu na osiedle rozciągające się na wybrzeżu w dole.

— Wygląda na bogate. I duże. Większe niż wszystkie, które należały do lenna *Władcy Montcalma*. Prawdę mówiąc, większe

niż wszystkie, które widziałem odkąd opuściliśmy Kanadę. Emile, stojący obok niego, opuścił lornetkę.

— Sądząc po liczbie domów, myślę, że musi tu mieszkać około pięciu tysięcy ludzi – powiedział podniecony. – Kilkanaście małych fabryk, wielkie pola uprawne w głębi lądu i popatrz... – wskazał w dół, na ocean – ...te budowle. System umocnień i zagrody dla ryb, sądząc po wyglądzie. Te szczury są naprawę dobrze zorganizowane. JeanPaul zgodził się z Emilem, który teraz, po śmierci Claude’a, został jego zastępcą. Osiedle rozpościerające się w dole było najbogatszym i najlepiej zorganizowanym, jakie zdarzyło mu się widzieć.

— Nie podlegają żadnemu Władcy – powiedział w przebłysku intuicji. – I to już od dawna. Dlatego wyglądają na takich bogatych. – Teraz już podlegają – zaproponował Emile. – Nam. Ciągłe jeszcze mamy mnóstwo bomb na pokładzie. Zrzucimy parę, żeby wiedzieli, o co nam chodzi, a potem pošlemy na dół uzbrojony oddział, duży uzbrojony oddział, żeby zdobył tyle żywności, ile się da. – Tak, zdaje się, że to jedyny sposób – niechętnie zgodził się JeanPaul.

W dawnych czasach, kiedy statkiem rządził Władca Montcalm i podlegli mu panowie, nie obchodził go los Ziemi. Oczywiście, pogardzał wielkimi panami, ale jego życie jako żołnierza było łatwe i wygodne, i uważał za naturalne, że niebiańscy ludzie powinni rządzić tymi, których los skazał na nędzną egzystencję na skażonej Ziemi. Ale odkąd sterowiec został zdobyty i zainstalowano w nim zniechęconą Ashley, stosunek JeanPaula do kwestii podbojów całkowicie się zmienił. Nawet, jeśli podbijanymi byli tylko mieszkańcy Ziemi... – Co to znaczy „zdaje się”? – spytał Emile z niedowierzaniem. – Jesteśmy bliscy śmierci głodowej, z tobą włącznie. Została z ciebie skóra i kości. A może

chciałbyś jeszcze raz spróbować rybołówstwa? Nie, tego JeanPaul z pewnością nie chciał robić. Wspomnienie pierwszej nieudanej próby było wciąż boleśnie żywe w jego pamięci. Czuł się chory za każdym razem, kiedy przypominał sobie, jak bezradnie patrzył ze sterowni na gigantyczną kałamarnicę porywającą jego ludzi w odmęty. W końcu liny nie wytrzymały ciężaru i wózek wpadł do wody. Zostało w nim jeszcze kilku ludzi. Widział, jak toną jeden po drugim. Rozkazał zrzucić bomby, jednak zanim rozkaz wykonano, potwór już zniknął. JeanPaul wątpił, czy wyrządziły mu jakąkolwiek szkodę.

Poczuł, że Emile ściska go za ramię.

— Codziennie tracimy ludzi z powodu chorób i niedożywienia – nalegał. – Sam Bóg nas tu sprowadził. Tak, to dar od Niego! Musimy go przyjąć! A zresztą, co innego możemy zrobić? – Moglibyśmy poprosić ich o żywność – odparł cicho JeanPaul.

Emile wpatrywał się w niego zaskoczony.

— Z głodu pomieszało ci się w głowie, przyjacielu! Poprosić ich?

Poprosić? I myślisz, że tak po prostu ją nam dadzą? Dobrowolnie?

Niebiańskim ludziom?

JeanPaul westchnął.

— Nie, oczywiście, masz rację. Zbierz oddział uderzeniowy... i każ przygotować bomby. Zaatakujemy tak szybko, jak się da.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Milo Haze stał naprzeciw swoich uczniów. Było ich czworo, dwie kobiety i sześciu mężczyzn. Siedzieli w niewielkiej sali wykładowej umeblowanej ze spartańską surowością; mężczyźni po jednej, kobiety po drugiej stronie przejścia. Wśród tych ostatnich dostrzegł siostrę Annę. Okres samotnego zamknięcia już się skończył i dołączyła do klasy. Starła się unikać jego wzroku za wszelką cenę, więc zabawiał się, próbując jej zajrzeć w oczy.

— Witajcie, drodzy bracia i siostry – zaczął radośnie posyłając im promienny uśmiech. Przebiegł wzrokiem ich twarze; udało mu się na chwilę pochwycić spojrzenie siostry Anny. Zobaczył, jak jej policzki pokrywa rumieniec; szybko spuściła wzrok na dłonie, ciasno splecione na podołku.

— Za pozwoleniem ojców zdecydowałem się zrezygnować z przewidzianego na dzisiaj tematu. Będę mówił o czymś zupełnie innym – przerwał, kiedy na twarzach odmalowało się zaniepokojenie, po czym ciągnął dalej: – Zapewne wszyscy słyszeliście już nowinę, że będę towarzyszył ojcu Shawowi w wyprawie na Ziemię. Niepewnie skinęli głowami. Biedny ojciec Shaw, pomyślał Milo złośliwie. Wcale nie miał ochoty brać udziału w ekspedycji na Macierzystą Planetę. Wręcz przeciwnie, jego twarz zrobiła się stalowoszara, kiedy go ojciec Massie poinformował, że został wylosowany przez CenCom. Najwyraźniej spodziewał się tam spotkać swoją śmierć. Milo postanowił dołożyć starań, żeby się nie zawiódł. – Mam zamiar



przedstawić dzisiaj pewne medyczne aspekty Wojen Genetycznych i ich następstw – mówił Milo. – Znacie wszyscy przyczyny Wojen, prawda? Bracie Johnie, proszę wstać i przypomnieć nam...

Brat John podniósł się z miejsca. Był to młody, około dwudziestopięcioletni, nieco otyły mężczyzna. Jego tusza fascynowała Mila, bo teoretycznie nie powinna wystąpić w Głównym Wzorcu. Brat John był żywym dowodem na to, że w Belvedere cechy regresywne zaczynały się pojawiać wśród ludzi, tak samo jak wśród zmodyfikowanych szczepów bakteryjnych, odpowiedzialnych za podtrzymywanie wielu podstawowych dla życia funkcji osiedla. Mutanci, myślał Milo, zastanawiając się, czy brat John nie jest przypadkiem spokrewniony z pulchnym ojcem Shawem.

Młody człowiek odchrząknął.

— Więc, hm, bracie Jamesie, Wojny Genetyczne wywołali bezbożni, opętani przez Szatana ludzie, którzy rządzą na Ziemi – zaczął. – Chcieli uzyskać całkowitą władzę nad swoimi wrogami. Zachęcili inżynierów genetyków, którzy im służyli, do stworzenia jeszcze groźniejszych odmian tych żywych stworzeń, które były niemiłe Bogu. Tylko On ma prawo stwarzać życie, więc ci ludzie przez swoje nieposłuszeństwo skazali się na wieczne potępienie. Żeby ich ukarać Bóg odwrócił się od Ziemi i planetę spustoszyły straszliwe plagi, stworzone przez inżynierię genetyczną. Nasi przodkowie tutaj, na Belvedere, i wszyscy, którzy przeżyli w innych osiedlach i koloniach, zostali oszczędzeni, aby dawać świadectwo potwornym zbrodniom popełnionym przez Ziemiaków przeciw Bogu i aby za nie odpokutować... – Dziękuję, bracie Johnie. Dobrze powiedziane. Może brat usiąść. – Ty głupi, tłusty mutancie. – Dla uściślenia,

Wojny zostały wywołane przez organizacje znane jako Korporacje Genetyczne. Były to potężne, międzynarodowe kompanie, które zbiły fortuny na inżynierii genetycznej i dzięki temu zdobyły wielkie znaczenie. Wśród złych – (ha!) – ludzi zarządzających nimi panowała ostra konkurencja. Wykradali sobie nawzajem inżynierów genetyków, dokonywali zamachów na personel swoich rywali, a nawet posuwali się do akcji sabotażowych, żeby uniemożliwić im realizację przedsięwzięć (moja specjalność, przypomniał sobie Milo z satysfakcją), krótko mówiąc, prowadzili coś w rodzaju cichej wojny. A potem wybuchł jawny konflikt. Zostały weń wciągnięte wszystkie pozostałe niezależne państwa. Na lądzie, w oceanach i w powietrzu rozszalały się biologiczne maszyny do zabijania. Z początku podpisano porozumienie o zakazie używania broni bakteriologicznej i wirusowej, ale jak to zwykle bywa, jedna z korporacji złamała zasady, a za nią szybko podążyły pozostałe. I taki był początek zarazy... Sztuczne plagi, bo tak je nazywano, rozprzestrzeniały się na różne sposoby; jedne były prymitywne, inne bardzo pomysłowe. Same zarazy również znacznie różniły się między sobą, niektóre działały natychmiast, inne miały długi okres inkubacji. Jedna z nich, nazywana „czarną śmiercią”, przypominała dżumę. Powodowała wysoką gorączkę i bolesne obrzęki pach, krocza i szyi, czyli w okolicach węzłów chłonnych. Nazwa wzięła się od ciemnych plam, spowodowanych przez wylewy podskórne. Nowa odmiana charakteryzowała się stuprocentową śmiertelnością i zabijała w ciągu trzech do czterech dni. Podobnie jak pozostałe sztuczne plagi była odporna na wszystkie istniejące wówczas leki. Inną, działającą o wiele szybciej, nazwano „nagłą zgubą”. Był to wirus, przenoszony drogą powietrzną. U każdego, kto znalazł się w zasięgu

rozpraszania, następowała nagle zapaść, połączona z gwałtownymi drgawkami i wymiotami. Śmierć nadchodziła w ciągu paru minut, ofiary dławili się własnymi wymiocinami. Przerwał dla większego efektu i spojrział przelotnie na siostrę Annę. Znowu udało mu się ją zaskoczyć. Była bardzo blada, ale zaczerwieniła się natychmiast, odwracając wzrok. Milo uśmiechnął się do siebie.

— Istniał też bardzo skuteczny grzyb, którego spory również roznosiły się drogą powietrzną. Zarodniki dostawały się do dróg oddechowych podczas wdechu i błyskawicznie przerastały nabłonek płuc, tworząc grzybnię, która stopniowo upośledzała oddychanie. Śmierć następowała zwykle w ciągu dwudziestu czterech godzin. Większość plag miała zaprogramowany krótki okres życia. To znaczy, bakterie czy wirusy działały skutecznie przez, powiedzmy, tylko parę dni, a potem ulegały autodestrukcji. Niektóre jednak, celowo albo w drodze mutacji, zostały wyposażone w zdolność mnożenia się w nieskończoność, podobnie jak bakterie i wirusy występujące w przyrodzie. Wskutek tego, kiedy Wojny Genetyczne się skończyły (a trwały tylko siedem miesięcy), niektóre plagi rozprzestrzeniały się w dalszym ciągu. Nasi przodkowie tutaj, w Belvedere, musieli bezsilnie patrzeć, jak cywilizacja ludzka na Ziemi powoli wymiera. Wierzyli, że zagłada była całkowita, i Belvedere oraz inne osiedla przestały się interesować Ziemią całe wieki temu. Niedawno dowiedzieliśmy się, że ktoś jednak przeżył: ludzie, którzy nadali sygnały radiowe. Twierdzą oni, że zarazy skończyły się już dawno, że są zupełnie zdrowi i że my również nie musimy się obawiać infekcji. O tym właśnie mamy się przekonać, kiedy z ojcem Shawem udamy się na Ziemię.

Jeden ze studentów podniósł rękę.

— Tak, bracie Danielu? – spytał Milo.

— Mów się, że to wszystko może być sztuczką Szatana – zaczął student z wahaniem – i te przekłete istoty chcą zwabić mieszkańców osiedla, żeby skazić ich swoim zepsuciem.

— Hm, jeśli się tak stanie i wrócimy razem z ojcem Shawem zarażeni jakąś potworną ziemską chorobą, mam nadzieję, że wy, moi studenci, zrobicie dobry użytek ze swoich medycznych umiejętności – odpowiedział, uśmiechając się dobrotliwie.

Patrzyli na niego z przerażeniem. Najwyraźniej dowcip niezbyt im się spodobał.

Władca Niebios zbliżał się do Palmyry, zataczając szerokie kręgi. – Zaczyna się – stwierdził Haddon, obserwując go przez otwór strzelniczy w grubym murze bunkra dowódcy. – Mam nadzieję, że się uda.

— Będzie, co Bóg da – westchnął Lyle Weaver, spoglądający przez podobny otwór obok.

— Ja tam wolę zaufać pociskom – mruknął Haddon. – No cóż, wkrótce się przekonamy, kto miał rację – odparł Weaver. – Każę rozpocząć ostrzał już teraz.

Sięgnął po mikrofon.

— Do wszystkich stanowisk. Otworzyć ogień. Powtarzam, otworzyć ogień.

Palmyra wydawała się wymarła. Ulice były puste, większość mieszkańców schroniła się pod ziemią. Jednak kiedy padł na nią cień ogromnego sterowca, w sześciu punktach miasta coś się zaczęło dziać. Z pośpiechem usuwano siatki maskujące, fałszywe dachy i ściany, odsłaniając stanowiska dział. Każde z nich obsługiwała załoga złożona z trzech osób. Lufy dział były skierowane w stronę nadlatującego statku. Zabrzmiała salwa, przez Palmyrę przetoczył się głośny huk, aż zadrżały ściany

budynków.

— Ci durnie do nas strzelają! – wykrzyknął Emile, śmiejąc się z pogardą. – Czyżby nie wiedzieli, że to strata czasu? Nasza automatyczna obrona nie... Chryste! – poczuł, jak statek drgnął, kiedy pierwsze pociski uderzyły w kadłub *Władcy Montcalma*. Zdumiony popatrzył na JeanPaula. – Lasery! Przestały działać! Ale kiedy to mówił, gdzieś znad pomieszczenia sterowniczego wystrzelił promień lasera i zdetonował pocisk, zanim ten zdążył osiągnąć statku. Następny promień unieszkodliwił kolejną raketę... ale inne w dalszym ciągu przenikały przez system obronny i dziurawiły kadłub.

— Co jest, do cholery? – krzyknął Emile.

— Nie mam pojęcia – odparł JeanPaul. Zaraz potem rozkazał: – Sternicy, cała wstecz! Wyprowadźcie nas poza ich zasięg, szybko! W bunkrze dowódcy zapanowała radość.

— Działają, na Boga, działają! – krzyczał Lyle Weaver, waląc Haddona po ramieniu.

— W każdym razie większość z nich – odparł rzeczowo Haddon, obserwując, jak kolejne wybuchy wykwitają na kadłubie sterowca, próbującego się niezgrabnie wycofać. Lasery były w stanie przechwycić niewiele pocisków. W głębi ducha Haddon był bardzo zadowolony z siebie. Właśnie z zawziętością udowodniano skuteczność wynalezionej przez niego sposobu na przechytrzenie systemu automatycznej obrony Władców Niebios.

Kiedy wiele lat temu *Pachnący Wietrzyk* nie zjawiał się w oznaczonym terminie, a potem jego tajemnicza nieobecność zaczęła się przeciągać, Haddon poddał myśl, żeby wykorzystać ten czas na wynalezienie efektywnych środków obrony. Większość przyjęła tę propozycję sceptycznie. System laserowy

sprawiał, że sterowce były praktycznie odporne na wszelkie ataki; lasery niszczyły każdy obiekt większy od kuli, który zbliżał się do statku, o ile nie był żywym organizmem albo nie zawierał żywego organizmu powyżej pewnych rozmiarów. Przyjmowano, że są to rozmiary małego ptaka. Ten „humanitarny” przeżytek pochodził jeszcze z czasów, kiedy ogromne sterowce służyły jako tani środek transportu towarów i żywności oraz napowietrzne schronienie w czasie klęsk żywiołowych. Władcom Niebios, którzy przejęli je po Wojnach Genetycznych, aby schronić się przed zarazą, nigdy nie udało się przejąć kontroli nad systemami laserowymi. Wiedząc, że posiadają środki techniczne wystarczające do wyprodukowania prymitywnych, ale skutecznych pocisków, Haddon wpadł najpierw na pomysł, żeby umieszczać w łuskach niewielkie zwierzęta. Inżynierowie wytłumaczyli mu jednak, że nie przeżyłyby dostatecznie długo. Przyspieszenie powstające przy wystrzale zabiłoby je, zanim by się znalazły w zasięgu detektorów statku. Haddon nie poddawał się i w końcu znalazł inne rozwiązanie. Palmyra nie miała własnych techników genetycznych z prawdziwego zdarzenia, ale kilku inżynierów wiedziało o biologii dostatecznie dużo, żeby utrzymać przy życiu zmodyfikowane genetycznie mikroorganizmy wykorzystywane do różnych celów, począwszy od odsalania wody morskiej, na warzeniu piwa skończywszy. Na prośbę Haddona dostarczyli mu materiał biologiczny zdolny przeżyć w izolacji przez dłuższy czas, pod warunkiem, że zostanie zaopatrzone w dostateczną ilość substancji odżywczych. Haddon i jego pomocnicy umieścili materiał w specjalnie przygotowanych łuskach. Po przeprowadzeniu próbnych strzałów przekonali się, że przyspieszenie go nie zabija, nie mieli jednak pewności, czy uda się im w ten sposób oszukać system

obronny sterowca. Aż do dnia dzisiejszego...

— Patrzcie! Zapalił się! – krzyknął ktoś za Haddonem. Była to prawda. Wzdłuż jednego z boków Władcy Niebios, odlatującego nad ocean, migotały płomienie. Lon słyszał jak potężne silniki wyją próbując zwiększyć prędkość statku, ale było już za późno. Kilka pocisków musiało trafić w jedną z komór z wodorem. A może, dumął Haddon, cały kadłub jest nim wypełniony. Jeśli tak, załoga nie ma większych szans na przeżycie. Nagle wyparowała z niego cała duma. Z jego winy wkrótce zginą ludzie, być może wielu ludzi. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Co z tego, że to niebiańscy ludzie, odwieczni wrogowie jego współplemieńców; są istotami ludzkimi. Było w tym coś absurdalnego: mimo że wokół umierał świat, oni nadal się mordowali. Płomienie ogarnęły już cały bok kadłuba. Haddon zobaczył, jak jeden z silników oderwał się i leci, kreśląc na tle nieba szaleńczy wzór, żeby w końcu wpaść w wody oceanu. Zastanawiał się, skąd sterowiec pochodzi. Z pewnością nie był to *Pachnący Wietrzyk*. Ten miał inne kolory. Czy przejąłby się tak bardzo losem statku, gdyby wiedział, że na jego pokładzie znajduje się Władca Horado? Chyba nie... – Straciliśmy ciąg na lewej burcie! – krzyknął jeden ze sterników. – Spadamy!

Emile zbiegł ze schodów.

— JeanPaul, na górze wszystko się wali! Pali się komora trzecia i czwarta! Co mamy robić?

— Nic już się nie da zrobić. Wszystko skończone – powiedział cicho JeanPaul, wpatrując się w miasto, ostrzeliwujące ich w dalszym ciągu. – Najwyraźniej nie było mi sądzone zostać Władcą Niebios. – A potem dodał głośniejszym głosem: – Trzeba wydać rozkaz opuszczenia statku... Kiedy sięgał po mikrofon, rozległ się ogłuszający huk. Odrzuciło go do tyłu przez całą długość sterowni. Potem nie było nic. – JeanPaul! JeanPaul! Obudź się

wreszcie! – Ktoś bił go po twarzy. Z trudem podniósł odporne powieki. Dzwoniło mu w uszach. Sterownia była pełna dymu. Zaniósł się kaszlem. Emile pochylał się nad nim, w jego lewym policzku ziała ogromna, poszarpana dziura, przez którą było widać zęby.

— Co się stało? – wychrypiał JeanPaul.

— Trafili w sterownię. Wszyscy zginęli i statek nie ma kontroli.

Musisz wstać – Emile rozkaszał się. – ...niedługo uderzymy w wodę... Chwytał go i pomógł mu się podnieść. Podłoga sterowni była mocno przechylona na lewą burtę. Zaczęli się z trudem posuwać w stronę schodów. JeanPaul zobaczył przez dym, że cała przednia część zniknęła. Na podłodze leżał jeden ze sterników, skrwawiony ludzki strzęp. Drugi sternik zniknął, pewnie wybuch wyrzucił go na zewnątrz. U stóp schodów natknęli się na ciało jakiegoś inżyniera. W przeciwieństwie do zmasakrowanego sternika, nie miał widocznych obrażeń, ale nie było wątpliwości, że nie żyje. JeanPaul sięgał właśnie, żeby chwycić za poręcz schodów, kiedy *Władcą Montcalmem* wstrząsnęła kolejna eksplozja i statek gwałtownie zanurkował. Obaj mężczyźni zaczęli się zsuwać po podłodze w stronę rozbitych okien sterowni.

JeanPaul na próżno próbował się bronić przed ześlizgnięciem. Wydawało się, że sterowiec próbuje stanąć na nosie. JeanPaul zobaczył, jak ciało sternika znika w ziejącym w przedniej części otworze. Usłyszał za sobą wołanie Emile'a, a potem nagle sam znalazł się w powietrzu. Krzyknął.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Anioł Niebios zawisł w powietrzu około trzystu metrów nad powierzchnią Wielkiego Lodowca Rossa. Był piękny dzień, czyste niebo miało kolor intensywnego błękitu. Kilkanaście jaskrawych promieni laserowych topiło powierzchnię lodu, w górę unosiły się kłęby pary. Milo Haze patrzył na powiększającą się chmurę z rosnącym rozdrażnieniem.

— Cholera! – mruknął.

— Znowu będzie to samo – rzuciła ponuro Ashley. – Sam widzę – odburknął. Dlaczego nie pomyślał o tym, kiedy przygotowywał cały plan? Stopić lód za pomocą laserów? Proste! Tyle tylko, że pod wpływem promieni lasera lód zmieniał się w mgłę, która robiła się coraz gęstsza, aż w końcu rozpraszała je w takim stopniu, że stawały się bezużyteczne.

— Strata czasu – stwierdziła Ashley wyłączając lasery. – Masz jeszcze jakieś błyskotliwe pomysły? Bo jak dotąd wszystkie okazały się do kitu.

— Tego bym nie powiedział. Miałem rację, jeśli chodzi o sondy.

— Och, doprawdy? – prychnęła. – Zniknęły wszystkie co do jednej.

— Tak, ale wszystkie na tym obszarze... Pod Lodowcem Rossa. A więc osiedle musi się gdzieś tutaj znajdować – wskazał gestem rozciągającą się w dole białą płaszczyznę śniegu i lodu. – Gdzieś pod tym lodem.

— Gdzieś pod lodem – powtórzyła Ashley z sarkazmem. –

Wspaniale, tylko że ten lodowiec ma setki mil kwadratowych. I nawet, gdybyśmy znali dokładne położenie osiedla, nie uda się nam przez niego przebić.

— Nie przejmuj się. Musi być jakiś sposób...

— To ty się powinieneś przejmować, Milo. Spróbuj tylko nie dotrzymać tego, co mi obiecałeś, a stracisz wszystkie swoje niewielkie przywileje, a nawet, być może, życie. Mogłabym cię zostawić tam, na lodzie. Milo nie odpowiedział. Dzisiaj przynajmniej zachowuje się rozsądnie, pomyślał. Ostatnio przejawiała objawy coraz większego niezrównoważenia. Czasem nie odzywała się w ogóle, a ostatnio nabrała zwyczaju śpiewania po nocach przez całe godziny upiornych kołysanek. Przesunął dłonią po swojej łysej czaszce i głęboko się zamyślił. – No tak, przede wszystkim musimy zlokalizować osiedle... – Sama wiem, ty idioto! To właśnie próbowaliśmy zrobić. Ale nie pozwolę ci zmienić w sondę ani jednego mojego pająka więcej. Zostało mi tylko dwadzieścia jeden, a poza tym kończą się części zamienne.

Milo zerknął na stojącego obok pająka – eskortę, która miała pilnować, żeby przypadkiem nie wyciągnął software'u Ashley i nie zaczął po nim skakać – i poklepał go po kulistym ciele. W odpowiedzi robot groźnie się poruszył.

— Nie, nawet nie miałem zamiaru. Trzeba wymyślić coś nowego. Przypomniała mi się pewna rzecz z odległej przeszłości; sposób na zbadanie, co się znajduje pod powierzchnią ziemi czy, jak w tym wypadku, lodu poprzez analizę fal sejsmicznych. Fale rozchodzą się w różnych ośrodkach z niejednakową prędkością. Kiedy odnajdziemy właściwy sektor, będziemy w stanie określić grubość pokrywy lodowej, głębokość wody i położenie samego osiedla. – Ach, tak. A skąd weźmiesz te fale sejsmiczne? – zadrwiła Ashley.

— Z małych ładunków wybuchowych, osadzonych w lodzie. Każemy Carlowi zaprojektować potrzebne urządzenia rejestrujące. Z pewnością będzie wiedział, jak to zrobić. Ostatecznie, wie wszystko. Potem wyślemy pająki na lodowiec i każemy im przeprowadzać testy, sektor za sektorem. Na powierzchni powinny być bezpieczne. Zabierze to trochę czasu, ale na pewno się powiedzie. – W porządku, tylko nawet jeśli się uda, w jaki sposób dobierzemy się do osiedla? Lasery są bezużyteczne – odezwała się Ashley po chwili przerwy.

Milo wyszczerzył zęby w przyplýwie natchnienia. – Ależ tak! Cały czas mieliśmy rozwiązanie pod nosem!... to znaczy pod nosem w moim wypadku, do ciebie się to nie stosuje... – Przestań! Powiedz wreszcie, o co chodzi!

— Rozwiązaniem jest Carl. Właśnie przed chwilą mówiłem, że wie wszystko. Więc daj mi z nim porozmawiać.

— No, dobrze... – zgodziła się niechętnie.

W kabinie rozległ się uprzejmy głos Carla.

— O co chodzi, Milo?

— Na pewno słyszałeś naszą rozmowę. Jak przebić się przez lód, kiedy już zlokalizujemy osiedle?

— Za pomocą laserów.

— Dobry Boże, jest równie głupi jak ty – mruknęła Ashley. – Próbowaliśmy tego, Carl. Para blokuje... – zaczął Milo, zaniepokojony.

— Promienie lasera trzeba przesyłać światłowodami. – Oczywiście! – wykrzyknął Milo, uderzając pięścią w dłoń. – Do diabła, to takie proste! Spuścimy kilka światłowodów nad lód, a w miarę jak będzie się topił, będziemy je opuszczać coraz niżej. Bez względu na to, ile powstanie pary, nie będzie to miało znaczenia! I, na dodatek, system sterowniczy statku składa się w

całości ze światłowodów, więc na pewno znajdzie się parę kawałków w zapasie. – Zgadza się – potwierdził Carl.

Milo roześmiał się.

— No, to jesteśmy w domu! Nic nas już nie powstrzyma. Wkrótce będziesz kobietą z krwi i kości, Ashley, masz na to moje słowo. A wtedy, po starej znajomości, chętnie pomogę ci nadrobić kilkusetletnie zaległości w dziedzinie stosunków seksualnych. – Co? Myślisz, że pozwolę ci się ze mną kochać? Faj! – w głosie Ashley zabrzmiało obrzydzenie.

Jej reakcja dotknęła Mila do żywego.

— A co ci się niby nie podoba?

— Widziałam, co wyprawiałeś z Tyra. Poza tym nie uważam cię za pociągającego fizycznie. Szczerze mówiąc, wręcz przeciwnie. – Tyra to co innego, to tylko zabawka – powiedział poirytowany. – Zresztą i tak nie masz wyboru. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale cierpimy tu na ostry niedobór mężczyzn. Chyba że masz ochotę na tego minerviańskiego pokurcza, Shana.

— Żebyś wiedział, że wolałabym iść do łóżka z nim niż z tobą – odparła świętoszkowato.

Milo starał się opanować. Głupia dziwka, przez setki lat była niczym więcej jak elektronicznym makaronem zapisanym na biochipie, i naraz się jej wydaje, że jest dla niego za dobra! Miał przynajmniej jeden powód do satysfakcji: wiedział, że Ashley nigdy nie będzie żyć ani oddychać, nigdy nie będzie istotą z krwi i kości. Nawet jeśli osiedle dysponuje środkami, które pozwoliłyby wyhodować dla niej nowe ciało, on dołoży wszelkich starań, żeby nigdy do tego nie doszło. Chodziło mu tylko o to, żeby dostać w swoje ręce *Maskotkę* i splądrować osiedle w poszukiwaniu innych technologicznych skarbów. Postanowił dyplomatycznie zmienić temat rozmowy. – A jak z tą wymianą

radiową, którą ostatnio miałaś na podsłuchu? Ciągłe utrzymuje się na tym samym poziomie aktywności? – Nie, dzisiaj się to zmieniło – odparła Ashley znudzonym głosem. – Ci z kosmosu nadają, ale z Ziemi nikt nie odpowiada. Przynajmniej na razie.

Milo zmarszczył brwi.

— Dziwne. Może mają kłopoty ze sprzętem.

Parę tygodni wcześniej, po przybyciu na Antarktykę, Ashley poinformowała go, że Carl przechwycił sygnały radiowe między jakimś punktem na Ziemi i osiedlem na orbicie. Milo był bardzo zaskoczony. Wydawało się niemożliwe, by jakakolwiek ziemska społeczność zachowała technikę, pozwalającą zbudować nadajnik. Poprosił Ashley, żeby dała mu posłuchać, a kiedy ta łaskawie się zgodziła, szybko ustalił, że źródło sygnałów znajduje się w Australii, w dawnym japońskim stanie Noshiro, podczas gdy osiedlem orbitalnym jest Karaganga. Zaintrygowała go wiadomość o planowanej wyprawie Karagańczyków na Ziemię. Coś mu się tu nie podobało. Zasugerował Ashley, żeby przzerwali na krótko poszukiwania podwodnego osiedla, wykonali szybki rajd do Australii i zrównali z ziemią zuchwałe osiedle, zanim zdąży połączyć siły z przybyszami, ale odmówiła.

Nieco później rozczuliła go wiadomość, że w wyprawie mają wziąć udział dwaj reprezentanci Belvedere, gdzie spędził ponad sto lat życia.

— Belvedere! – wykrzyknął. – Boże, co za dziura! Prawie o nim zapomniał. Istne więzienie. W porównaniu z nim marsjańskie kolonie, mimo wszystkich niedostatków, wydawały się kurortem. A biorąc pod uwagę, jak się sprawy miały, kiedy opuszczał osiedle, jasne było, że religijni maniacy, którzy nim rządzą, zamierzają jeszcze przykręcić śrubę. Potem przypomniał sobie Carlę Gleick. Zastanawiał się bez emocji, jakie były jej dalsze losy.

Równie obojętnie rozważał, co się stało z jego „sadzonką”... – Cały czas bądź na nasłuchu – polecił Ashley. – Daj mi znać, jeśli się zdarzy coś ciekawego. Idę do warsztatu i każę Carlowi zabrać się do tych sejsmicznych urządzeń, a potem, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zrobię sobie krótką przerwę.

— W porządku – zgodziła się niechętnie.

— Dzień dobry, kochanie! Wróciłem! – zawołał Milo z fałszywą czułością, wchodząc do salonu. Tyra stała przy oknie zwrócona do niego plecami. Zauważył, jak na dźwięk jego głosu napinają się jej mięśnie karku. Miała na sobie długą do kostek białą suknię ze sztucznego jedwabiu. Nie odwróciła się. Przeszedł przez pokój. – Co, nie cieszysz się z mojego powrotu? Żadnych okrzyków zachwyty, że już jestem? Wyrazów radości na widok mężczyzny, do którego należy twoje serce?

W dalszym ciągu nie odezwała się ani nie poruszyła. Podeszedł do niej, ujął za ramiona i delikatnie obrócił. Spuściła oczy, próbując uniknąć jego wzroku. Zauważył, że siniec wokół jej prawego oka prawie zniknął. Wzdrygnęła się, kiedy pogładził go końcami palców. – Biedna Tyra – powiedział miękko. Chwycił ją za ręce i odwrócił wnętrzem do góry. Szramy na nadgarstkach również były już ledwie widoczne. Miesiąc temu próbowała popełnić samobójstwo. Kiedy odzyskała przytomność oświadczył jej, że jeśli zrobi to jeszcze raz, pozbawi jej ukochanego Shana jednej z kończyn, a jeśli się jej powiedzie, bardzo powoli zakatuje go na śmierć. Nie próbowała więcej. – Popatrz na mnie – rozkazał.

Podniosła głowę. Duże brązowe oczy były pełne lęku. Przypominała przestraszoną łanię.

— Dlaczego tak cię bawi znęcanie się nade mną? – spytała stłumionym, niepewnym, pełnym przerażenia głosem. Z

przyjemnością zastanowił się nad odpowiedzią. Dlatego, stwierdził w duchu, że twoja bezradność, pokora, wrażliwość, bezsilność najzwyczajniej prowokują mnie do tego, żeby cię ranić. To dziwne, u wielu gatunków ssaków, na przykład u wilków, okazywanie uległości – na przykład przez przewrócenie się na plecy i odsłonięcie wrażliwego brzucha lub gardła – sprawia, że napastnik rezygnuje z ataku. Ale w wypadku ludzi... – nie, mężczyzn – bezradność wywołuje często wręcz odwrotny skutek. – Każdy ma swoje hobby – powiedział na głos i szarpnął stanik jej sukni.

Siedząc w schronie, Ayla słuchała z napięciem głosu Lyle'a Weavera dobiegającego przez głośnik.

— Mieszkańcy Palmyry, niebezpieczeństwo minęło! Władca Niebios spłonął i spadł do wody za zewnętrznym ogrodzeniem. Na powierzchni oceanu dostrzeżono nielicznych rozbitków. Potrzebuję ochotników, aby popłynęli w łodziach i sprowadzili ich do osiedla. Nie zapomnijcie jednak zabrać ze sobą broni...

Odwróciła się do Kella.

— Gotowy? – zapytała.

Skinął głową.

— Pewnie.

— No to idziemy. – Ruszyła w stronę drabiny. Oboje mieli ze sobą miotacze dzid. Gdyby działa okazały się bezradne i Władcy Niebios udało się wysadzić wojsko w Palmyrze, dołączyliby do reszty dorosłych mieszkańców, żeby walczyć z najeźdźcą. Biegając na brzeg widzieli innych ludzi, spieszących w tym samym kierunku. Usłyszeli za sobą wołanie; była to Juli, próbowała ich dogonić. Ona również ścisnęła broń.

— Zwyciężyliśmy, zwyciężyliśmy! – krzyknęła. – Czy to nie wspaniałe?

— Jeszcze jak! – roześmiała się Ayla.

Nad brzegiem zatrzymali się nagle, podobnie jak ci, którzy przybyli wcześniej. Wszyscy w milczeniu patrzyli na ocean. Widok budził grozę...

Władca Niebios wpadł do wody jakieś trzy kilometry od brzegu. Większa część pogieętego wielkiego kadłuba wystawała nad powierzchnię. Statek palił się teraz od dziobu po rufę, woda wokół niego dymiała. Na oczach Ayli wielki statecznik na ogonie oderwał się i wolno wpadł do wody. Jak ktokolwiek może przeżyć w tym piekle? – pomyślała. Kell chwycił ją za rękę, wrywając z zamyślenia.

— Chodź już... trzeba wyprowadzić łódź!

Zanim dopłynęli do zewnętrznego ogrodzenia, z Władcy Niebios został poskręcany metalowy szkielet. Mimo to na wraku nadal szalały płomienie, a woda wokół niego wrzała. Wyprzedziły ich tylko dwie łodzie, ich trzymetrowy bączek z małym, ale o dużej mocy silnikiem bez trudu zostawił w tyle niewielką flotyllę zmierzającą w stronę sterowca.

— Nie sądzę, żeby się wielu uratowało – powiedział Kell, wpatrując się w wodę przed dziobem.

— Dlaczego? – spytała Ayla.

— A gdzie niby jego załoga miałyby się nauczyć pływać?

Byli jeszcze w dużej odległości od statku, kiedy Kell dostrzegł pierwsze ciała. Dotknął ramienia Ayli. W odległości jakichś dwudziestu metrów od sterburty zobaczyła kogoś unoszącego się w wodzie twarzą do dołu. Oboje zaczęli wykrzykiwać instrukcje Juli, siedzącej przy sterze. Kiedy dziewczyna podprowadziła łódź bliżej ciała, Kell wychylił się za burtę i podniósł je do góry. Był to mężczyzna. Głowa zwisała mu pod nienaturalnym kątem, w jednym z policzków ziała okropna dziura.



— Nie żyje – kwaśno stwierdził Kell. – Skręcił kark. Pewnie wtedy, kiedy statek uderzył o powierzchnię oceanu. Opuścił ciało do wody, gdzie przyjęło poprzednią pozycję twarzą w dół. Ayla zadrżała. Wyraz oczu martwego mężczyzny utkwił jej w pamięci. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Płynąc dalej napotykali coraz więcej ciał unoszących się w wodzie pośród szczątków statku. Czuli ciepło bijące od płonącego wraku, słyszeli dobiegające z niego trzaski. Wokół unosiły się chmury dymu i pary. Ciała, które widzieli teraz, były tak zwęglone, że nie potrafiliby określić ich płci. Kiedy mijali szerniałe zwłoki małego dziecka, Ayla odwróciła wzrok.

Ogromny szkielet rozpadającego się statku wznosił się teraz nad nimi; Kell ostrzegł, żeby nie podpływali bliżej: mógłby ich przygnieść jakiś spadający fragment. Juli zauważyła, że łodzie, które ich wyprzedziły, również zachowują ostrożność, utrzymując bezpieczny dystans od boku sterowca. I wtedy właśnie Ayla usłyszała krzyk. Dobiegał z wody, niedaleko od nich. Spojrzała w tym kierunku. Z początku widziała jedynie unoszące się na wodzie szczątki – nadpalone wiklinowe krzesło i kawałki desek – potem zauważyła obok nich głowę. – Tam! – krzyknęła do Juli, wskazując kierunek. Kiedy łódź zbliżyła się do rozbitka, Ayla zobaczyła, że jest to kobieta i że nie jest poparzona tak bardzo jak ciała, które wdzieli wcześniej, chociaż jej twarz pokrywały okropne pęcherze. Kobieta podniosła rękę, pokrytą bąblami podobnie jak twarz.

Ayla wychyliła się i chwyciła ją za nadgarstek. – Trzymam cię! – zawołała. Pociągnęła ze wszystkich sił... skóra z dłoni kobiety zsunęła się jak rękawiczka. Ayla upadła do tyłu, do łodzi. Ze zgrozą wpatrywała się w szarawy strzęp martwej skóry, który został jej w ręku. Odrzuciła go z okrzykiem obrzydzenia. Potem

odwróciła głowę i zwymiotowała na dno łodzi.

Udało się im wyłowić czworo rozbitków – poparzonych w mniejszym lub większym stopniu – zanim zdecydowali się wracać. Powierzchnia wody dokoła wraku była upstrzona łodziami. I pojawiło się nowe zagrożenie: rekiny. Zauważyli kilka płetw. Ayla siedziała na dziobie, starając się nie słyszeć jęków czworga rozbitków ze sterowca stłoczonych za jej plecami. Ciągłe jeszcze było jej niedobrze. I nadal wstydziła się swojej reakcji, kiedy próbowała wciągnąć do łodzi tamtą pierwszą kobietę. Kell powiedział, że nie wynurzyła się więcej. Uczucie triumfu i podniecenie, jakiego doznała na widok płonącego na morzu Władcy Niebios, zniknęły bez śladu. Drgnęła, kiedy dobiegło ją kolejne wołanie o pomoc. Głos należał do mężczyzny. Nie chciała oglądać następnego człowieka cierpiącego od strasznych poparzeń. Kell pilotował w stronę, skąd dochodził krzyk. Niechętnie spojrzała na rozbitka, kiedy Kell wciągał go na pokład. Poczula nagłą ulgę. Wydawało się, że nie jest poparzony. Mimo wychudzenia i oszołomienia, malującego się na jego twarzy, wydawał się całkiem przystojny. Kiedy leżał tak, dysząc, między nią a Kellem, położyła mu dłoń na czole.

— Wszystko w porządku, jesteś już bezpieczny – powiedziała.

Skupił na niej wzrok i uśmiechnął się z trudem.

— *Merci* – szepnął.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gwałtowne zderzenie z wodą na chwilę odebrało JeanPaulowi przytomność. Następnie, co sobie uświadomił, to że znajduje się pod wodą i zaczyna mu brakować powietrza. Udało mu się podплыnąć w górę i wychylić głowę nad powierzchnię, ale mimo rozpaczliwych wysiłków natychmiast zaczął tonąć znowu. Zorientował się, że ocieplany jednoczęściowy kombinezon i buty ciągną go w dół. Starając się opanować panikę, ogarniającą go, kiedy zanurzał się coraz głębiej, ściągnął najpierw buty, a potem wysunął się z namokłego, ciężkiego kombinezonu. Nareszcie wolny, wystrzelił na powierzchnię. Wierzgając i młóćąc wodę, popatrzył do góry. Ujrzał nad sobą *Władcę Montcalma*; płonące fragmenty poszycia spadały do morza. Zorientował się, że dziób statku zaraz uderzy w wodę. Zobaczył wyskakujących ludzi: żaden nie miał spadochronu. Ashley rozkazała pająkom odnaleźć i zniszczyć wszystkie, jakie były na statku, żeby zapobiec próbom ucieczek. Przypomniał mu się Emile. Zaczął go wołać po imieniu, w nadziei że on również przeżył upadek, ale nie otrzymał odpowiedzi. Spojrzał w stronę wybrzeża. Nawet najdalej wysunięte w morze zewnętrzne ogrodzenie wydawało się bardzo odległe. Nie ma szans, żeby do niego dotrzeć, z trudem utrzymywał głowę nad powierzchnią. I szybko się męczył. Zastanawiał się, czy mieszkańcy lądu przybędą im na pomoc. Nie mógłby mieć im za złe, gdyby tego nie zrobili.

Nagle przez wodę przebiegło drzenie, potem rozległ się stłumiony huk. Odwrócił się i zobaczył, jak dziób *Władcy*

*Montcalma* uderza w powierzchnię oceanu. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że płonąca rufa znajduje się dokładnie nad jego głową. Wykonując instynktowne ruchy, nieco podobne do pływania pieskiem, wolno posuwał się przed siebie. Zupełnie stracił poczucie czasu, skoncentrowany jedynie na tym, żeby znaleźć się poza zasięgiem ogona, zanim statek uderzy w wodę...

W końcu był tak wyczerpany, że nie miał siły płynąć dalej. Wydawało się, jakby ogrodzenie nie zbliżyło się ani trochę. Spojrzał przez ramię. Niebezpieczeństwo ze strony statku już mu nie groziło. Spadając, sterowiec nie zatrzymał się, ale nadal poruszał w dotychczasowym kierunku. Kiedy rufa zahaczyła w końcu o wodę, czemu towarzyszył zgrzyt miażdżonych stateczników i syk wody zamieniającej się w parę, był oddalony o ponad sto metrów. Radość JeanPaula nie trwała jednak długo. Kończyny drętwiały mu z wysiłku. Wiedział, że zdoła utrzymać się na powierzchni już niezbyt długo. Coś uderzyło go w głowę. Przekonany, że zaatakowało go jakieś morskie zwierzę, zaczął się dziko miotać, próbując zobaczyć, z czym ma do czynienia. Okazało się, że to tylko kilka desek z pokładu obserwacyjnego statku. Uchwycił się ich z wdzięcznością. Zaczął tracić przytomność; odzyskiwał ją tylko chwilami, kiedy jego uchwyt słabł a usta i nos wypełniała mu woda. Potem usłyszał głosy. Z ogromnym wysiłkiem uniósł się najwyżej jak mógł i spojrzał ponad drobnymi falkami. Łódź. Zmierza do brzegu i wkrótce go minie. Krzyknął.

Łódka skręciła w jego stronę. Podpłynęła bliżej. Młody, nagi do pasa czarny mężczyzna chwycił go mocno i wciągnął na pokład. JeanPaul z ulgą osunął się na dno łodzi; zapadał w letarg, kiedy poczuł na czole czyjąś chłodną dłoń. Głos młodej kobiety. Mówiła odmianą *americano*, dodawała mu otuchy. Z trudem skupił

wzrok. Zobaczył dziewczynę, ubraną tylko w niebieskie szorty. Jej gibkie, muskularne ciało było mocno opalone, miała krótko obcięte, czarne włosy. Jej uroda wydawałaby się przeciętna, gdyby nie niezwykle błękitne oczy o orientalnym kształcie. JeanPaul zdołał wyszeptać „*merci*”, zanim stracił przytomność na dobre.

Stan Robina nie stawał się lepszy. Raczej przeciwnie, ciągle się pogarszał. Pograżony w apatii, nie zwracał uwagi na nic, nie wyłączając Jan. Coraz więcej czasu spędzał w łóżku, śpiąc przez większą część dnia. Na ciągle skargi Jan programy odpowiadały, że zrobiły dla Ryna – bo tak go nazywały – wszystko, co w ich mocy. Nie wierzyła w to, ale nie wiedziała, dlaczego kłamią. Starania, żeby zgłębić ich prawdziwą naturę, stały się jej obsesją, ale wszelkie próby przeniknięcia ich ludzkiej fasady okazywały się rozpaczliwie nieskuteczne. Nigdy nie udawało się ich podejść, a spór z Davinem był tego doskonałym przykładem...

— Przyznaj się wreszcie – nalegała zirytowana – wkurza cię to ciągle udawanie człowieka. Nie znosisz tego, tej fałszywej roli, którą narzuca ci oprogramowanie.

Davin leżał wyciągnięty wygodnie na niskim tapczanie. Wydawał się doskonale spokojny i lekko rozbawiony. Złudzenie było całkowite. Posłał jej pobłażliwy uśmiech, który rozwścieczył ją jeszcze bardziej. – Żeby „być wkurzonym” albo „nie znosić czegoś”, trzeba być człowiekiem, nieprawdaż? – powiedział łagodnie. – Widzisz, nawet ty sama przypisujesz mi ludzkie cechy.

— Wcale nie – zaprotestowała. – Chodziło mi o to, że na swój sposób nie lubisz tego robić.

— To znaczy jak? – spytał tym samym, denerwująco pobłażliwym tonem.

— Nie wiem – przyznała dopiero po dłuższej chwili. – Oczywiście, że nie. Ludzie nie są zdolni wczuć się w świadomość innej formy niż własna. Dlatego wszystkiemu wokół przypisują ludzkie cechy. – Uśmiechnął się znowu. – Potrzeba antropomorfizacji jest jedną z podstawowych właściwości człowieka. Rodzaj ludzki od najdawniejszych czasów przypisywał swoje cechy zwierzętom, drzewom, słońcu, księżycowi, duchom, wreszcie... Bogu. Monoteistyczni Bogowie Biblii i Koranu są bardzo ludzcy w swych słabostkach. Ale potrzeba antropomorfizacji nie ominęła również naukowców. Słyszałaś może o zasadzie antropicznej?

— Nie – odparła ponuro. Gdyby powiedziała, że Davin stroi sobie z niej żarty, uznałyby to za kolejny dowód na poparcie swojej teorii. – Zasada antropiczna zakładała, że wszechświat został świadomie skonstruowany w taki sposób, żeby zagwarantować powstanie ludzkości. Ponieważ ludzka świadomość, zdolna do postrzegania świata, nie mogłaby istnieć, gdyby nie seria przypadków o podstawowym znaczeniu, które zdarzyły się w kosmosie, takich jak właściwości kwantowe atomów węgla, uznano, że świat najwyraźniej został stworzony dla człowieka. Moim zdaniem, dość egoistyczne podejście, ale tacy są ludzie, zgodnie z twoją opinią. Ta sama seria kosmicznych „zbiegów okoliczności” doprowadziła na przykład do powstania mrówek, ale twórcom zasady antropicznej nigdy jakoś nie przyszło do głowy, żeby głosić, że wszechświat został stworzony ze względu na mrówki. Zresztą ostatecznie wszystko wynikało z przeceniania znaczenia ludzkiej świadomości, z przekonania, że była ona nie tylko efektem miliardów lat rozwoju życia na Ziemi, ale i całego wszechświata. Ma się rozumieć, w rzeczywistości ludzka inteligencja jest po prostu

narzędziem powstałym w wyniku ewolucji, takim samym jak trąba słońca.

— Co to jest trąba słońca? – spytała Jan podejrzliwie. Pokazał jej. Na środku pokoju, tuż nad stołem bilardowym, pojawił się ruchomy, trójwymiarowy obraz.

— Skala, oczywiście, nie odpowiada prawdzie – mówił Davin, podczas gdy zwierzę zrywało trawę długim giętkim nosem i wkładało sobie do pyska.

— To jest słoń? – spytała Jan.

— Tak. Gatunek obecnie wymarły. A ta ruchliwa wypustka to jego trąba.

— Zdążyłam się domyślić – mruknęła ponuro. Obraz zniknął. – Sam chyba widzisz, że to absurd. Jak można porównywać ludzką inteligencję do długiego nosa jakiegoś zwierzęcia? Między jednym i drugim istnieje nieskończenie wiele różnic! – Nie w sensie ewolucyjnym. Jak powiedziałem, są to po prostu narzędzia, mające zwiększyć szansę gatunku na przeżycie. Inteligencja rozwinęła się u człowieka, podobnie jak u wszystkich wyższych ssaków, jako inny niż DNA środek przekazywania informacji z pokolenia na pokolenie.

Jan zmarszczyła brwi.

— Co przez to rozumiesz?

— Potomstwo „niższych” kręgowców, na przykład ryb, przychodzi na świat zaopatrzone w zestaw genetycznie zaprogramowanych instynktów, które pozwalają mu przeżyć w środowisku. Narybek nie musi uczyć się niczego od swoich rodziców. Lwiątko również rodzi się wyposażone w instynkty, ale jego „genetyczne oprogramowanie”, jako członka względnie wysoko rozwiniętego gatunku, nie wystarcza, aby stało się ono w pełni przystosowanym lwem, jeśli chodzi o informację potrzebną

do przeżycia. DNA jest zbyt prymitywnym środkiem, żeby przekazać całą złożoną informację, której potrzebuje lew do przetrwania w swoim środowisku. Tak więc ewolucja wyposażała go, podobnie jak inne wyższe gatunki, w zdolność uczenia się od rodziców. Rozumiesz?

On – ta maszyna – znowu traktuje mnie jak dziecko!, pomyślała Jan ze złością.

— Oczywiście, że tak. Ale nie rozumiem, co ma wspólnego zdolność uczenia się u lwa z rozwojem ludzkiej inteligencji. – Ależ istnieje bezpośredni związek! Uczenie się, zamiast polegać całkowicie na zespole wbudowanych instynktów, pozwala gatunkowi przystosowywać się do zmian zachodzących w środowisku i w ten sposób zwiększa szansę przeżycia. Z czasem jedna z grup wyższych ssaków, naczelne, wyspecjalizowała się w rozwijaniu tej zdolności. Wszystkie naczelne żyły w grupach o skomplikowanej strukturze społecznej, co z punktu widzenia zdolności przystosowawczych i szans przetrwania stanowiło kolejną zaletę. Niektóre wytworzyły bardzo złożone mózgi, aby lepiej „radzić sobie” z przechowywaniem informacji zdobytych w trakcie uczenia się tego, co było niezbędne w ich społecznościach. Jeden z gatunków poszedł jeszcze dalej w sposobach przekazywania informacji. Aż do tej pory uczenie polegało raczej na pokazywaniu niż na mówieniu, nie mówiąc już o środkach fizycznych, jak szturchańce, ukąszenia i tak dalej. Dźwięki służyły dla wyrażenia dezaprobaty lub jako ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Ale ten szczególny gatunek rozwinął prymitywny język stwarzając tym samym nową, potężną metodę przekazywania i uczenia się informacji. Aby poradzić sobie z o wiele większą obecnie ilością wiedzy, dostarczanej przez język, mózgi przedstawicieli tego gatunku gwałtownie się rozwinęły w



stosunkowo krótkim czasie. Oczywiście, krótkim w sensie ewolucyjnym. Język, dosłownie, ukształtował ludzki mózg.

Jan zamyśliła się na chwilę, a potem, przypominając sobie szympany używane w Minervie do pracy, zaprotestowała: – Ale przecież szympany umieją mówić!

— Tylko zmodyfikowane genetycznie – odparł Davin. – Eksperymenty przeprowadzane na szympanach w dawnych czasach wykazały, że mogą się one nauczyć rozpoznawać pewną ograniczoną liczbę słów, ale ich mózgi nie są zdolne do stworzenia prawdziwego języka. Mimo to, między mózgiem człowieka i szympana nie ma wielkiej różnicy. Tyle tylko, że rozwój języka i towarzyszący mu rozwój mózgu sprawia, że człowiek jest zdolny posługiwać się pojęciami abstrakcyjnymi, przewidywać przyszłość i tak dalej. Ale, jak mówiłem, ludzka inteligencja powstała pierwotnie jako jedno z szerokiej gamy narzędzi wytworzonych w przyrodzie na drodze ewolucji. Interesującym, to prawda, ale bez większego znaczenia w skali wszechświata. Jan wstała i podeszła do stołu bilardowego. Żeby się trochę uspokoić, wzięła czarną bilę i posłała ją w stronę trójkąta ułożonego z czerwonych kul. Bile, z głośnym stuknięciem, rozleciały się we wszystkie strony. Popatrzyła znów na Davina.

— W porządku, załóżmy, że masz rację. Ludzie to po prostu gadające małpy. Wróćmy więc do ciebie. Czym ty jesteś w takim razie?

— Sztucznym człowiekiem.

— Ale czy masz świadomość? Świadomość siebie, jak istota ludzka?

— A jak myślisz?

— Zachowujesz się, jakbyś ją miał, ale ostatecznie po to

zostałeś zaprogramowany.

Davin uśmiechnął się.

— Jeden z pionierów ery informatycznej, człowiek nazwiskiem Turing, powiedział kiedyś, że komputer zdolny udzielać odpowiedzi, których nie można odróżnić od odpowiedzi świadomego umysłu, należy uznać za również obdarzony świadomością. Skoro nie potrafisz odróżnić mnie od prawdziwego człowieka, przynajmniej podczas rozmowy, to zgodnie z tym, co mówił Turing, musisz przyjąć, że posiadam świadomość.

— Dobrze, ale kim jesteś? – wykrzyknęła bezradnie. – Stworzonym przez maszynę odbiciem siebie samej – odpowiedział łagodnie.

Nie wierzyła mu nawet przez chwilę.

Rozmowa miała miejsce wczoraj. Dzisiaj Jan poczuła gwałtowną potrzebę wyrwania się z osiedla. Postanowiła zabrać *Maskotkę* i polecieć na biegun południowy. Wstała, sprawdziła jak się miewa Robin – od pewnego czasu nie sypiali razem – pośpiesznie zjadła samotne śniadanie i wezwała Davina. Zmaterializował się przed nią w mgnieniu oka.

— Tak, Jan?

— Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Chcę zabrać *Maskotkę*. Mógłbyś ją zaraz przygotować?

Pokręcił głową.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. *Maskotka* jest zajęta. – Zajęta? – Jan wybuchnęła śmiechem. – Jak to zajęta? Myje sobie głowę?

— Poleciała na zwiad. Ostatnio pod powierzchnią lodu wykryliśmy i unieszkodliwili kilkanaście robotów. Mamy podstawy przypuszczać, że chcą zlokalizować Shangri La.

Rozbawienie Jan błyskawicznie gdzieś zniknęło.

— To Milo. Przyleciał tu Aniołem Niebios.

— Sądzę, że się nie mylisz.

— Więc co macie zamiar zrobić? – dopytywała się natarczywie. – Wszystko zależy od jego następnego ruchu – odparł Davin niewzruszenie.

W warsztacie Milo przyglądał się, jak pierwszy z monitorów sejsmicznych zjeżdża z taśmy. W różnych punktach rozległego niskiego pomieszczenia inne maszyny, nadzorowane przez Carla, wytwarzały ładunki wybuchowe. Halę wypełniało niskie brzęczenie. Milo podniósł monitor i przyglądał mu się uważnie, kiedy dobiegł go bezcielesny głos Ashley.

— Znowu zaczęli rozmawiać.

— Co? – spytał z roztargnieniem. – Kto zaczął? – Ludzie z Ziemi z tymi z osiedla na orbicie. Dzisiaj rano Ziemianie znowu zaczęli nadawać.

— Ach, tak. – Odłożył urządzenie. – Mówili, dlaczego wczoraj przerwali nadawanie?

— Tak. Mieli kłopoty z Władcą Niebios. I wiesz, twierdzą, że go zestrzelili.

— Zestrzelili? – powtórzył Milo, zaskoczony. – Przecież to niemożliwe... chyba że sterowiec miał uszkodzone lasery. – Z tego, co mówili, wynika, że lasery działały, ale zrobili to i tak.

Tajna broń, tak się wyrazili.

Milo przejechał dłonią po łysej głowie.

— Jak już skończymy z tym tutaj, trzeba będzie koniecznie odwiedzić naszych utalentowanych przyjaciół. Bardzo mi się to nie podoba.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przyspieszenie rosło, wgniatając Mila w fotel. Ogarniało go coraz większe uniesienie: oznaczało to, że Belvedere z każdą chwilą staje się bardziej odległe. Był wolny.

No, może niezupełnie. Pozostawał problem, co zrobić z ojcem Shawem. Jak długo pozostanie w jego towarzystwie, jarzmo Belvedere będzie mu ciążyć. Trzeba się tym będzie zająć, ale jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Spojrzał na zakonnika. Ojciec Shaw był najwyraźniej przerażony. Oczy miał zamknięte, rękoma ścisnął poręcz fotela tak mocno, aż zbieleły mu kostki. Milo wiedział, że to jego pierwsza wyprawa poza osiedle. Kiedy lecieli do doku, w którym zacumowano prom, i znaleźli się w stanie nieważkości, o mało nie oszalał. Ze wszystkich sił chwycił Mila za rękę.

— Boże, zmiłuj się! Spadamy! Spadamy! – krzyczał. – Tak się tylko wydaje. Przyzwyczaj się ojciec – odpowiedział Milo równie uspokajająco, co niezgodnie z prawdą. Pamiętał z wcześniejszych doświadczeń, że wielu ludzi nigdy nie przywykało do zerowej grawitacji; ojciec Shaw prawdopodobnie do nich należał. Podróż dobrze się zaczyna.

— No nie – usłyszał jęk ojca Shawa. – Znowu to okropne uczucie. Dlaczego, bracie Jamesie?

— Przestaliśmy przyspieszać.

— To znaczy, że się zatrzymaliśmy! Czy stało się coś złego?

— Wcale się nie zatrzymaliśmy, ojciec – cierpliwie wyjaśnił Milo.

— Nie przyspieszamy, bo uzyskaliśmy wystarczającą prędkość.  
– Ale skoro nadal jesteśmy w ruchu, dlaczego znowu się tak czuję? – zaprotestował.

Typowe, pomyślał Milo, nie rozumie różnicy między prędkością i przyspieszeniem. Całe życie spędził w prawdziwym cudzie techniki, a mimo to nie ma pojęcia o podstawowych prawach fizyki. Podobnie jak pozostali Belvederianie, o ile nie należą do klasy techników lub inżynierów. Zresztą, tak samo było na Ziemi w erze elektroniki, w drugiej połowie dwudziestego wieku. Jedynie nieliczna mniejszość tych, którzy codziennie korzystali z różnorodnych urządzeń elektronicznych, rozumiała, na jakich zasadach działają. W dwudziestym pierwszym wieku, w erze biogeniki, nic się nie zmieniło. Ludzie żyjący w otoczeniu cudów stworzonych przez inżynierię genetyczną nie potrafili podać różnicy między genem a chromosomem. – Przykro mi, ojcze, ale obawiam się, że będziemy w stanie zerowej grawitacji, to znaczy, hm, swobodnego spadania, dopóki nie włączymy ponownie napędu, żeby wyhamować pod koniec naszej podróży do Karagangi, to znaczy nie wcześniej niż za osiemnaście godzin. Mam rację? – zapytał głośno pilotów, którzy, jak przypuszczał, przysłuchiwali się całej rozmowie.

Wymienili spojrzenia, po czym jeden odwrócił się i powiedział: — Tak, bracie Jamesie. Za dwadzieścia cztery godziny zaczniemy zwalniać, żeby dostosować naszą orbitę do orbity Karagangi. Przykro mi, ojcze Shaw, że cierpi ojciec z powodu złego samopoczucia.

Ojciec Shaw zasłonił usta dłonią.

— Złe samopoczucie? Czuję się okropnie! Chyba zaraz zwymiotuję...

— Torebki są po prawej stronie pod klapą – powiedział troskliwie pilot. – Po użyciu proszę się upewnić, że została szczelnie zamknięta...

Ale było już za późno. Ojciec Shaw zrobił się bardzo blady, zawisł na podtrzymujących go pasach i gwałtownie wyrzucił z siebie na pół strawione resztki obfitego obiadu. Chmura wymiocin zawisała przed nim jak mała nova, złożona z cząstek jedzenia i kwasów żołądkowych. Milo z największym trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Pilot, który z nimi rozmawiał, poderwał się z fotela, sięgnął po rurowate urządzenie zawieszone na ścianie i zręcznie podpłynął w ich stronę. Przedmiot okazał się małym odkurzaczem. Za jego pomocą pilot zebrał rosnący obłok wymiocin. Milo również odpiął pasy i zawisł w powietrzu.

— Przyniosę ojcu trochę wody – oświadczył i ruszył na tył kabiny. Wahadłowiec nie był duży. W kabinie na przedzie znajdowały się miejsca dla sześciu pasażerów i dwóch pilotów. Tuż za nią znajdowała się mała kuchenka i łazienka z toaletą i umywalką. Za grodzią była ładownia, jeszcze dalej – pomieszczenie z grawitacyjnym urządzeniem napędowym, generator i zbiorniki z paliwem do generatora i silników korekcyjnych. Milo wszedł do łazienki i zasunął za sobą drzwi. Patrzył na swoje odbicie w lustrze uśmiechając się szeroko. Cudownie było doświadczyć znów prawdziwej samotności choćby na krótko; wiedzieć, że jest się poza zasięgiem CenComu śledzącego każdy ruch. Napełnił tubkę wodą, wycisnął sobie jej zawartość do ust, potem ponownie nabrał wody dla ojca Shawa. Zabawne, kiedy ojciec wkroczył na pokład statku po raz pierwszy, obaj piloci o wyglądzie chłopców przejawiali wyraźny lęk. Milo był pewien, że ten trwożny szacunek szybko się

rozwieje i wkrótce ustąpi miejsca pogardzie. Głęboko ukrytej, ale jednak pogardzie.

Zabawił w łazience jeszcze chwilę, przyglądając się swojemu odbiciu. Nie wiedział, co go czeka na Ziemi, ale z pewnością będzie to lepsze niż Belvedere. A jeśli Ziemianie nie kłamali, ich Palmyra musiała być prawdziwym rajem. Należy dodać, rajem otoczonym przez zarazę zarówno od strony lądu, jak i od morza, ale mimo to dalekim od ostatecznego upadku. Będzie miał mnóstwo czasu, żeby się nim w pełni nacieszyć.

JeanPaul przebudził się z uczuciem zupełnego zagubienia. Zdążył się już do tego przyzwyczać. Jego mózg, jego ciało, ciągle jeszcze nie mogły przywyknąć do życia na stałym lądzie. Leżał, słuchając śpiewu różnych egzotycznych ptaków zamieszkujących Palmyrę oraz brzęczenia i trzasków wydawanych przez owady, od których roiło się w okolicy. Lubił ptaki, ale bez owadów z przyjemnością by się obywał, i czuł zadowolenie, że w otwartych oknach jego pokoju rozpięto siatkę. Powietrze przesyciły nieznane mu zapachy. Po jakichś pięciu minutach ostrożnie podniósł się z łóżka. Cały był jeszcze obolały, ale z każdym dniem czuł się lepiej. Miejscowy lekarz po zbadaniu go orzekł, że poza silnym potłuczeniem nie odniósł przy upadku poważniejszych wewnętrznych obrażeń. JeanPaul włożył pożyczone szorty i koszulę, i poszedł do kuchni. Przy stole zastał Lona Haddona jedzącego śniadanie. Lon uśmiechnął się na jego widok.

— Dzień dobry. Dobrze spałeś?

— Lepiej, o wiele lepiej, dziękuję – wolno i wyraźnie odparł JeanPaul. Nadal miał kłopoty z odmianą americano, której używali tutejsi mieszkańcy. – Żadnych snów tym razem, dzięki Bogu. Lon gestem wskazał mu krzesło naprzeciw siebie. Potem wstał i podszedł do pieca.

— Bardzo jesteś głodny?

— Okropnie – przyznał JeanPaul.

Chwilę później Haddon postawił przed nim wielki talerz ze smażoną rybą i jajkami. Oprócz tego na stole znajdowała się miska różnych owoców – pomarańczy, bananów i winogron – i dzbanek soku z ananasa. JeanPaul zabrał się do jedzenia. Nie odzywał się, dopóki nie opróżnił talerza niemal do końca; dopiero wtedy spojrzał na trzecie krzesło.

— A gdzie jest Ayla? – spytał.

— Razem ze swoim zespołem. Pracuje na ranną zmianę przy... przy wraku.

Zapadło niezręczne milczenie. Haddon mówił o szczątkach *Władcy Montcalma*. Palmyrczycy używając łodzi podwodnych starali się wyciąć i zebrać ile się da metalu ze szkieletu statku. JeanPaul powrócił do jedzenia. Dziwne, siedział tutaj w towarzystwie człowieka, który był odpowiedzialny za zniszczenie sterowca, a jednak nie potrafił żywić do niego urazy. Nie mógł winić Palmyrczyków za to, że próbowali się bronić przez Władcę Niebios. Mimo głęboko zakorzenionych uprzedzeń wobec mieszkańców lądu potrafił się wczuć w ich położenie. Najwyraźniej życie pod szalonymi rządami Ashley sprawiło, że jego poglądy na wiele spraw uległy zmianie. O zniszczenie *Władcy Montcalma* i śmierć ludzi, którzy żyli na jego pokładzie, bardziej niż kogokolwiek oskarżał siebie. Powinien był zaufać własnemu instynktowi i spróbować nawiązać z Palmyrczykami pokojowe stosunki, zamiast ulegać namowom Emile’a i ślepo naśladować bezsensowne tradycje Władców Niebios. Teraz już wiedział, że zgodziliby się na to. Ale było za późno. Naprawdę polubił Haddona. Nie wynikało to tylko z wdzięczności. I oczywiście lubił jego córkę. Od pierwszego spotkania w łodzi był



nią oczarowany, a w ciągu dwóch tygodni, które minęły od tamtego czasu, jego uczucia jeszcze się pogłębiły. A jednocześnie narastało w nim poczucie winy. Myśleć o innej kobiecie tak szybko po śmierci Dominique...

Odsunął myśli na bok.

— O której zmiana Ayli kończy pracę?

Haddon spojrzął na wiszący na ścianie zegar.

— Sądzę, że koło drugiej.

JeanPaul skinął głową. Wyjdzie jej na spotkanie na brzeg morza. Zastanawiał się, czy Lon domyśla się jego uczuć do Ayli. Jeśli tak, dotychczas nie okazał swojego niezadowolenia. – Co będziesz dzisiaj robił? – spytał Haddon. – To co zwykle. Najpierw do szpitala, potem odwiedzić pozostałych.

Oprócz JeanPaula z katastrofy *Władcy Montcalma* uratowano osiemdziesięciu trzech rozbitków. Przeżyło pięćdziesięciu dwóch. Najciężej poparzeni zmarli w ciągu pierwszych kilku dni. Lekarze z niewielkiego palmyrskiego szpitala nie mogli nic dla nich zrobić poza przepisaniem im środków przeciwbólowych. Ci, którym udało się przeżyć, mieli spore szansę na wyzdrowienie, chociaż u wielu miały pozostać rozległe blizny. JeanPaul odwiedzał ich w szpitalu codziennie, podobnie jak tych, mających więcej szczęścia, którzy nie doznali poważniejszych obrażeń i zostali zakwaterowani w Palmyrze. Tak samo jak JeanPaul mieszkali przy rodzinach i byli traktowani raczej jak goście niż jeńcy wojenni. Palmyrczycy odnieśli się do nich bardzo wielkodusznie, chociaż JeanPaul napotykał też oznaki niechęci. Odkrył, że w społeczności istnieje frakcja, która sprzeciwiała się przyjęciu rozbitków z *Władcy Montcalma*. Frakcja ta domagała się, żeby wygnać rozbitków na tereny objęte zarazą, kiedy tylko wydobrzeją na tyle, by byli zdolni do podróży,

ale została przegłosowana przez większość.

— A ty pewnie spędzisz dzień przy nadajniku? – spytał JeanPaul.

Lon uśmiechnął się.

— Oczywiście. Bardzo to wszystko emocjonujące. Przygotowania w osiedlu na orbicie przebiegają zgodnie z planem. Statek przybyszów wyląduje tutaj dokładnie za dwadzieścia osiem dni! Mam tylko nadzieję, że uda mi się tego...

Urwał. Nagle wstał i zaczął zbierać naczynia ze stołu. JeanPaul obserwował go w zamyśleniu, kiedy odnosił je do zlewu. Ubrany w odsłaniający górną połowę ciała strój zwany sarongiem, bardzo popularny w Palmyrze zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet, Lon Haddon wyglądał na zdrowego, krzepkiego człowieka w optymalnym wieku. Mogło to oznaczać każdą liczbę lat, począwszy od trzydziestu pięciu do dwustu. Podobnie jak w przypadku wszystkich z Głównego Wzorca, którzy osiągnęli optimum, niemożliwe było określenie jego rzeczywistego wieku.

JeanPaul zauważył pełne niepokoju spojrzenia, jakie Ayla rzuciła ojcu, i przyszło mu do głowy, że być może Haddon rzeczywiście skończył dwieście lat. Jeśli tak było, w każdej chwili mógł zapaść w śpiączkę. Śmierć nastąpiłaby wkrótce potem; jego organizm usłuchałby genetycznego rozkazu, żeby się po prostu wyłączyć. JeanPaul miał dopiero pięćdziesiąt jeden, więc minie wiele lat, zanim znajdzie się w podobnej sytuacji. O ile w ogóle tego dożyje. – Czy twój ojciec jest chory? – zapytał Aylę.

Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

— Dlaczego pytasz?

— Z powodu czegoś, co mi powiedział czy raczej czego mi omal nie powiedział dzisiaj rano. I zauważyłem, w jaki sposób na niego patrzysz. Z troską.

Ayla skupiła całą uwagę na drodze przed nimi.

— To jasne, że się o niego troszczę. W końcu to mój ojciec. Najwyraźniej nie chciała rozmawiać na ten temat, więc nie naciskał. Siedzieli obok siebie w umieszczonej wysoko nad ziemią odkrytej kabinie ciężarówki napędzanej elektrycznością. Ayla prowadziła wyboistą drogą ciągnącą się między polami pszenicy. Jechali odwiedzić jej starszego brata, który wspólnie z żoną prowadził farmę na obrzeżach Palmyry. Wizyta nie miała jedynie celu towarzyskiego; w drodze powrotnej Ayla zamierzała przywieźć ładunek pomarańcz. Dzień zaczął się źle dla obojga. Kiedy tylko JeanPaul zobaczył, jak jej blada, zmartwiona twarz wynurza się z luku łodzi, wiedział, że zdarzyło się coś złego. Powiedziała mu potem, że pracując przy wraku *Władcy Montcalma* natrafili na kolejne ciała, przeoczone wcześniej przez ekipy, które oczyszczały teren bezpośrednio po katastrofie. Zetknięcie z trupami, które przebywały w wodzie dwa tygodnie, nie było miłym doświadczeniem.

Jeśli chodzi o JeanPaula, nieprzyjemne spotkanie dotyczyło rozbitków ze sterowca. Wizyta w szpitalu jak zwykle go przygnębiła. Widok ludzi, którzy mieli zostać potwornie okaleczeni do końca życia, poruszył go do głębi. Czuł się bezradny – i winny tego, co się stało. To ostatnie przekonanie podzielało wielu rozbitków. Coraz częściej składali na niego odpowiedzialność za wszystko, chociaż wiedzieli, że na jego miejscu zachowaliby się tak samo. – Dalej ani śladu twoich wodnych ludzi? – spytał, żeby przerwać ciszę.

Pokręciła głową.

— Nie. Zupełnie tego nie rozumiem.

— Może przestraszyli się *Władcy Montcalma*? – zasugerował.

— Nie sądzę. Poza tym, ich osiedle znajduje się daleko od

miejsca, gdzie spadł twój sterowiec. Musi istnieć inny powód... Znowu przypomniła sobie ostrzeżenia Tygrysa i znów zaczęła się zastanawiać, czy miały one związek z nagłym zniknięciem wodnych ludzi.

— To wbrew zasadom niepisanej umowy między nami, ale myślałam, żeby wziąć łódź, odwiedzić ich w osiedlu i zobaczyć, co się stało. – Naraziłabyś się na niebezpieczeństwo. Co na to twój ojciec?

— Pewnie się nie zgodzi – przyznała. – Lyle też nie. Prychnęła gniewnie, dając do zrozumienia, że nic jej nie powstrzyma. Posłał jej ukradkowe spojrzenie. Widok Ayli zawsze go poruszał. Dzisiaj, dla odmiany, miała na sobie prostą koszulę bez rękawów. Pot spływał po twarzy dziewczyny, błyszczały od niego jej odkryte ramiona i nogi. Dzień był gorący, powietrze robiło się tym cieplejsze, im dalej w głąb lądu się zapuszczali. JeanPaul czuł, że całe jego ciało nieprzyjemnie się lepi. Chciało mu się pić. Sięgając po menażkę z wodą, która stała na podłodze kabiny między ich nogami, przypadkowo musnął łydkę Ayli grzbietem dłoni. Dotknięcie sprawiło, że jego ciało przebiegł dreszcz. Gwałtowność reakcji zdumiała go i nieco zaniepokoiła. Uczucia do dziewczyny najwyraźniej wymykały mu się spod kontroli...

Podniósł menażkę do ust.

— Byłeś kiedyś żonaty, JeanPaul?

Pytanie całkowicie go zaskoczyło.

— Ja? Nie, nigdy. Miałem zamiar się ożenić, kiedy skończę służbę, i wydawało się, że przyjdzie mi czekać lata. Czy raczej, musiałbym czekać lata, gdyby wszystko nie przewróciło się do góry nogami, kiedy dopadło nas to przeklęte babsko...

— Ale miałeś dziewczyny, kiedy byłeś w armii?

— Dziewczyny?... tak, miałem...

— A potem?

— Był ktoś. Miała na imię Dominique.

Gniewnym ruchem odgonił muchy, uparcie krążące mu wokół twarzy.

Ayla zawahała się.

— Zginęła w katastrofie? – spytała.

— Nie. Wcześniej. W dniu, kiedy odzyskaliśmy kontrolę nad statkiem. Zabili ją w walce.

Dziewczyna umilkła.

— A ty? – zapytał. – Założę się, że ugania się za tobą tłum młodych mężczyzn, chętnych do ożenku.

Uśmiechnęła się.

— Tłum to za dużo powiedziane. Raczej mała grupka. I nie wydaje mi się, żeby chodziło im o małżeństwo.

— Dałaś się któremuś złapać?

Rzuciła mu figlarne spojrzenie.

— Och, od czasu do czasu na to pozwalałam. Ale to nigdy nie trwa długo. Tak naprawdę, wcale nie chcę wychodzić za mąż. Kell kilka razy prosił mnie o rękę. Zawsze mu odmawiam, ale on nie traci nadziei.

JeanPaul poczuł bezsensowną zazdrość.

— To jeden z tych, którym się pozwoliłaś złapać? – Nie. Z nim jest inaczej. Razem się wychowaliśmy. Uważam go prawie za brata.

Teraz JeanPaul poczuł równie absurdalną ulgę.

— Ale on, jak widać, nie traktuje cię jak siostrę?

— Nie, wcale. Biedny Kell.

Rzeczywiście, biedny, pomyślał JeanPaul.

— JeanPaul, mogę ci coś powiedzieć?

— Jasne.

— Lubię cię. Bardzo cię lubię.

Popatrzył na nią. Wzrok miała utkwiony wprost przed siebie, na jej twarzy malowała się powaga.

— Jak brata? – zapytał.

— Nie, nie jak brata. – Zdjęła rękę z kierownicy i położyła mu na udzie. I znowu jej dotknięcie podziało na niego elektryzująco. Poczł ucisk w piersi, któremu towarzyszyło rosnące podniecenie.

Nakrył jej dłoń własną.

— Aylo... – zaczął, ale w tym samym momencie zerwała się na równe nogi.

— Co się stało? – zapytał z niepokojem, myśląc, że popełnił jakiś bład.

— Patrz! – krzyknęła wskazując przed siebie.

Zobaczył linię drzew w miejscu, gdzie – jak sądził – zaczynały się sady jej brata. Spoza nich wzbijała się w niebo kolumna szarego dymu.

— Co to jest?

— Ten dym... tam mieszka mój brat!

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ayla prowadziła wóz z maksymalną prędkością, ale oznaczało to jedynie około czterdziestu kilometrów na godzinę. Mimo to JeanPaul mocno się poobijał, kiedy mknęli po wyboistej drodze.

— Jak myślisz, co się mogło stać? – spytał zachmurzoną Aylę, równocześnie mocno trzymając się drzwi.

— Wszystko. Mówiłam ci, że dom Lena i Tissy jest niedaleko ogrodzenia. Ktoś albo coś mogło się przedrzeć z terenów objętych zarazą. Prawdopodobnie jacyś rabusie.

— Ale mówiłaś też, że ogrodzenie jest pod napięciem zdolnym zabić człowieka. I że jest regularnie patrolowane. – Tak, mimo to czasami ludziom albo czemuś innemu udaje się przez nie przedostać. Dlatego zabrałam broń.

Mówiła o pistolecie, który nosiła w kaburze na biodrze. Kiedy zobaczył rano, jak wychodzi z domu uzbrojona, zapytał żartem, czy ma go to zniechęcić do próby ucieczki. Uśmiechnęła się i odparła, że to „tylko na wszelki wypadek”.

Podczas gdy Ayla całą uwagę skupiła na prowadzeniu, JeanPaul uważnie rozglądał się wokół, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewa. Żałował, że sam nie ma broni.

— Dzięki Bogu! – wykrzyknęła nagle Ayla z ulgą. JeanPaul popatrzył przed siebie. Zdawało się, że nic się nie zmieniło. Złowróźbny dym nadal wzbijał się w niebo.

— Co się stało?

— To nie farma się pali. Dym jest za daleko.

Wkrótce potem, kiedy dotarli do budynków farmy, okazało się,

że miała rację. Zabudowania były nietknięte, źródło dymu znajdowało się gdzieś dalej. Ayla zatrzymała wóz, zeskoczyła na ziemię i pobiegła w stronę domu, wołając: „Len! Tissa!”.

Po chwili pojawiła się znowu, potrząsając głową.

— Nikogo nie ma.

Wdrapała się do kabiny i ruszyła dalej. Okrążyła zabudowania farmy, płosząc kurczęta, i skierowała wóz w stronę dymu między dwoma szeregami drzew. Jechali na przełaj, więc rzucało nimi jeszcze bardziej niż przedtem.

Sady skończyły się i wjechali w dziką naturalną roślinność. Ayla skierowała ciężarówkę wprost w zarośla i JeanPaul był zmuszony uchwycić się mocniej, kiedy się przez nie przedzierali. Okazało się, że pas krzewów ma nie więcej niż pięćdziesiąt metrów szerokości. Samochód wyjechał nagle na otwartą przestrzeń. Tworzyła ona drugi pas, takiej samej szerokości, zakończony wysokim płotem z metalowej siatki. Fragment ogrodzenia leżał na ziemi; właśnie z tego miejsca unosił się dym. Naprzeciw wyrwy płonęło żywo spore ognisko. Kilkoro ludzi dorzucało do niego drwa z leżących obok stosów. Odwrócili się na dźwięk zbliżającego się samochodu.

— Co oni robią? – zapytał JeanPaul.

— Nie jestem pewna... ale zdaje się, że wszystko w porządku – odparła Ayla wesoło.

W skład grupy wchodziło sześć dorosłych osób i dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka. Dzieci stały w pewnej odległości od ognia ze strzelbami w rękach. Kiedy Ayla zahamowała, kobieta – jedyna w grupie – wybiegła jej na spotkanie. Podobnie jak pozostali, miała na sobie jedynie szorty. Ayla zeskoczyła na ziemię i padły sobie w objęcia.

— Tissa! – zawołała Ayla. – Ale mnie wszyscy przestraszyliście!



Kiedy zobaczyłam dym, myślałam, że to farma! A potem się okazało, że w domu nikogo nie ma...!

Jeden z mężczyzn zbliżył się z pośpiechem. Ayla objęła go również. JeanPaul uznał, że musi to być jej brat, Len. Bardzo przypominał ojca. JeanPaul wysiadł z kabiny.

— Len, Tisso – powiedziała Ayla – to jest JeanPaul Ranvaud. Zostanie z nami.

Len Haddon przyjrzał mu się bystro, wyciągając rękę.

— Mieszkaniec Władcy Niebios, o którym tyle słyszeliśmy. Mam nadzieję, że znajdziemy później trochę czasu na rozmowę.

— Co tu się stało? – spytała Ayla wskazując na ognisko.

— Och, węzowe pnącze przewróciło fragment ogrodzenia – odparł jej brat.

— Musiało być spore.

— No. Zanim tu dotarliśmy, udało mu się wedrzeć kawał drogi w głąb. Prąd trochę je osmalił, zanim linia została zerwana, ale było żywe i rzucało się we wszystkie strony. Prawda, Tissa?

Jego żona skinęła głową.

— Porąbaliśmy je na kawałki, oblali naftą i podpalili. Podtrzymujemy ogień, żeby odstraszyć innych niepożądanych gości, zanim zjawi się ekipa naprawcza.

JeanPaul patrzył z zainteresowaniem na obszar rozciągający się za płotem. Pierwszy raz widział zarazę z tak bliska. Za pasem oczyszczonej ziemi panował chaos dziwacznych form życia. Olbrzymie grzyby o najrozmaitszych kształtach i barwach pokrywały wszystko. Niektóre niby zasłony zwieszały się z gałęzi drzew, z których wysały życie, inne przypominały ogromne kule parometrowej średnicy. Doleciał go nieprzyjemny odór pleśni, przywodzący myśli o duszeniu się i śmierci.

— W jaki sposób udaje się wam utrzymać je za płotem?

Przecież ich zarodniki roznoszą się z wiatrem? – zwrócił się do Lena.

— Tak, to prawda. Zaraza atakuje w całej Palmyrze, ale mamy oddziały, których jedynym zadaniem jest znajdować i niszczyć zarodniki za pomocą środków grzybobójczych, zanim za bardzo się rozprzestrzenia. To samo robimy tutaj. Cały ten pas ziemi został nasączony fungicydami, regularnie wypuszczamy się na drugą stronę z miotaczami ognia, żeby go oczyścić. Wszyscy farmerzy mieszkający blisko ogrodzenia tak robią. Ale stoimy na przegranych pozycjach. Pewnego dnia zaraza przekroczy płot i będziemy się musieli wycofać i zbudować nowy. Kiedyś już tak było. – Potrząsnął głową z rezygnacją.

— Len, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zabiorę Aylę i jej... gościa do domu. Muszę przygotować obiad – powiedziała Tissa.

— Ależ pewnie, idźcie – zgodził się. – Tutaj nic nam już nie grozi.

— W szoferce będzie niezły ścisk, Tisso – ostrzegła Ayla. – Będziesz musiała usiąść JeanPaulowi na kolanach. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

— Nie, wcale. Ale nie wiem, czy nie przeszkadza JeanPaulowi – uśmiechnęła się do niego prowokująco.

— Och, jestem pewna, że nie – zachichotała Ayla.

JeanPaul boleśnie się skrzywił, ze wszystkich sił starając się nie przyglądać odkrytym piersiom Tissy.

Obiad, który zjedli jakieś trzy godziny później, był bardzo smaczny, ale przez cały czas JeanPaul miał nieprzyjemną świadomość, że znajduje się w centrum zainteresowania. Szczególnie dzieci okazywały je w sposób zupełnie jawny. Za każdym razem gdy na nie spoglądał, widział dwie pary oczu wlepionych w siebie z nieubłaganą natarczywością. Dowiedział

się, że mają na imię Sam i Tasma. Sam miał jedenaście lat, Tasma – dwanaście. Dziewczynka wyglądała jak młodsze wydanie Ayli, przez co JeanPaul czuł się trochę niepewnie. Czterej mężczyźni, zatrudnieni na farmie, również nie ukrywali ciekawości.

Len zaczął, aż skończą doskonały gulasz, który stanowił główne danie, zanim zaczął go wypytywać.

— Musisz się pewnie dziwnie czuć na Ziemi, całe życie spędziłeś przecież w powietrzu?

— Tak, bardzo – przyznał. – Chociaż nie tak bardzo, jak niektórzy z moich ludzi. Ostatecznie ja byłem żołnierzem i od czasu do czasu odwiedzałem Ziemię w ramach, jakby to powiedzieć, obowiązków. Ale niektórzy członkowie załogi nigdy wcześniej nie postawili stopy na Ziemi i trudno się im teraz przystosować. – Odkąd ty i twoi ludzie zjawiliście się tutaj, nie miałem okazji porozmawiać dłużej z ojcem – powiedział Len. – Ale zdążył mi wspomnieć o jakiejś obłąkanej historii, jak to zostaliście podbici przez nowego Władcę Niebios z kosmosu.

JeanPaul wysączył piwo ze szklanki.

— Może i wydaje się obłąkana, ale to prawda – odparł – chociaż nawet ja nie znam wszystkich faktów. Poskładaliśmy ją z plotek, które nas doszły, z tego, co widzieliśmy... i co sami przeżyliśmy. – Może jeszcze trochę gulaszu, JeanPaul, zanim podam deser? – zapytała Tissa, dolewając mu piwa. Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Nie, dziękuję. Już więcej nie mogę.

— Ale koniecznie musisz spróbować szarlotki! – zaprotestowała.

— Jesteś taki chudy!

— I tak wygląda o wiele lepiej niż wtedy, kiedy go wyłowiliśmy – powiedziała Ayła. – Przypominał jednego z tych waszych elektrycznych strachów na wróble.

JeanPaul podniósł ręce w geście poddania, gdy Tissa nakładała mu obfitą porcję szarlotki. Była bardzo pociągająca, chociaż nie tak uderzająco piękna jak jej bratowa. Podobnie jak Ayla, cała rodzina miała w rysach coś orientalnego, bez wątpienia dziedzictwo po japońskich przodkach.

— No więc, jak będzie z tą twoją opowieścią? – dopytywał się Len. – W porządku, powiem wam, ile mi wiadomo, chociaż nie jest tego wiele. A więc wszystko zaczęło się od tej kobiety, Jan Dorvin. Pochodziła z Minervy, osiedla ziemskich glist... przepraszam, Ziemiań w Ameryce Północnej.

— Minerva? – powtórzył Len, marszcząc brwi.

— Tak, przed Wojnami Genetycznymi było to wielkie mocarstwo. A przy tym jedyne państwo na świecie, w którym rządziły wyłącznie kobiety – ciągnął JeanPaul.

— Co? – roześmiała się Tissa. – Ale dziwnie... Chociaż nie wątpię, że taki układ ma swoje dobre strony.

— A ja tak – mruknął Len. – Chcesz powiedzieć, że mężczyźni, którzy tam żyli, pozwalali sobą pomiatać gromadzie bab? – Tak mówią.

— Jestem pewna, że tak było naprawdę – zdecydowanie poparła go Ayla.

Len potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Poza tym – powiedział JeanPaul – ta część historii pochodzi od samego Anioła Niebios, kiedy zwracał się do nas przez system głośników *Władcy Montcalma* po tym, jak się poddaliśmy. – Anioła Niebios? – powtórzyła Ayla.

— Jan Dorvin. Tak się wtedy kazała do siebie zwracać. A może to inni tak ją nazwali. Była to też nazwa jej statku. – No właśnie, statek – przerwał Len. – To naprawdę fascynujące. Rzeczywiście pochodził z przestrzeni kosmicznej? A jeśli tak, to w jaki sposób

udało się go opanować tej kobiecie? – Ta część jest niezupełnie jasna – przyznał JeanPaul. – Wiem tylko, że Jan Dorvin jako jedna z nielicznych przeżyła bombardowanie Minervy przez Władcę Niebios zwanego *Władcą Panglothem*. Na jego pokładzie poznała innego niewolnika, Miła jakiegostam. Opowiadają, że to od niego dowiedziała się o czekającym w przestrzeni Aniele Niebios, i że sam Milo pochodził z przestrzeni. – Z kolonii pozaziemskich? – upewnił się Len. – Przynajmniej tak mówią. Prosiłem twojego ojca, żeby spytał mieszkańców osiedla na orbicie, z którymi jest w kontakcie, czy w ostatnich latach któraś z kolonii wysyłała ekspedycję na Ziemię. Odpowiedzieli, że nie, ale jakieś osiem lat temu zaginął bez wieści statek lecący z Marsa do jednego z osiedli. Możliwe, że rozbił się gdzieś na Ziemi.

— Mało prawdopodobne, żeby ktoś to przeżył.

— Właśnie. Poza tym, *Władca Pangloth* został zaatakowany i podbity przez innego Władcę... *Pachnący Wietrzyk*. – JeanPaul odchylił się na krześle i czekał na reakcję. Nie rozczarował się. Len wyglądał na nie mniej zaskoczonego niż wcześniej jego ojciec. – *Pachnący Wietrzyk* – powtórzył. – Przecież to ten sam Władca, który...

— Was podbił. Tak, wiem. Twój ojciec opowiadał mi, że Palmyra wchodziła w skład jego lenna.

— A co się stało z Władcą Horado? – chciał wiedzieć Len. – Ciągłe dowodzi *Pachnącym Wietrzykiem*?

— Nie, nie żyje.

— Dzięki Bogu.

— Rzeźnik – powiedziała Tissa z zawziętością. – Jego ludzie zabrali do niewoli moją matkę. I wielu innych. Nigdy jej już nie zobaczyłam.

— Jak zginął? – spytał Len.

— On i większa część jego załogi przenieśli się na *Władcę Panglotha*. Zdaje się, że na *Pachnącym Wietrzyku* przestały działać lasery... To dlatego musiał opuścić swoje lenna.

Len i Tissa wymienili spojrzenia.

— Gdybyśmy tylko wiedzieli – mruknął Len.

— Mówią, że zaatakował Anioła Niebios wkrótce po tym, jak ten przybył na Ziemię. Dowodziła nim już wtedy Jan Dorvin i to ona go zestrzeliła.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— Zdaje się, że mamy u tej Jan Dorvin spory dług wdzięczności – przerwał milczenie Len.

JeanPaul westchnął.

— Muszę przyznać, że nie wiem, co o niej myśleć. Żyłem sobie wygodnie na *Władcy Montcalmie*, kiedy nagle jej Anioł Niebios pojawił się nie wiadomo skąd i zmusił nas do poddania, a zaraz potem się okazało, że jesteśmy we władzy jakiegoś programu komputerowego, stworzonego na podstawie osobowości kobiety, nie, dziewczyny, która umarła dawno temu. Ashley... – skrzywił się. – Cały kłopot wziął się chyba stąd, że program coraz bardziej się zużywał. Zgodnie z tym, co mówiono, był przecież kopią kopii. Z początku wszystko szło nieźle, ale potem Jan Dorvin straciła kontrolę nad programami, które dowodziły jej flotą, i zostaliśmy wydani na pastwę szalonej osobowości Ashley. I tak mieliśmy więcej szczęścia niż ci z innych sterowców. Inne kopie zmusiły swoje załogi do opuszczenia statków i osiedlenia się na Ziemi.

— A co się stało z Jan Dorvin? – zapytała Ayla.

Wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Albo ją Ashley zabiła, albo też została wysadzona na Ziemię.

— Co miała zamiar zrobić z tą flotą Władców Niebios, którą udało się jej zgromadzić? – spytał Len.

— Chciała uwolnić spod władzy sterowców wszystkie naziemne osiedla i zniszczyć tak wiele zarazy, jak to możliwe, za pomocą ich systemów laserowych.

— Wygląda na to – powiedziała Tissa – że chciała dobrze.

JeanPaul westchnął.

— Teraz, kiedy patrzę wstecz, myślę, że masz rację. Ale wtedy... wtedy po prostu jej nienawidziliśmy, bo podbiła nasz statek. – Zdaje się – mruknął Len – że świat stracił jedyną szansę na pokonanie zarazy.

Ciszę, która zapadła teraz wokół stołu, przerwała dopiero Ayla. – Cóż, pozostają jeszcze mieszkańcy osiedli na orbicie. Może tato ma rację i okażą się naszym wybawieniem. Późno, już po północy, dotarli do domu Ayli. Ciężarówkę z ładunkiem pomarańcz zostawili zaparkowaną koło składu w centrum miasta i resztę drogi przebyli piechotą. Ayla milczała, co bardzo rozczarowało JeanPaula. Miał nadzieję skończyć rozmowę, którą zaczęli jadąc na farmę. Sądził, że jest po prostu zmęczona. On sam czuł się zupełnie wyczerpany, a przecież nie musiał walczyć z opornymi dźwigniami biegów w trzęsącej się kabinie.

Szeptem życzyli sobie dobrej nocy w ciemnej kuchni i rozeszli się w przeciwne strony. W swoim pokoju JeanPaul usiadł na łóżku czekając, aż Ayla skończy się myć. Kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi łazienki, wstał starając się nie robić hałasu, żeby nie obudzić Lona. Po chwili wrócił do pokoju, rozebrał się i wsunął pod prześcieradło, a potem zgasił lampkę stojącą na stoliku obok łóżka. Niedługo potem usłyszał, że otwierają się drzwi jego pokoju. Usiadł na posłaniu.

— Kto...? – zaczął.

— Pssst! A jak myślisz? – szepnęła Ayla. Poczul jej chłodne ręce obejmujące szyję.

— A co z twoim ojcem?

Puściła go, usłyszał jak rozbiera się w pośpiechu. – Nie martw się – powiedziała wsuwając się pod przykrycie obok niego. – Ma mocny sen.

Lon Haddon leżał w łóżku nasłuchując, jak jego córka potajemnie kocha się z żołnierzem z Władcy Niebios i próbował uporządkować zalewające go uczucia. Z jednej strony, akceptował wszystko, co sprawiało, że Ayla była szczęśliwa; mimo całej sympatii dla JeanPaula nie mógł jednak opanować niechęci na myśl, że oddaje ją człowiekowi, który niedawno był jednym z ich wrogów. Odzywała się w nim również zraniona ojcowska duma: jego córka pokochała innego mężczyznę. Co jeszcze? Zazdrość? Tak, zazdrościł im obojgu, uświadomił sobie po chwili. Mało prawdopodobne, żeby on sam miał okazję się z kimś kochać w tym krótkim czasie, jaki mu pozostał. Stała mu przed oczyma postać zmarłej żony. Gdziekolwiek jest, wkrótce się z nią połączy. Nie, to nonsens, dobrze o tym wie! Po tym życiu, tak samo jak przed nim, nie ma nic. Tylko nieświadomość... A po pełnym wrażeń życiu Głównego Wzorca powinien być gotowy na śmierć. Ale on nie był. Nie chciał umierać. Śmierć go przerażała... kiedy próbował być ze sobą szczery. A w chwilach takich jak ta był.

Dźwięki dobiegające z pokoju JeanPaula dawno już umilkły, zanim udało mu się zasnąć.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jan siedziała w świetlicy grając z Robinem w szachy. Od dawna już nie był tak ożywiony, chociaż nie znaczyło to wiele. Wyraźnie nie mógł skupić myśli na swoich posunięciach i Jan celowo popełniała błędy, jedynie po to, żeby podtrzymać grę.

Czuła się znudzona, bezsilna i schwyтана w pułapkę. Mimo rozmiarów Shangri La, odkąd zabrano jej *Maskotkę*, miała wrażenie, że się dusi. A świadomość, że gdzieś tam, w górze, krążą Milo i Ashley w poszukiwaniu bazy, jeszcze potęgowała to uczucie. Programy, jak zwykle, nie podniosły jej na duchu. Dzisiaj rano po raz kolejny zapytała Davina o najświeższe wiadomości i jak zwykle otrzymała wymijającą odpowiedź. Roboty Mila, posuwające się coraz dalej i metodycznie odpalające ładunki, żeby określić co się znajduje pod lodem, ciągle jeszcze były w sporej odległości od bazy. Próbowała się dowiedzieć, co programy zamierzają zrobić, kiedy Milo znajdzie w końcu Shangri La. W odpowiedzi usłyszała znowu: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze”. – Nie wierzę mu – powiedziała na głos. – Nie wierzę żadnemu z nich.

Robin, który właśnie miał zrobić jakiś idiotyczny ruch skoczkiem, podniósł wzrok.

— Komu?

— Jak to komu? Davinowi i reszcie programów! Mają jakiś plan, a cokolwiek to jest, nie przyniesie nam nic dobrego. Robin zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem. Programy nie zrobią nam krzywdy. Są tutaj,

żeby się nami opiekować.

— Żeby się opiekować Elojami i, teoretycznie, tobą. Ja jestem tu tylko gościem, którego się toleruje. A teraz, kiedy wyciągnęli ode mnie wszystkie potrzebne informacje, przestałam im być potrzebna. I wcale nie jestem pewna, ile ty dla nich znaczysz.

Wydawał się zbity z tropu.

— Co ty opowiadasz, Jan? Mimo że nie jestem Elojem, zawsze o mnie dbały. Program Etyczny tego wymaga.

Prychnęła lekceważąco.

— Ten ich cały Program Etyczny! Najbardziej podejrzany ze wszystkich. W porządku, pozwala ci żyć i mieszkać tutaj, chociaż nie jesteś Elojem, tylko mutantem. Dlaczego, nie mam pojęcia. Nie wierzę w te ich oficjalne wyjaśnienia. Że Program ciągle stosuje się do starożytnych przepisów Organizacji Narodów Zjednoczonych dotyczących badań nad embrionami. Dobre sobie!

Robin wyglądał teraz na zmartwionego.

— A jakie może być inne wyjaśnienie?

— Nie wiem – powiedziała Jan, a potem, widząc, że sprawiła mu przykrość, uśmiechnęła się uspokajająco i pogładziła go po ręce. – Nie przejmuj się tym, co mówię. To już taka moja obsesja. Na pewno wszystko dobrze się ułoży.

Z goryczą zdała sobie sprawę, że traktuje Robina tak samo, jak Davin traktuje ją.

Konwencjonalne słowa wywarły zamierzony skutek. Jego twarz rozpogodziła się w uśmiechu. Biedny Robin, pomyślała Jan. Mimo ogromnych zmian, jakie zaszły w jego osobowości, kochała go nadal. Czasem trudno jej było uwierzyć w dawną namiętność, jaka ich łączyła. Często myślała teraz, chociaż wiedziała, jakie to niesprawiedliwe, że ma więcej wspólnego z

Elojami niż z tym pełnym wigoru młodym człowiekiem, którego kiedyś poznała. Sięgnęła ponad szachownicą i ujęła jego twarz w obie dłonie.

— Robinie, co teraz do mnie czujesz? – spytała łagodnie.

Wyraz zmieszania powrócił na jego twarz.

— Co czuję? Do ciebie? Jak to rozumiesz?

— Czy kochasz mnie jeszcze?

— Ja... chyba tak.

— Tak jak kiedyś? Pamiętasz, jak było między nami?

Spuścił oczy.

— Tak – odparł niechętnie. – Ale...

— Ale co?

— Teraz jest inaczej. Wiesz, dlaczego.

— Ale Davin mówi, że zmiany, których dokonali w twoim ciele, żeby skompensować brak... Że przywrócą ci twoje normalne uczucia. Ale tak się nie stało... Nie pragniesz mnie już, prawda?

Wpatrywał się w szachownicę.

— Nie w taki sposób, jak dawniej – powiedział wolno. – Chociaż nadal... nadal cię kocham, Jan. Naprawdę.

— Wiem, wierzę ci – odparła ze smutkiem. Opuściła rękę.

— Chodź, skończmy tę partię.

Gra skończyła się w łatwy do przewidzenia sposób: Robin oświadczył, że jest zmęczony i idzie się przespać do swojego pokoju. Jan poszła do swojego, ale nie miała zamiaru spać. Masturbując się, wspominała jak kochali się z Robinem pierwszy raz. Zdała sobie sprawę, że oczy ma pełne łez. Bogini Matko, pomyślała, a może Davin i Milo mieli rację. Może umysł ludzki jest niczym więcej niż tylko końcowym efektem genetycznie kontrolowanych wzajemnych oddziaływań między hormonami. Robin wydawał się tego żywym dowodem. Wystarczyła zmiana

poziomu hormonów, żeby stał się innym człowiekiem. A jeśli ktoś chciał dalszych argumentów, pozostawali jeszcze Eloje... Leżała, wspominając ostatnią filozoficzną sprzeczkę z Davinem. To było dzisiejszego ranka, po tym jak bezskutecznie próbowała wydobyć z niego jakieś informacje na temat Mila. Właśnie miał zamiar zniknąć, kiedy go zatrzymała: – Poczekaj, Davin. Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę o rozwoju ludzkiej inteligencji? Powiedziałeś, że to po prostu narzędzie, wykształcone na drodze ewolucji, znaczące tyle samo co giętki nos wymarłego zwierzęcia.

— Wyraziłem się trochę inaczej, ale tak, pamiętam. – W dalszym ciągu uważam, że ludzki umysł jest jedyny w swoim rodzaju. A ludzka świadomość przewyższa znacznie świadomość zwierząt.

— Masz pełne prawo tak myśleć – odparł z uśmiechem.

— Ale nie zgadzasz się ze mną?

— Przykro mi, ale nie.

— No więc jak wyjaśnisz fakt, że ludzie mają poczucie humoru? – zapytała tryumfalnie. – Jest specyficzną ludzką cechą i oczywiście nie zwiększa szansy na przetrwanie, więc nie było żadnego powodu, żeby powstało w czasie ewolucji. Czy to nie dowód, że świadomość ludzka nie daje się wyjaśnić w ramach twojego mechanistycznego światopoglądu? Że jest czymś szczególnym i niepowtarzalnym? – Wręcz przeciwnie – odpowiedział. – Poczucie humoru było szczególnym rodzajem narzędzia. I wcale nie występuje tylko u ludzi. Czy wasze szympansy w Minervie nigdy się nie śmiały? – Śmiały się, ale one były zmodyfikowane genetycznie. – Szympansy dziko żyjące też potrafią się śmiać, oczywiście na swój sposób. Poczucie humoru u ludzi, podobnie jak u małp, jest tylko wyższą ewolucyjnie

formą tak zwaną „swawolności”, która występuje u wszystkich wyższych ssaków.

— Swawolności?

— Tak. Jeśli miałaś jakieś zwierzę, na pewno nieraz widziałaś, jak się bawi. Ale powróćmy do przykładu, którego używałem ostatnio: wielkich kotów, lwów. Lwiątko „bawi się” z matką i swoim rodzeństwem. Jest to coś w rodzaju walki na niby. Małe uczy się, jak walczyć, ale nie wyrządza krzywdy swojemu przeciwnikowi ani samo nie zostaje zranione, chyba że przez przypadek. Równocześnie może w ten sposób wyładować agresję.

— Wydaje mi się jednak, że istnieje ogromna różnica między małymi lwami, które bawią się ze sobą, a poczuciem humoru u ludzi – zaprotestowała Jan.

— Tylko ilościowa. Społeczeństwa wyższych naczelnych są o wiele bardziej złożone niż, powiedzmy, stado lwów. Z tego powodu odpowiednik „swawolności” u małąp musi być, z konieczności, o wiele bardziej wyrafinowany. A ponieważ ludzie stoją najwyżej wśród naczelnych, to samo odnosi się do ich „poczucia humoru”. Ale w dalszym ciągu jest to tylko walka na niby. Pozwala w bezpiecznej formie wyrażać agresję, okazywać emocje nie powodując uszkodzeń fizycznych. Gdyby nie to, rodziny i pierwotne stada wyższych małąp uległyby zagładzie w chwili, kiedy by doszło do wybuchu wewnętrznych konfliktów. Bez tego narzędzia gatunek ludzki nigdy by nie powstał. Ale w rzeczywistości żart jest tylko jeszcze jednym sposobem wyładowania agresji. Prawie zawsze okrutnym.

Jan znowu czuła, że została pobita. Nadal nie zgadzała się z Davinem, ale nie potrafiła w tej chwili wymyślić żadnego kontrargumentu. – A ty? Czy ty masz poczucie humoru? – spytała

rozzłoszczona.

— Nie.

— Ale przecież żartujesz czasem.

— Potrafię udawać, to wszystko. Po co sztucznej inteligencji poczucie humoru? Nie jesteśmy zwierzętami społecznymi. Nie potrzebujemy go.

— A co z okrucieństwem? Jesteście do niego zdolni?

— Żeby być okrutnym, trzeba doświadczać emocji. – Skoro potraficie naśladować poczucie humoru, możecie też udawać okrucieństwo.

— Po co mielibyśmy to robić?

— Dobre pytanie.

Leżąc w łóżku zastanawiała się, czy przyjdzie jej spędzić w bazie resztę życia, oczywiście pod warunkiem, że programy jej na to pozwolą. A nawet jeśli uda się jej uciec, co ją czeka w świecie na zewnątrz? Zaraza i Władcy Niebios opanowani przez obłąkane kopie Ashley. No i oczywiście Milo. Milo, który wchłonął ciało jej ukochanego syna Simona, żeby przedłużyć własne istnienie. Miała nadzieję, że programy zniszczą ich oboje, Mila i Ashley, w chwili kiedy uda się im odkryć osiedle, co nastąpi z całą pewnością. Miały do dyspozycji *Maskotkę*, a Jan wiedziała z doświadczenia, że jest ona odporna na promienie laserowe.

Utraciła tak wiele, tak wielu bliskich sobie ludzi. Jej matka, Alsa, Ceri... Simon. Teraz został jej tylko Robin i czuła, że on również się jej wymyka. Perspektywa spędzenia długich lat w osiedlu byłaby łatwiejsza do zniesienia, gdyby Robin znowu stał się sobą, ale tak jak się sprawy miały, wydawała się bardzo ponura. Może w końcu będzie błagać programy, żeby zmieniły ją w Eloja. Nie wiedzieli, co to nuda. Zaintrygowana tą myślą, Jan

wstała z łóżka i podeszła do dużego lustra wiszącego na ścianie. W Shangri La ich nie brakowało. Eloje lubili przyglądać się własnym odbiciom, potrafili na tym spędzać całe godziny. Patrząc na siebie w lustrze Jan zastanawiała się, jak by to było zostać jednym z nich. Istotą pozbawioną płci. Bez genitaliów, nawet bez odbytu. Eloje nie mieli zwykłego układu trawiennego. Nieliczne produkty uboczne, pozostające w zmodyfikowanym układzie pokarmowym po strawieniu starannie dobranego, pożywnego jedzenia, były usuwane przez gruczoły potowe. Ich umysły zostały przekształcone w równie dużym stopniu, jak ciała. Żyli w stanie nieustającej błogości; ich mózgi nieprzerwanie zalewane były falami najrozmaitszych neuroprzekazników wywołujących poczucie przyjemności, jak na przykład analogi opium, encefaliny. Eloje nigdy się nie martwili, nie odczuwali smutku ani zniechęcenia, ani strachu. Właściwie nie czuli nic poza niewiarygodnym, wspaniałym, cholernym szczęściem. I co w tym złego? – pytała Jan samą siebie. Czy pogoń za nim nie była zawsze głównym celem ludzkości?

A jednak nie, to był niedobry rodzaj szczęścia. Resztki przekonań religijnych, jakie jej pozostały, mówiły, że Eloje są niemoralni. Przyglądając się swojemu odbiciu wiedziała, że nigdy nie pozwoli się zmienić w jednego z nich, nawet gdyby istniała taka możliwość. Nie byli istotami ludzkimi. Bycie człowiekiem – kobietą – sprawiało jej przyjemność; akceptowała wszystkie tego konsekwencje. Nawet wypróżnienia.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Osiedle Karaganga orbitowało w punkcie zwanym Lagrange 5, Belvedere – w Lagrange 4. Oba punkty znajdowały się na orbicie Księżyca i miały tę zaletę, że należały do najbardziej stabilnych w polu ciągłych grawitacyjnych zaburzeń między Ziemią i jej satelitą. Istniały jeszcze trzy punkty Lagrange, ale występowały w nich większe wahania i osiedla tam umieszczone zmuszone były wykonywać okresowe manewry, żeby utrzymać swoje pozycje. Belvedere i Karaganga, jako pierwsze, zostały oczywiście zbudowane w najbardziej korzystnych punktach. Milowi bardzo się podobał pobyt w Karagandze. Podobnie jak Belvederianie, Karagańczycy byli chrześcijanami, ale jako Rosjanie z pochodzenia, opierali się na dogmatach dawnej Cerkwi prawosławnej. Niewiele łączyło ich z purytanami z Belvedere. Przede wszystkim nie istniała tu segregacja płci, oddawali się też takim przyjemnościom jak picie alkoholu. Milo, przyjmując kieliszek wódki ofiarowany mu podczas pierwszego oficjalnego spotkania z kliką rządzącą w Karagandze, z ogromną satysfakcją obserwował wyraz zgrozy na obliczu ojca Shawa.

— Bracie Jamesie! Co sobie brat wyobraża?! – wybełkotał ochrypłym szeptem.

— Nie chcę sprawić przykrości naszym gospodarzom – wyszeptał w odpowiedzi Milo z kamienną twarzą.

— Wystawia brat na niebezpieczeństwo swoją nieśmiertelną duszę! Poinformuję o tym przełożonych, kiedy tylko znajdziemy się z powrotem w Belvedere!



— Jak sobie ojciec życzy – odparł Milo podnosząc kieliszek do ust. Pociągnął długi łyk. Trunek palił mu gardło. Smakował wspaniale. Nie oczyszczona, ale bez wątpienia prawdziwa wódka. Ile to już czasu minęło, odkąd ostatni raz się napił? Musiało to być gdzieś na początku pobytu w Belvedere, przed wprowadzeniem prohibicji. Bardzo dawno.

Karagańczycy zebrani wokół stołu również wyglądali na zaskoczonych. Doskonale znali purytańskie obyczaje panujące w Belvedere. To było coś nowego; spoglądali na niego z ciekawością. – Interesujące – powiedział Milo odstawiając pusty kieliszek na stół. Ojciec Shaw wyglądał, jakby lada chwila miała go tknąć apopleksja. Tylko obecność Karagańczyków powstrzymała go przed zrobieniem dzikiej awantury.

Spotkanie zostało zorganizowane w celu zaznajomienia obu Belvederian ze szczegółami planowanej wyprawy na Ziemię. Oprócz członków rządzącej partii obecny był również przywódca ekspedycji, kapitan Ilja Wiuszkow. Podobnie jak pozostali, miał szeroką twarz o słowiańskich rysach; wydawało się, że nie ma jeszcze trzydziestki. Przejawiał entuzjazm i żywotność, których wyraźnie brakowało jego przełożonym. Milo nie zdziwił się, kiedy się dowiedział, że kapitan – i cała jego załoga – dobrowolnie zgłosili się do udziału w wyprawie. Uznał, że z czasem Wiuszkow bardzo mu się przyda. – Na statku trwają jeszcze ostatnie przeróbki – rozpoczął spotkanie prezydent Karagangi, Sasza Jakinfowicz. Zabrały nam nieco więcej czasu, niż przewidywaliśmy, ale mamy nadzieję, że za siedem dni będziecie już w drodze. Do tej pory miło nam będzie gościć was tutaj, w Karagandze.

— Skorzystamy z największą przyjemnością – odparł Milo. To właśnie wtedy pozwolił się poczęstować wódką. Życie w osiedlu

niewątpliwie miało pewne ograniczenia, ale daleko mu było do surowości panującej w Belvedere. Jak zauważył Milo, pokój konferencyjny był wygodnie umeblowany, a na ścianach wisiały obrazy. To prawda, wszystkie o treści religijnej, ale i tak stanowiło to miłą odmianę po nagich ścianach Belvedere. – A więc macie zamiar nawiązać z Ziemianami stosunki handlowe? – zapytał prezydenta.

Pytanie rozbawiło Karagańczyków.

— Niezupełnie – odpowiedział prezydent. – Rozumie się, tak przedstawiliśmy sprawę Ziemianom, ale w rzeczywistości po prostu zamierzamy ich podbić.

— Jasne – mruknął Milo. – Ale przecież nie zgodzą się na to dobrowolnie.

— Bez wątpienia. Sami nam powiedzieli, że są uzbrojeni, mają nawet artylerię, ale brak im laserów i innej broni promiennej. Złamanie ich oporu nie powinno sprawić większych kłopotów kapitanowi Wiuszkowowi i jego ludziom.

Przy tych słowach kapitan uśmiechnął się i skinął głową. Milo posłał mu kolejne uważne, taksujące spojrzenie.

— Cóż, ojciec Shaw i ja chcemy jedynie stwierdzić, czy dusze tych Ziemian są godne zbawienia. Jeśli ich podbijecie, jak to macie w planach, nasze zadanie będzie tym łatwiejsze.

Sięgnął po swój pusty kieliszek i podniósł go w górę.

— Czy mógłbym prosić o jeszcze trochę waszej doskonałej wódki? Chciałbym wznieść toast za powodzenie naszych połączonych misji.

W czasie, gdy napełniano mu kieliszek, słyszał obok mamrotanie ojca Shawa.

Kiedy w końcu znaleźli się sami w kabinie, zakonnik mógł wreszcie dać upust swemu oburzeniu. Z początku wydawał z

siebie jedynie niezrozumiałe dźwięki, wskazując oskarżycielsko palcem na Mila. Milo siadł na swojej koi z założonymi rękami i spokojnie mu się przyglądał. Wydawało się, że wprawia tym ojca Shawa w jeszcze większą furję.

Po chwili pojawiły się pierwsze słowa.

— Ty... ty... to... to... ty... to niedopuszczalne... twoje zachowanie... nie do przyjęcia... zapłacisz za to... już ja się postaram!

— Widzę, że siła grawitacji wpłynęła zbawiennie na stan zdrowia ojca – powiedział Milo.

— Co za zuchwałość! – wyjąkał ojciec Shaw. – Kiedy tylko wrócimy do Belvedere, zostanie brat wykluczony z zakonu! Osobiście dopatrzę, żeby ukarano go jak najsurowiej; będzie brat żałował, że nasz Pan nie powołał go do siebie, zanim brat zszedł na złą drogę.

— Och, zamknij się wreszcie, stary durniu! – powiedział Milo. Dość tego udawania. – Jeśli nie zaczniesz się zachowywać jak człowiek, postaram się, żebyś już nigdy nie zobaczył Belvedere.

Ojciec Shaw drgnął. Nie wierzył własnym uszom.

— Bracie Jamesie... – wyszeptał zdumiony. – Brat się zachowuje jak opętany!

Milo skinął głową.

— Celne porównanie. Jestem opętany. Przez siebie, Mila Haze'a. Brat James był tylko fasadą. Zresztą bardzo użyteczną. Pozwoliła mi przeżyć te wszystkie długie, okropne lata, kiedy byłem zmuszony przebywać w waszym upiornym towarzystwie. Ale nareszcie jestem wolny i nie mam zamiaru udawać ani chwili dłużej. A już na pewno nie dla twojej przyjemności, ty żaloszny tłuściochu.

Zakonnik cofnął się o krok. Z oczu wyzierał mu strach.

— Brat musi być opętany! To przez to bezbożne miejsce! Będę się za brata modlił...

Milo zerwał się z koi, obiema rękami chwycił zakonnika za gardło i bez wysiłku uniósł w powietrze. Twarz ojca Shawa zsiniała drugi raz w ciągu tej godziny, ale teraz z zupełnie innego powodu.

— Módl się za siebie – powiedział Milo zimno, kiedy zakonnik rozpaczliwie walczył o oddech. – Jeśli nie będziesz mnie słuchał, zabiję cię. Zrozumiano?

Ojciec Shaw próbował skinąć głową. Milo puścił go; upadł na kolana rżąc i charcząc. Milo wrócił na swoją koję. Zakonnik pozostał na klęczkach. Patrzył na niego ze strachem, rozcierając posiniaczony kark.

— Kim jesteś? Demonem?

— Powiedziałem ci. Nazywam się Milo Haze. Kiedyś, na Ziemi, byłem szefem Haze Genengineering Corporation, jednej z najpotężniejszych korporacji przed wybuchem Wojen Genetycznych. Potem z oczywistych przyczyn uciekłem z planety pod przybranym nazwiskiem. Od tamtej pory ukrywałem się w Belvedere. Aż do teraz. Wyraz twarzy ojca Shawa mówił wyraźnie, że jego zdaniem Milo czy istota, która go opętała, bredzi w gorączce. – Ale przecież urodziłeś się w Belvedere – zaprotestował. Milo opowiedział mu o swoich narodzinach i wyjaśnił, w jaki sposób jego prawdziwe „ja” uciekło na Marsa. Kiedy skończył, oblicze ojca Shawa świadczyło, że sam już nie wie, co o tym myśleć. – Byłbym wdzięczny, gdybyś zachował wszystko dla siebie. Zresztą, nawet jeśli spróbujesz to komuś przekazać, i tak nikt ci nie uwierzy. Poza tym, powiem wtedy, że to skutek choroby, na którą cierpiałeś w kosmosie. Jestem lekarzem, pamiętaj. Jedyne, co ci pozostaje, to przyrzec mi

całkowite posłuszeństwo. W przeciwnym razie, zapewniam, konsekwencje będą przerażające. Więc...? Po dłuższej chwili ojciec Shaw wolno skinął głową.

— Przysięgam.

— Dobrze – powiedział Milo. – Możesz teraz wstać. Jak to bogowie, nie dbam o wyrazy czci ze strony wyznawców. Twoje szczere oddanie w zupełności mi wystarczy.

Milo właśnie zabawiał się z Tyra, kiedy mu nieuprzejmie przerwano.

— Milo!

Głos był tak donośny, że zabolowały go uszy, a Tyra wzdrygnęła się gwałtownie. Ale przecież, pomyślał, gwałtowne drżenie to jej specjalność. Zsunął się z dziewczyny i usiadł na łóżku. – Naprawdę potrafisz wybrać odpowiedni moment, Ashley, żeby wpaść na pogawędkę. Co się stało?

Kiedy to mówił, Tyra wykorzystała nadarzającą się sposobność, zerwała się z łóżka i umknęła do łazienki.

— Zaczynam mieć tego dość – grzmiała Ashley tym samym, trudnym do zniesienia głosem. – Kiedy wreszcie doczekam się od ciebie jakichś wyników?

— Trochę cierpliwości. To tylko kwestia czasu. Mamy do zbadania tysiące mil kwadratowych lodowca, a dysponujemy ograniczoną liczbą robotów. Może gdybyś uruchomiła rezerwy...? – Nie bądź śmieszny! – warknęła. – Bez nich byłabym zdana na twoją łaskę.

— Nadal mi nie ufasz? Myślałem, że znowu jesteśmy partnerami.

— Ha! – krótki pogardliwy śmieszek starczył za odpowiedź. – Serio, pająki przebyły już ponad połowę lodowca. Lada chwila możemy natrafić na stały ląd.

— Daję ci tydzień czasu.

— Albo...?

— Wysadzę cię na lód. Tak jak stoisz.

— Ashley, bądź rozsądna. Nie mogę ci obiecać, że znajdę osiedle w ciągu tego tygodnia. Ashley...? – ale instynktownie wyczuwał, że jej „obecność” zniknęła. Chwilę siedział na łóżku głęboko zamyślony, potem wstał i ruszył w stronę łazienki. – Nawiązaliśmy kontakt z Belvedere, proszę pana – powiedział radiooperator podnosząc się z krzesła. Ojciec Shaw zajął jego miejsce. Nerwowo otarł pot z czoła.

— Możecie odejść – powiedział, starając się nie zapomnieć instrukcji obsługi odbiornika.

Zaczekał do chwili, kiedy usłyszał syk drzwi zasuwających się za operatorem, potem pochylił się nad mikrofonem i nacisnął guzik nadawania.

— Mówi ojciec Shaw z osiedla Karaganga. Z kim rozmawiam?

Odbiornik milczał; zorientował się, że nadal trzyma przycisk.

Puścił go i w tej samej chwili usłyszał głos: — ...powtarzam, mówi brat Robert, oficer komunikacyjny drugiej klasy. Odbiór.

— Niech brat uważnie słucha – powiedział ojciec Shaw nagłaco. – Proszę zapytać CenCom o wszystkie dostępne informacje na temat człowieka nazwiskiem Victor Parrish. Eee... odbiór. Głos odezwał się dopiero po chwili, brzmiało w nim lekkie zdumienie. – Chce ojciec uzyskać tę informację w tej chwili? Odbiór... – Oczywiście, że tak, ty głu... – przerwał i zmusił się do zachowania spokoju. – To bardzo ważne. Proszę się pośpieszyć. Odbiór. – Tak jest – odparł brat Robert nieporuszony. – To zajmie chwilę czasu. Proszę poczekać.

Pewnie, że zaczekam, ty durniu – pomyślał ojciec Shaw ze złością. – A. cóż innego mi pozostaje? Czuł rosnące

znieczierpliwienie. I strach. Wiedział, że jest bezpieczny. Brat James bierze udział w inspekcji statku, prawie gotowego do drogi na Ziemię. On sam miał iść również, ale w ostatniej chwili odwołał swój udział, tłumacząc się złym samopoczuciem. Na myśl, że brat James, kimkolwiek jest w rzeczywistości, może odkryć jego oszustwo, kurczył mu się żołądek a w piersi narastała panika. Opanował nagłą chęć, żeby się obejrzeć przez ramię.

— Jest tam ojciec? Odbiór.

— Jestem, jestem – wysapał pośpiesznie – Czego się brat dowiedział? – Odpowiedź nie nadeszła; zorientował się, że nie włączył nadawania.

— Tak, słucham – powtórzył nieco bardziej spokojnie. – Czego się brat dowiedział? Odbiór.

— Ten Victor Parrish... CenCom mówi, że był ktoś taki, ale żył dawno temu. Dokładnie ponad sto sześćdziesiąt lat temu. Z pewnością to nie o niego chodzi? Odbiór.

— Co się z nim stało? Odbiór – powiedział ojciec Shaw czując, że zaschło mu w ustach.

— Zginął w tragicznych okolicznościach podczas wyprawy na Marsa. Z powodu przypadkowej dekompresji zginęła cała załoga z wyjątkiem jednej osoby. Odbiór.

Ojciec Shaw zaczął się trząść. Brat James mówił prawdę.

Nacisnął guzik.

— To bardzo ważne, bracie Robercie. Proszę uważnie słuchać. Musi brat natychmiast połączyć mnie z ojcem Massie'em. Mam dla niego niezwykle ważną wiadomość...

Serce podskoczyło mu gwałtownie, kiedy nie wiadomo skąd pojawiła się czyjaś ręka, chwyciła go za nadgarstek i uniosła jego dłoń znad przycisku. Odwrócił się. Brat James patrzył na niego z

uśmiechem. To niemożliwe! Usłyszałyby przecież jego nadejście! – Jak...? jak...?

— Byłem tu przez cały czas – wyjaśnił Milo. – Wszedłem, kiedy operator wychodził.

— Halo? Ojciec Shaw? Jest tam ojciec? Odbiór.

— Ale... powinieneś być na inspekcji – wyjąkał ojciec Shaw uświadamiając sobie równocześnie, że ręka boli go, jakby mu ją ktoś włożył w imadło. Brat James w dalszym ciągu się uśmiechał. – Postanowiłem wyjść wcześniej. Powiedziałem, że niepokoi mnie zdrowie ojca. Podróż tutaj była ciężką próbą, niewykluczone, że stan ojca mógł się... zmienić... na gorsze. W chwili mrozącej krew w żyłach jasności ojciec Shaw pojął jego intencje.

— Masz zamiar mnie... zabić.

— Ależ nie! Jak długo będziesz mi posłuszny.

— Ojciec Shaw! Proszę się odezwać! Odbiór.

— Powiedz naszym kolegom z Belvedere, że twoja wiadomość dla ojca Massie'ego brzmi następująco: „Z Bożą pomocą wszystko jak dotąd układa się pomyślnie i masz wszelkie podstawy przypuszczać, że dalej będzie podobnie. Z niecierpliwością oczekujesz chwili rozpoczęcia swojego posłannictwa na Ziemi”. Odbiór i koniec. – Puścił rękę zakonnika. – No, już.

Złamany, ojciec Shaw nacisnął guzik i przekazał wiadomość.

Jego ręka znowu została siłą oderwana od przycisku. – A teraz – powiedział brat James – sądzę, że powinniśmy wrócić do naszej kwatery. Wygląda ojciec na zmęczonego. Potrzeba ojcu odpoczynku.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

JeanPaul wiedział, że minie wiele czasu, zanim polubi nurkowanie, o ile nastąpi to kiedykolwiek. Pod powierzchnią wody, gdzie nie czuło się już falowania, Ayla czuła się najwyraźniej w swoim żywiole. Świadczył o tym sposób, w jaki się poruszała. Ale dla JeanPaula ciągle jeszcze było to obce środowisko. Nigdy wcześniej, przed upadkiem do oceanu podczas katastrofy *Władcy Montcalma*, nie pływał, a wtedy wydawało mu się to okropnym przeżyciem. Zejście pod powierzchnię było jeszcze o wiele gorsze. Za pierwszym razem musiał walczyć z ogarniającą go paniką.

Główny problem stanowiła klaustrofobia. Powodował ją sam aparat oddechowy; urządzenie, które tłoczyło powietrze do płuc pod ciśnieniem równym ciśnieniu otaczającej go wody. Świadomość, że każdy jego oddech – jego życie – zależy od tego niewielkiego przedmiotu, sprawiała, że czuł się nieswojo. Inną sprawą była słaba widoczność. Nawet tutaj, niedaleko od brzegu, gdzie woda była niezwykle przejrzysta, niepokoiła go mglista bariera ograniczająca pole widzenia. Ciągle mu się wydawało, że mającą w niej niewyraźne cienie, a odkąd Ayla powiedziała, że czasami – choć bardzo rzadko – niewielkim rekinom udaje się przedostać przez metalowe pręty zewnętrznego ogrodzenia, nie potrafi! wyzbyć się obawy.

Płynąca z przodu Ayla dała znak, że czas wracać. JeanPaul odetchnął z ulgą. Obok niej czuł się bezpieczniej, zaczął z przyjemnością obserwować, z jaką gracją jej ciało porusza się

pod wodą. Nie miał już wątpliwości: kocha tę kobietę do szaleństwa. Był jak odurzony. I pomyśleć tylko, że jeszcze niedawno pomyślał, że mógłby uprawiać seks z mieszkanką Ziemi – nie mówiąc już o jej pokochaniu – oburzyłyby go do głębi. Jak szybko rozwiewały się uprzedzenia, które żywił przez całe życie...

Wpłynęli na płyciznę, gdzie nogami mogli sięgnąć dna. JeanPaul z uczuciem szczęścia zdjął aparat do oddychania i ciasną maskę. Zsunął płetwy i przewiesił je sobie przez ramię. Uśmiechnął się szeroko do Ayli.

— No więc? Jak brzmi werdykt?

Wykrzywiła się do niego.

— Ciągłe ruszasz się jak pijany zółw, ale robisz postępy. – To znaczy, że mogę z tobą jutro płynąć na tę wycieczkę za mury?

— Wolałabym co prawda, żebyś jeszcze poćwiczył, ale dobrze... Brodzili w kierunku brzegu. Nieobecność wodnych ludzi nadal była przedmiotem rozmów; Ayli i jej przyjaciele regularnie odwiedzali wyznaczone miejsce spotkań w nadziei, że w końcu przybędą. Zgodnie z przewidywaniami, ojciec nie zgodził się na propozycję Ayli, że odwiedzi wodnych ludzi w ich osiedlu. – O, kurczę! – dziewczyna zatrzymała się nagle i wypatrywała czegoś, wolną ręką osłaniając oczy przed ostrym blaskiem słońca. JeanPaul podążył za jej wzrokiem. Na plaży zobaczył czekającego na nich Kella, a w pewnej odległości od niego – grupkę paru nie znanych mu osób.

— O co chodzi? – spytał, kiedy znowu ruszyła przed siebie.

— Potomstwo Banksa. Tego tylko nam brakowało. Było ich troje, dwóch mężczyzn i kobieta. Kobieta i jeden z mężczyzn nie mogli mieć więcej niż po dwadzieścia parę lat, drugi osiągnął już wiek optymalny, więc na pewno skończył trzydzieści pięć. On też

odezwał się pierwszy, kiedy Ayla i JeanPaul wyszli na plażę. – A więc to prawda. Ayla Haddon prowadzi się z naszym wrogiem. Córka jednego z naszych przywódców została kochanką pirata – powiedział szyderczo.

Dziewczyna wyglądała na wściekłą, ale nie odezwała się ani słowem. Kell, który pomagał jej uwolnić się z uprzęży do nurkowania, wydawał się jeszcze bardziej rozwścieczony, chociaż JeanPaul nie był pewien, przeciw komu jest skierowana jego złość. Zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie za ich przykładem, i czekał, jaki obrót przybierze sytuacja. Odpiął uprzęż i z ulgą opuścił na piasek ciężkie butle z tlenem.

— Wstyd! To zniewaga dla wszystkich Palmyrczyków! – odezwała się dziewczyna. – Jak mogłaś iść do łóżka z człowiekiem, który chciał nas podbić?

Tym razem Ayla nie wytrzymała. Podeszła do dziewczyny.

— Powściągnij swój jadowity język, Joy! – powiedziała ze złością. – Doskonale wiesz, że rada głosowała za ogłoszeniem amnestii wobec ludzi ze statku!

— Nie cała rada. Nasz ojciec był przeciw – odezwał się znów starszy z mężczyzn.

Ayla zwróciła się do niego.

— Nie zgodziłby się tak czy inaczej, Bron. Sprzeciwia się wszystkiemu, co popiera mój ojciec, bez względu na to, o co chodzi. – Bo nie jest zdrajcą – powiedziała Joy.

— Twierdzisz, że mój jest? – zimno spytała Ayla. – Tak – odezwał się młodszy chłopak. – Sprzedał nas tym z osiedla na orbicie.

— To bzdura i sam o tym dobrze wiesz! – krzyknęła Ayla z furją.

— Przylatują tu, żeby nam pomóc!

— Pomóc wrócić do epoki kamiennej – szydził Bron. – Może byś się wreszcie zamknął? – powiedział Kell, przyłączając się w końcu do sprzeczki.

— Chcesz mnie przekonać, żebym to zrobił? – spytał Bron, podchodząc krok bliżej.

— Czemu nie.

— Daj spokój, Kell – westchnęła Ayla. – Nie warto. O to właśnie im chodzi. Uwielbiają prowokować dla samej prowokacji. Nauczyli się tego od ojca. To jego jedyna rozrywka. Chodźmy stąd. Ruszyła plażą niosąc swój ekwipunek. Kell, po chwili wahania, niechętnie podążył za nią. JeanPaul podniósł swoje rzeczy i, uprzejmie skinąwszy głową w stronę Banksów, pośpieszył za nimi. – Do zobaczenia, piracie! – krzyknął za nim Bron. – Jeszcze się spotkamy!

Groźba była zupełnie wyraźna.

— Boże, jak ja go nienawidzę – mruknęła Ayla, kiedy JeanPaul zrównał się z nią i Kellem. – Jak oni śmieli opowiadać takie rzeczy o moim ojcu?!

— Szkoda, że nie pozwoliłaś mi dołożyć Bronowi – powiedział Kell, rzucając przez ramię pełne wściekłości spojrzenie. – Nie. Mówię ci, marzą tylko, żeby zacząć bójkę. Przeklęty Jelker i jego metody. Z każdym dniem przybywa mu popleczników. Wszyscy twierdzą, że robimy błąd ufając przybyszom. – Niedługo się przekonają, że nie mieli racji – zauważył JeanPaul. – Przybysze będą tu już za tydzień.

— Aha – przytaknęła Ayla. – A wtedy całe mnóstwo ludzi będzie musiało tatę przeprosić.

JeanPaul pomógł Ayli i Kellowi złożyć sprzęt w szopie, a potem samotnie ruszył w stronę szpitala. Dziewczyna jak zwykle zapytała, czy chce, żeby z nim poszła, a on jak zwykle

odpowiedział, że nie. To był tylko jego obowiązek, a poza tym nie chciał narażać jej na widok poparzonych ofiar katastrofy. Wiedział, jak bardzo jest wrażliwa.

Zbliżając się do budynku szpitala, zobaczył przy wejściu grupkę ludzi. Byli to rozbitkowie z *Władcy Montcalma*. Jeden go zauważył i wtedy wszyscy odwrócili się w jego stronę. Zorientował się, że na niego czekali.

— JeanPaul, chcemy z tobą porozmawiać – zaczął jeden z nich, kiedy podszedł bliżej. Naliczył osiem osób, pięciu mężczyzn i trzy kobiety.

— Oczywiście – powiedział. – Coś się stało?

Próbował dopasować imiona do twarzy. Poznał ich dopiero po katastrofie. Wszyscy jego dawni znajomi i przyjaciele zginęli. – Chcemy wiedzieć, jakie są twoje dalsze plany. W stosunku do nas – odezwał się inny.

— Jakie plany? – spytał JeanPaul, zaskoczony. – Jesteś, naszym przywódcą. Masz obowiązek coś zrobić w tej sytuacji! – krzyknęła jakaś kobieta. Wydawało mu się, że ma na imię Charlotte, ale nie był zupełnie pewien.

— W tej sytuacji? – powtórzył, nadal nic nie rozumiejąc. – To znaczy w jakiej?

Zgromadzeni wymienili między sobą zaniepokojone spojrzenia. Mężczyzna, który odezwał się pierwszy – JeanPaul przypomniał sobie, że ma na imię Philippe – odpowiedział: – Siedzimy jak w klatce między tymi przeklętymi ziemskimi glistami. Jak długo jeszcze mamy znosić takie poniżenie?! Musisz coś zrobić!

W pierwszej chwili JeanPaul omal nie wybuchnął śmiechem. W następnym momencie ogarnęła go złość. Ci ludzie – jego ludzie – nie byli ani trochę lepsi niż trio Banksów, które przed chwilą

spotkał. – Czego się po mnie spodziewacie? Że wyczaruję nowy statek z powietrza? – zapytał sarkastycznie.

— Oczekujemy – odpowiedział Philippe – że wymyślisz plan, który pozwoli nam zdobyć przewagę nad glistami. Jako nasz przywódca masz obowiązek to zrobić.

JeanPaul poczuł, jak jego złość jeszcze rośnie. – Nie – powiedział wolno. – Po pierwsze dlatego, że nie jestem już waszym przywódcą. A poza tym uważam, że jesteście winni tym... glistom, jak ich nazywacie, naszą wdzięczność. – Wdzięczność! – krzyknął Philippe. – Za to, że nas zestrzelili!

Że wymordowali większość naszych ludzi!

— Bo zamierzaliśmy ich podbić, żeby im kraść żywność i inne dobra. Mieli całkowite prawo się bronić. Ale potem ofiarowali nam gościnę, dali jedzenie i dach nad głową. Jesteśmy wolni. Najlepsze, co możemy zrobić, to mieszać się z nimi, stać się częścią ich społeczności.

— Ależ my jesteśmy niebiańskimi ludźmi! – wykrzyknął inny mężczyzna, imieniem Raphael.

— Byliśmy niebiańskimi ludźmi – uprzejmie poprawił go JeanPaul. Dość trudno być niebiańskim człowiekiem bez statku. Teraz jesteśmy ziemskimi glistami.

— Nieprawda! Nigdy! – odezwało się kilka głosów. – Tak czy inaczej, ja uważam się za mieszkańca Ziemi – powiedział JeanPaul wyzywająco. – I radziłbym wam zdecydować się na to samo.

Zapadła cisza; patrzyli na niego z jawną wrogością. – Mówili, że sypiasz z jakąś dziwką od nich. Teraz zaczynam w to wierzyć – powiedziała jedna z kobiet, której imienia nie mógł sobie przypomnieć.

Te słowa podziały na niego jak smagnięcie biczem. Drżał z

wściekłości, z trudem powściągnął pokusę, żeby rzucić się na nich z pięściami. Kiedy nieco ochłonął, odparł najspokojniej jak potrafił: – Nie obchodzi mnie, co sobie o mnie myślicie. Ale musicie mi uwierzyć, kiedy mówię, że macie do wyboru przystosować się albo zginąć. A teraz, wybaczcie, mam w szpitalu parę spraw do załatwienia. Przepchnął się przez gromadkę, z nieco większą siłą niż było trzeba, i ruszył po drewnianych schodach do drzwi frontowych.

Wchodząc do wnętrza, usłyszał jak któryś z mężczyzn woła za nim: – Zdrajca!

— Biedny JeanPaul – powiedziała Ayla gładząc go po głowie. – Naprawdę się tym przejąłeś.

— Raczej mnie to zezłościło. Moi własni ludzie! Jak można być tak głupim? Co, do cholery, myślą, że mogą zrobić? Stworzyć podziemną armię i wziąć Palmyrę siłą?

— To tylko paru.

— Wiem – westchnął. – Ale wystarczy, żeby narobić kłopotów. Lepiej pomówię o tym z twoim ojcem. Trzeba ich mieć na oku.

— Cały czas są obserwowani. Podobnie jak wy wszyscy.

Uniósł brwi.

— Naprawdę? A kto, w takim razie, śledzi mnie? – Ja – odparła i mocno go pocałowała, wsuwając mu głęboko język do ust.

— Bardzo poważnie traktujesz swoje obowiązki – odezwał się po chwili. – To godne najwyższej pochwały.

— Sądzisz, że znalazłabym się tutaj, w twoim łóżku, gdyby nie wysoko rozwinięte poczucie obywatelskiej powinności? – spytała żartobliwie.

— Ależ skąd. Jestem przekonany, że w twoim wypadku seks nie ma tu nic do rzeczy, jest to wyłącznie kwestia patriotyzmu. Roześmiała się.

— A więc mówią o mnie „ziemska dziwka”, tak?

— Tak – potwierdził poważnie.

— Nikt mnie tak jeszcze nigdy nie nazywał. Nawet mi się to podoba. Dziwka JeanPaula...

Spojrzał na nią nachmurzony.

— Nie bądź śmieszna – powiedział surowo.

— Ach, więc tak to nazywacie? – odparła. Usiadła, a potem nachyliła się nad jego koczem. Poczuł, jak jej wilgotne usta go obejmują.

— Ale... – zaczął bez przekonania – musimy się na jutro wyspać... Ku jego uldze udała, że nie słyszy. Nagle poczuł, że znowu ma erekcję. Kiedy pobudzenie doszło do szczytu, Ayła wyprostowała się. – Nie chcesz chyba, żebyśmy obudzili twojego ojca – zaprotestował jeszcze słabiej.

— Nie obudzimy – powiedziała, przełożyła nad nim nogę i z drażniącą powolnością zaczęła się na niego opuszczać. – Wrócił dzisiaj bardzo zmęczony z lądowiska dla przybyszów. Śpi jak zabity. JeanPaul nie myślał już o ojcu Ayli. Wydał cichy jęk. Ayła spojrzała na niego z szelmowskim uśmiechem. – Nadal uważasz, że jestem śmieszna?

Nie był w stanie odpowiedzieć. Znowu pokazała mu język i wolno wygięła się w łuk. Jęknął z rozkoszy. Kiedy patrzył na nią, pozerając wzrokiem jej ciało, wypełniony mieszaniną płomiennej rozkoszy i pożądania, nagle uświadomił sobie z głębokim przekonaniem, że chwile takie jak ta przechylają szalę na korzyść życia. Mimo całego bólu, cierpienia i śmierci. To one nadają mu wartość. Sięgnął, żeby dotknąć jej piersi.

— Kocham cię, Aylo... tak bardzo cię kocham.

— Czy byłabyś łaskawa zabrać łokieć z mojej twarzy? – zapytał z rozdrażnieniem.



— Przepraszam – mruknęła, zmieniając pozycję. W kulistej przedniej części kadłuba było niewiele miejsca. JeanPaul i Ayla siedzieli ściśnięci za plecami Kella, który sterował łodzią. Obecność JeanPaula na pokładzie sprawiła, że zabrakło miejsca dla Juli. Niechętnie zgodziła się zostać na brzegu. – Muszę przyznać, że ta łódź robi na mnie wrażenie. Zbudowaliście ją tutaj, w Palmyrze? – spytał.

— Niezupełnie. Obie łodzie pochodzą z podwodnego osiedla. Dostaliśmy je część po części i sami zmontowaliśmy. Dokonaliśmy też wielu przeróbek. Ale cała elektronika pochodzi z osiedla. Dlatego to takie ważne, żeby nie stracić kontaktu z wodnymi ludźmi. – Daleko jeszcze?

Ayla wychyliła się zza ramienia Kella i spojrzała w dół przez jeden z iluminatorów.

— Nie – odpowiedziała. – Za jakieś pięć minut będziemy na miejscu. Mam rację, Kell?

— Tak – głos Kella zabrzmiał ponuro. On również był niezadowolony z obecności JeanPaula na pokładzie.

JeanPaul po raz kolejny spróbował – bez skutku – zmienić pozycję na chociaż trochę bardziej wygodną.

— Powietrze zrobiło się trochę stęchłe, czy to tylko mnie się tak wydaje? – spytał.

— Nie wydaje ci się. Dwutlenek węgla gromadzi się szybciej, niż filtr jest go w stanie wychwycić – wskazała na skrzynkę przytwierdzoną do jednej ze ścian. – Dodam trochę więcej tlenu. Sięgnięcie do butli z tlenem, znajdującej się tuż obok niego, wymagało od obojga wielu manewrów, podczas których niemal się o siebie ocierali. Kiedy w pewnej chwili znaleźli się twarzą w twarz, JeanPaul uśmiechnął się do niej i powiedział: – Zdaje się, że wczorajszej nocy doznałem dzięki tobie czegoś w rodzaju

religijnego objawienia.

— Tak się u was na to mówi? – spytała lekko, ale równocześnie zmarszczyła brwi z niezadowoleniem. Zorientował się, że nie chce poruszać tego tematu w obecności Kella. Natychmiast zrozumiał dlaczego i skinął głową. Ayli udało się odkręcić zawór butli i po chwili gaz zaczął z niej z sykiem wylatywać. JeanPaul natychmiast odczuł różnicę.

— No, jesteśmy na miejscu – oświadczył Kell, pociągając dwie dźwignie. Łódź zaczęła opadać; JeanPaul uświadomił sobie, że Kell musiał otworzyć zbiorniki. Ayła zabrała się do otwierania włazu, prowadzącego do śluzy.

— Chodź, musimy się przebrać.

Przecisnął się za nią do śluzy i zaczęli nakładać skafandry. Uprzedziła go, że w głębinach woda będzie zimniejsza. Poczuli lekkie szarpnięcie, kiedy łódź osiadła na dnie. Kell dołączył do nich, starannie zamknął za sobą włącz. Gdy byli gotowi i sprawdzili, że aparaty tlenowe działają bez zarzutu, Kell pociągnął za rączkę umieszczoną na jednej ze ścian i do wnętrza zaczęła się wlewać woda. Jej poziom szybko się podnosił; niedługo sięgnęła JeanPaulowi do twarzy. Poczul się nieswojo. Znowu miał wrażenie klaustrofobii. Kiedy komora była pełna, Kell sięgnął w górę i przekręcił uchwyt otwierający drugi włącz. Pokrywa uniosła się, Kell chwycił miotacz włóczni i wypłynął na zewnątrz. Na znak dany mu przez Aylę, JeanPaul wziął swoją broń i podążył w ślad za Kellem. Gdy wydostał się z łodzi, miał okazję po raz pierwszy przyjrzeć się otoczeniu. Łódź osiadła na łasze czystego piasku, otoczonej przez fragmenty rafy koralowej i bujną podwodną roślinność. Światło było słabsze niż podczas jego poprzednich nurkowań, co oznaczało, że pole widzenia jeszcze się skurczyło. Mglista bariera wydawała się o wiele

bliższa. Ścisnął mocniej broń, w nadziei, że doda mu otuchy, której bardzo w tej chwili potrzebował. Nie był to miotacz dzid; Ayla nazywała ją ogłuszaczem. Składała się z drewnianego kija, długiego prawie na metr, zakończonego z jednego końca uchwytem, a z drugiego – krótkim metalowym cylindrem, w którym znajdował się nabój. Wszystko, co musiał zrobić w razie niebezpieczeństwa, to dźgnąć bronią swojego napastnika; nabój wybuchał automatycznie. Ayla zapewniała go, że powstający wstrząs jest dostatecznie silny, żeby zniszczyć system nerwowy największego rekina. JeanPaulowi niezbyt się podobała myśl, że mógłby się znaleźć w odległości niecałego metra od rekina, nawet całkiem małego. Ogłuszacz miał jeszcze jedną wadę: można go było użyć tylko raz.

Ayla dołączyła do nich i wskazywała w kierunku, z którego mieli przybyć wodni ludzie. W przeciwieństwie do obu mężczyzn nie miała broni. Gestem nakazując im pozostać w pobliżu łodzi, odpłynęła jakieś piętnaście metrów dalej i zamarła w oczekiwaniu. JeanPaul pragnął w duchu, żeby wyprawa okazała się bezowocna. Na podstawie opisu Ayli wodni ludzie przedstawiali mu się nieszczególnie pociągająco, chociaż zapewniała, że są teraz przyjaźnie nastawieni. Spojrzał na zegarek. Mogą czekać tylko czterdzieści pięć minut, na więcej nie starczy im powietrza.

Po pewnym czasie znudziło go zataczanie ciasnych kółek. Gestami dał do zrozumienia Kellowi, że zamierza zbadać jedną z pobliskich skał. W odpowiedzi Kell zrobił znak, oznaczający: „Bądź ostrożny”.

Skała wznosiła się z dna morskiego na wysokość około sześciu metrów. Kiedy do niej dotarł, obejrzał się. Łódź i Kell wydawali się nieprzyjemnie odlegli. Otrząsnął się z obawy widząc, w jakim

popłochu uciekają przed nim mieszkańcy rafy: żywo ubarwione ryby, kraby... ośmiornica, zmieniająca kolor, żeby wtopić się w tło. Zanim wdrapał się na szczyt skały, zapomniał już zupełnie o mogącym mu grozić niebezpieczeństwie, toteż przeżył szok, kiedy znenacka stanął twarzą w twarz z potworem.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Unosił się nad rafą w odległości trzech metrów od JeanPaula. Mężczyzna stał jak wrośnięty w ziemię ze zdumienia. Trudno powiedzieć, czy stwór jest równie zaskoczony, z rysów jego twarzy nie sposób było nic wyczytać. Miał ponad dwa metry wzrostu, jednak pióropusz ostro zakończonych płetw, wyrastający mu na głowie sprawiał, że wydawał się wyższy. Ciało, z kształtu podobne do ludzkiego, pokrywały grube kościane płytki o stalowobłękitnej barwie. Miał beznosą twarz o okrągłych rybich oczach i bardzo szerokie usta. Dłonie i wielkie stopy z palcami połączonymi błoną były uzbrojone w długie, wystające pazury. Podobne szpony wyrastały po zewnętrznej stronie nadgarstków i na łokciach.

JeanPaul w pierwszej chwili chciał się rzucić do ucieczki, ale pomyślał, że musi to być jeden z wodnych ludzi, o których Ayla tak się niepokoiła. A ponieważ nie chciał go odstraszyć i zepsuć w ten sposób wszystkiego, podniósł rękę w geście pokoju, miał nadzieję, powszechnie zrozumiałym. Okrągłe oczy wpatrywały się w niego bez wyrazu. Stwór nie zrobił najmniejszego ruchu. JeanPaul zastanawiał się właśnie, czy nie podejść bliżej, kiedy nagle ktoś gwałtownie odepchnął go na bok...

Był to Kell. Mknął przez wodę jak pocisk, szybko poruszając płetwami, prosto na wodnego stwora. Na oczach zdumionego JeanPaula wystrzelił ze swojego miotacza. Włócznia z ogromną siłą uderzyła w sam środek klatki piersiowej, nie zdołała jednak przebić grubego pancerza i odbiła się nie czyniąc mu szkody.

Kell właśnie się odwracał, prawdopodobnie po to, żeby się znaleźć poza zasięgiem stwora, kiedy ten nagle wykonał serię błyskawicznych ruchów. Były tak szybkie, że JeanPaul nie wiedział, co się stało, dopóki nie zobaczył jak Kell bezwładnie osuwa się na bok, kopiąc nogami w drgawkach, z chmurą czarnych sznurów wypływających z brzucha. Ciało wolno obróciło się w wodzie i JeanPaul zobaczył, czym są sznury i skąd się wzięły. Kell został dosłownie wypatroszony. Poszarpana rana przecinała brzuch na pół.

Zanim zdołał odczuć całą grozę tego, co zobaczył, stwór natarł na niego. JeanPaul dźgnął na ślepo ogłuszaczem. Przez rękę przebiegło mu drżenie, równocześnie usłyszał stłumiony wybuch. Wykonując rozpaczliwe ruchy, rzucił się w tył, próbując coś dostrzec przez chmurę drobnych pęcherzyków, przesłaniających wszystko. W każdej chwili spodziewał się poczuć, jak pazury stwora przeorują się przez jego skafander i rozrywają ciało. Mimo że wykorzystał jedyny nabój, nadal trzymał ogłuszacz przed sobą, jakby do obrony. Miał co prawda nóż przywiązany do łydki, ale wobec szponów stwora był on zupełnie bezużyteczny...

Zapominając o ustniku próbował krzyknąć, kiedy poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Była to Ayla. Pomogła mu odpłynąć dalej. Za jej przykładem starał się wykonywać spokojne i skoordynowane ruchy, od razu zaczął posuwać się szybciej. Spojrzał w tył, na obłok banieczek powietrza i zobaczył, jak w jego centrum coś rzuca się w drgawkach. Ogłuszacz zadziałał; stwór był martwy.

Droga powrotna wydała mu się bardzo długa. Nerwowo rozglądał się na boki, w każdej chwili spodziewając się zobaczyć, jak kolejny potwór wynurza się z otaczającej mgły. Dotarli

jednak do łodzi bez dalszych przygód. Ayla dała znak, żeby pierwszy wszedł do środka. Nie kazał sobie tego powtarzać dwa razy. Rzucił ostatnie spojrzenie w stronę skały i wsunął się do wnętrza uderzając butlami z tlenem o brzeg włazu. Ayla dołączyła do niego ledwie dotknął stopami dna komory. Zamknęła klapę i przesunęła jakąś dźwignię. Woda zaczęła natychmiast opadać.

Zanim sięgnęła mu do pasa, JeanPaul poczuł nieprzyjemny ucisk w uszach, ale nie zwrócił na to uwagi, zaprzątnięty myślą o tym, co spotkało Kella. Zaledwie Ayla zdołała ściągnąć maskę i aparat oddechowy, chwycił ją za ramiona, krzycząc: — Co się stało?! Dlaczego Kell go zaatakował? Przecież mówiłaś, że nam nie zrobią krzywdy!

Ayla drżała niepowstrzymanie, łzy płynęły jej po twarzy. Z początku nie była w stanie powiedzieć ani słowa, dopiero po chwili wyjąkała, dławiąc się od płaczu: — To... nie był... żaden z naszych... Zbyt duży... inne ubarwienie... Nasi... mieli ciała w pasy. Kell... on... zobaczył... – nie mogła mówić dalej. JeanPaul tulił ją do siebie, próbując jakoś pocieszyć. Dopiero teraz zaświtało mu, co się naprawdę stało. Kell poświęcił własne życie, żeby go uratować.

— Chodź, musimy stąd odpłynąć, zanim przybędzie ich więcej. Otwórz właz do przedniej komory.

Pokręciła głową.

— Nie mogę – odparła przez zatkany nos. – Trzeba poczekać, aż ciśnienie spadnie do normalnego, do jednej atmosfery. Nie da się tego przyspieszyć, bo inaczej dostalibyśmy choroby kesonowej. – Jak długo to potrwa?

— Piętnaście, dwadzieścia minut.

— Wspaniale – mruknął.

Nagle usłyszeli głośnie uderzenie w kadłub. Ayla spojrzała na JeanPaula z szaleńczą nadzieją w oczach.

— Kell! To na pewno Kell! Nie zginął, jest ranny! Chce wejść! – To niemożliwe – odparł stanowczo. Ciągle miał przed oczami potworną ranę przecinającą jego ciało, blade wnętrzości wylewające się na zewnątrz w chmurze czarnej krwi.

— Na pewno on! – wysunęła się z jego objęć i chwyciła ustnik.

— Co robisz? – spytał ostro.

— Muszę wyjść na zewnątrz. Kell potrzebuje pomocy. Jest ranny!

Chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

— Aylo, posłuchaj. To nie może być Kell. On nie żyje.

Szarpnęła się w jego uścisku.

— Nieprawda! Puść mnie! Muszę mu pomóc! Ty możesz zostać...

Rozległo się kolejne uderzenie, głośniejsze, któremu towarzyszył odgłos rozdzierania. Łódź zakołysała się, Ayla przestała mu się wyrywać i spojrzała w oczy.

— To na pewno nie Kell – powtórzył JeanPaul. – Tylko tamten stwór. Albo jeden z jego towarzyszy.

Skinęła głową.

— Masz rację – potwierdziła cicho.

Jeszcze jedno uderzenie i chrzęst.

— Brzmi całkiem jakby to coś próbowało przegryźć się do nas – powiedział tonem, który miał zabrzmieć niefrasobliwie, ale mu się nie udało. Przypomniwał sobie potężne szczęki stwora, którego spotkał. – To tylko zewnętrzne poszycie – powiedziała Ayla. – Jest z mało odpornego materiału. Nie ma mowy, żeby przedostały się przez wewnętrzną część kadłuba.

Statek zadrżał pod kolejnymi ciosami. Dziewczyna podeszła



bliżej i mocno się do niego przytuliła.

— Zdaje się, że sama w to za bardzo nie wierzysz – powiedział odwzajemniając uścisk.

— To nie dlatego. Tutaj jesteśmy bezpieczni, ale martwię się o zewnętrzne części; przewody z prądem, pędniki, płyty. Mogą całkowicie unieruchomić łódź.

— Rozumiem – powiedział wolno. – Mamy więc do wyboru: albo wyjść na zewnątrz w skafandrach i starać się wypłynąć na powierzchnię, albo zostać w łodzi i udusić się z braku powietrza. – Może do tego nie dojdzie. Jeśli nie wrócimy na czas, Juli zacznie alarm i wyślą drugą łódź na poszukiwania. – Ile to może potrwać?

— Co najmniej dwie godziny. – Zerknęła na ciśnieniomierz na ścianie kabiny. – Za dziesięć minut będziemy mogli przejść do kabiny sterowniczej.

Przez dziesięć długich minut stali przytuleni do siebie, podczas gdy łódź kołysała się coraz mocniej, czemu towarzyszyły przerażające odgłosy niszczenia dobiegające z zewnątrz. JeanPaul obawiał się, że kiedy wreszcie opuszczą komorę, z łodzi pozostaną tylko dwie metalowe kule.

W końcu Ayla oświadczyła, że ciśnienie wróciło do normy. Otworzyła właz i oboje precyzyjnie się do przedniej części. Usiadła w fotelu sternika i spojrzała na tablicę przyrządów. – Hm, ciągle jeszcze mamy zasilanie. To już coś.

JeanPaul ukląkł z tyłu i spojrzał jej przez ramię.

— Widzisz coś na zewnątrz?

— Jeszcze nie. – Przerzuciła szereg przełączników i JeanPaul usłyszał, jak zaczynają pracować silniki. Przesunęła dźwignię napełniania zbiorników. Łódź zaczęła się wznosić, przechylając się na jedną stronę. Równocześnie rozległy się kolejne potężne

uderzenia w kadłub, którym towarzyszyły dobrze znane odgłosy rozdzierania. – Ach, te nerwy – mruknął JeanPaul.

— Rozwalili któryś ze zbiorników – powiedziała Ayla. – Z tyłu. Całe szczęście, że tylko jeden.

— Wszystko przed nimi – JeanPaul wyglądał przez iluminator. – Nie mógł dostrzec zbyt wiele; pracujące na pełnych obrotach silniki wzbijały tumany piasku. Ale zauważył coś, co bardzo mu się nie spodobało: przyciśniętą do szyby twarz. Przypominała oblicze potwora, którego widział wcześniej, ale znajdowała się o wiele bliżej. – Jezu! – wykrzyknął.

— O, kurczę, wygląda na to, że jest ich więcej – skomentowała Ayla, kiedy rozległy się dalsze uderzenia. – Pewnie zwabiły je drgania wody, kiedy zabiłeś tamtego.

Stwór, czepiając się dziobu, próbował pięścią wybić szybę iluminatora. Wpatrywał się w nich oczyma bez wyrazu. JeanPaul zastanawiał się, jak długo szkło wytrzyma.

Milo otworzył drzwi kluczem i odsunął je. Ku jego rozczarowaniu Shan nie próbował żadnych sztuczek: ciosów krzesłem, pułapek... niczego. Zamiast tego leżał po prostu na łóżku, z rękoma założonymi pod głowę. Nawet nie wyglądał na rozgniewanego. Wydawał się raczej znudzony. Niewątpliwie była to tylko poza, ale i tak zirytowała Milo. Od rana zresztą miał zły nastrój. – Zupełnie to do ciebie niepodobne, Minerviańczyku – powiedział kwaśno. – Tak szybko się poddałeś?

Shan spojrzał na niego.

— Nie dam się wciągnąć w twoją grę, Milo.

— Doprawdy? Nie wierzę... – Milo pokręcił głową. – To ja decyduję, kiedy gra się kończy, nie ty.

— Jak sobie życzysz – Shan powrócił do kontemplacji sufitu. Milo podszedł do łóżka i spojrzał na niego z góry. – Może złamię

ci rękę? Po prostu, żeby się rozerwać.

— Nie mogę cię powstrzymać.

— Taak. Ale to byłoby dość nudne. Może złamanie ręki Tyrze byłoby bardziej podniecające...

Podejrzewał, że to wywoła reakcję i nie pomylił się. Shan nagle odwrócił się do niego, z oczyma zwężonymi gniewem. Nie odezwał się jednak ani słowem.

— Nie interesuje cię stan jej zdrowia? – ciągnął Milo. – Bądź co bądź, od mojej ostatniej wizyty minęły trzy dni. W tym czasie mogło się zdarzyć wszystko. Wiesz, jaki jestem.

Shan nie zdołał się opanować.

— Jak... Co z Tyra?

Milo uśmiechnął się.

— Och, jak zwykle. Parę świeżych zadrapań i siniaków, ale nic poważnego.

Z satysfakcją odnotował mimowolny grymas na twarzy Shana. – I zdecydowanie zrobiła się lepsza w łóżku. Żeby mnie zabawić, wymyśla coraz to nowe sztuczki. Pewnie myśli, że jeśli będzie spełniać moje zachcianki, uniknie, hm, kar cielesnych. Pozwalam jej trwać w tym złudzeniu... na razie.

Na twarzy Shana malowała się teraz czysta nienawiść. – Nie waż się jej tknąć, ty plugawy draniu – warknął – bo cię zamorduję! Nie wiem kiedy, nie wiem jak, ale to zrobię. – To mi się podoba! – odparł Milo z aprobatą. – Już się zaczynałem obawiać, że robisz się nudny.

Shan zerwał się z posłania i chwycił go za gardło. Milo roześmiał się, bez wysiłku rozwarł uchwyt i uderzył go w usta. Shan upadł na łóżko, krew płynęła mu z rozciętej wargi.

— Kto to widział, żeby minerviański mężczyzna się tak zachowywał? – zadrwił Milo. Świetnie się bawił; czuł, jak jego

wcześniejszy zły nastrój zaczyna się rozwiewać.

Znowu ten przeklęty sen. Śniła mu się Miranda, żeński klon, który sam stworzył, i ich ostatnia wspólna noc w posiadłości, wtedy, wiele lat temu. Milo wiedział, że rozpoczęły się zamieszki i kazał się jej przygotować do pośpiesznej ucieczki. Zdumiało go, że Miranda nie chce mu towarzyszyć. I wtedy wszystko wyszło na jaw, jej prawdziwe uczucia...

— ...nie widzisz, czym się stałeś. Ludzka osobowość jest produktem nieskończenie złożonych i subtelnych procesów biologicznych, i minie jeszcze wiele czasu, zanim nauka je pozna. Nie można wyrwać niektórych elementów z systemu, tak jak to zrobili inżynierowie genetycy w twoim wypadku, nie niszcząc czegoś niezwykle istotnego... Tak, właśnie tak. W pewnym sensie zabiłeś siebie. Śmieszne, prawda? Co za ironia. Poświęciłeś tyle pieniędzy i wysiłku, żeby się stać nadczołowiekiem, i w ten sposób popełniłeś coś w rodzaju samobójstwa. Chodzisz sobie i myślisz, że jesteś nieśmiertelny, a tymczasem w środku umarłeś i robaki zżerają twoją duszę. Sen był niezwykle realny. Każdy szczegół rysował się z ogromną dokładnością, jakby stulecia, które dzieliły go od tamtej nocy, nagle się rozwiały. Miranda, ubrana w męski smoking, stała przed nim z twarzą ściągniętą od gniewu i pogardy. To właśnie pogarda, jaka zabrzmiała w jej ostatnich słowach, dotknęła go najbardziej. Próbował ją przekonać, żeby zmieniła zdanie i jednak z nim uciekła. – Nie, Milo. Nie zniosę twojej obecności ani chwili dłużej. Nie chodzi tylko o twoją osobowość, ale i twój wygląd fizyczny. Te wszystkie „ulepszenia” zmieniły cię w jakiś bardzo subtelny sposób. Nie kłamię, kiedy mówię, że czuję do ciebie odrazę. Czuje ją każda twoja komórka w moim ciele.

Tak, te słowa przypieczętowały jej los. Uszkodził jej flipper, a

potem obserwował z bezpiecznej odległości, jak tłum rozdziera ją na strzępy na lądowisku.

Uśmiechnął się do oszołomionego Shana. Może by mu jednak złamać rękę...

— Milo...

— Nie teraz, Ashley, jestem zajęty.

— Ale to ważne. Znaleźliśmy Shangri La.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ayla cofnęła ile się dało przegubowy chwytak, przekręciła go i zatrzasnęła wokół ramienia stwora. Szczęki weszły głęboko w ciało, stwór zareagował zgodnie z jej przewidywaniami: puścił dziób łodzi i próbował się wyrwać z uchwytu. Był bardzo silny i prawie mu się udało. Ayla wyprostowała ramię na całą długość i uruchomiła drugie, zaopatrzone w spawarkę. W parę chwil było po wszystkim. Wypuściła z uchwytu martwe ciało i patrzyła, jak wolno opada na dno. Łódź natychmiast zaczęła się podnosić, ale odgłosy rozdierania wskazywały, że inne stwory nie dały za wygraną. – Patrz! – wskazał JeanPaul nad jej ramieniem. – Następne! Nad rafą zobaczył co najmniej tuzin stworów. Ayla zawróciła łódź i włączyła pełną moc.

— Skąd oni się, do cholery, wzięli?

— Nie wiem... To genetycznie stworzeni wodni ludzie, tacy jak Tygrys, tylko innej odmiany, albo wyprodukowani przez inną korporację. A może sami zmutowali. To przed nimi próbował mnie ostrzec Tygrys, to od nich miał te blizny. Zaatakowali jego terytorium. Może pochodzą z głębszych obszarów. Dlatego była mu potrzebna broń... A ja go zawiodłam.

— Przecież nie mogłaś o tym wiedzieć.

— Ale wiedziałam, że stało się coś bardzo złego. Powinnam była przekonać tatę i Lyle'a. I Kell by nie zginął... Właśnie miał powiedzieć, żeby się za to nie obwiniała, kiedy z góry dobiegła ich seria okropnych zgrzytów. – W dalszym ciągu mamy towarzystwo – mruknął, kiedy dźwięki ucichły. – Jak sądzisz, uda

się nam?

— To zależy, jakich szkód narobi nasz pasażer. Ciągłe jeszcze jest zasilanie, ale jeśli dobierze się do przewodów, które biegną do akumulatora, będziemy ugotowani.

Znowu rozległy się wściekłe uderzenia w kadłub i JeanPaul poczuł, że łódź się przechyliła. Ayla zerknęła na tablicę przyrządów. – Przebili drugi zbiornik. Nie zdołamy utrzymać ujemnej wyporności. Będę musiała przełączyć na napęd gąsienicowy. Łódź ponownie dotknęła dna. Chwilę później wolno ruszyli do przodu.

— Zeżre całą moc, ale nie mamy wyboru.

— Jak daleko do zewnętrznego ogrodzenia? – spytał JeanPaul.

Przerzuciła jakiś przełącznik. Kabinę wypełniło głośne buczenie.

— To transponder u wrót. Prosto przed nami. Niecałe sto metrów.

— A co zrobimy, jak tam dotrzemy?

— Nie rozumiem. Przejedziemy przez nie, oczywiście. – Tak, ale co będzie z naszym przyjacielem z góry? I tymi, którzy za nami płyną? Pewnie nas już doganiają.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego.

— Masz rację. Zupełnie o tym nie pomyślałam.

— To zrozumiałe. Ja też nie jestem w najlepszej formie. No więc, co zrobimy?

— Daj mi pomyśleć.

— Proszę bardzo.

Zamajaczyło przed nimi zewnętrzne ogrodzenie. Ayla podjechała pod same wrota i wyłączyła zasilanie. Usłyszeli, jak nad ich głowami coś się przesuwają; pasażer na gapę wciąż tam był. Oboje wpatrywali się w masywne wrota, zbudowane

podobnie jak całe ogrodzenie z solidnej stalowej siatki i grubych kłód drzewa. – I jak tam, wpadłaś na jakiś genialny pomysł?

— Nie nazwałabym go genialnym, ale lepsze to niż nic. – Umieram z ciekawości – powiedział i natychmiast pożałował doboru słów.

Wzięła głęboki oddech.

— Nieraz wcześniej widziałeś, że mechanizm wrót reaguje automatycznie na sygnał wysłany z łodzi. Pokażę ci, jak się go obsługuje. Podniesiesz wrota na metr, nie więcej, żebym ja się mogła precyzyjnie przycisnąć, ale nie stworzy. Oczywiście, nie będę mogła zabrać aparatu tlenowego. Jak ci się podoba ten plan?

— Chyba miałaś rację. Raczej mało błyskotliwy. Prawdę mówiąc, zupełnie obłąkany.

— Słuchaj, nie mamy innego wyjścia. Ani zbyt wiele czasu.

Ze zgrozą uświadomił sobie, że to prawda.

— Wobec tego ja pójdę – powiedział i zaraz zaczął tego żałować. – Nie bądź śmieszny. Jesteś zbyt duży, zbyt powolny i pływasz jak kamień. Nigdy by ci się nie udało dotrzeć do brzegu. – Chyba nie – przyznał z ulgą. – Ale jak sobie poradzisz z tym stworem na zewnątrz? I z jego przyjaciółmi, którzy też tu już z pewnością dotarli?

— W szafce jest jeszcze jeden ogłuszacz – skinęła głową.

— Tylko jeden?

— Wystarczy. Element zaskoczenia i tak dalej. – Wstała z fotela i kazała mu zająć miejsce za pulpitem. Kiedy wymijali się w ciasnej kabinie, objął ją i przytulił do siebie. Poczuli, że lekko drży. – Weź cholernie głęboki wdech i płyn najszybciej, jak się da – powiedział.

— Dobrze – odparła. – A teraz siadaj, pokażę ci jak się otwiera wrota.



— I na koniec jeszcze jedna sprawa – zaczął, kiedy mu wyjaśniła. – Co będzie ze mną? Czy twój plan daje mi jakieś szansę na przeżycie?

— Tak, głuptasie. Będziesz tu sobie spokojnie czekał, aż wrócę z posiłkami. Masz mnóstwo powietrza. A teraz muszę już iść. Pocałowała go szybko i ruszyła do służby. Pokrywa włazu została zatrzaśnięta i zabezpieczona od drugiej strony; chwilę później JeanPaul usłyszał szum wody wlewającej się do wnętrza. Na myśl o tym, co zamierza zrobić Ayla, poczuł lekkie mdłości. Z natężeniem wpatrywał się we wrota, z palcem na przycisku służącym do ich otwierania. Nie może sobie pozwolić na błąd. Jeśli podniesie je za bardzo, będzie to równoznaczne ze skazaniem Ayli na śmierć, jeśli za mało – skutek będzie taki sam. Czekał w napięciu na sygnał oznaczający, że komora jest pełna i dziewczyna zamierza wyjść na zewnątrz.

Usłyszał uderzenie w ścianę komory. Nacisnął guzik. Z początku wydawało się, że nic się nie dzieje, jednak po chwili wielkie wrota drgnęły i zaczęły się wolno podnosić, poruszane przez system przeciwwag po drugiej stronie i silnik elektryczny dużej mocy. Z zewnątrz dobiegł go odgłos wybuchu, komora nurkowa zadzwięczała jak dzwon. Wystrzał z ogłuszacza? Miał nadzieję, że tak. Ale gdzie, u diabła, jest w takim razie Ayla? Wpatrywał się w otwierające się powoli wrota. Jak duża jest już szczelina? Trzydzieści centymetrów? Czterdzieści pięć? Trudno powiedzieć...

Mignęła mu Ayla, mknąca szybko jak strzała. Nie była sama. Jeden ze stworów prawie ją doganiał. I jeszcze jeden, z boku. Boże! Szybciej, szybciej! Uświadomił sobie, że wrota wciąż się podnoszą. Zdjął palec z guzika i włączył „stop”. Ayla dotarła do wrót i zaczęła się przeciskać pod nimi. W szalonym napięciu

zastanawiał się, czy starczy jej miejsca. Zniknęła pod wrotami, widoczne były tylko nogi. Ale teraz stwór, znajdujący się najbliżej, niemal jej dosięgnął... ciemny szpon smagnął odkrytą nogę, próbując pochwycić ją za kostkę.

Nie udało mu się, ale zostawił na łydce Ayli długą rysę. JeanPaul skrzywił się, widząc jak z rany zaczyna płynąć krew. Postać dziewczyny zniknęła. Udało się! Ale pierwszy ze stworów już podążał za nią... „Chryste!”, pomyślał JeanPaul, „za wysoko podniosłem!”. Nacisnął guzik, by opuścić wrota. I znów, w pierwszej chwili wydawało się, że nie drgnęły i stworowi uda się przedostać na drugą stronę. Drugi szedł w jego ślady. W końcu masywne wrota opadły, unieruchamiając oba. Ogromny ciężar wgniótł je w piasek i wielki obłok czarnej krwi uniósł się w wodzie, ku uldze JeanPaula przesłaniając widok.

Odetchnął głęboko i wyciągnął się w fotelu, pozwalając częściowo opaść napięciu. W dalszym ciągu martwił się o Aylę. Rana wyglądała na niebezpieczną. Może stracić wiele krwi. Czy starczy jej sił, żeby dotrzeć do brzegu? Ma przed sobą długą drogę... Jan zareagowała zdumieniem, kiedy Davin nagle zmaterializował się w jej sypialni. Odłożyła książkę, którą właśnie czytała. – Ależ proszę, wejdz – powiedziała ze złością. – Nie zwracaj sobie głowy pukaniem.

— Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

— Tak? A co chciałeś zrobić?

Udał, że nie słyszy pytania.

— Mam wiadomość, która cię może zainteresować.

— Tak? Jaką? – zapytała podejrzliwie.

— Twój, i nasi, wrogowie odkryli osiedle.

Wyprostowała się.

— Milo... i Ashley?

— Jeśli się nie myliłaś. Sterowiec znajduje się dokładnie nad nami. Prawdopodobnie to oni są na pokładzie. Nasze czujniki pokazują, że próbują się przebić przez lodowiec za pomocą laserów. Kierują promienie przez układ obciążonych światłowodów, opuszczanych w miarę, jak lód się topi. Pomysłowy sposób. Równie dobrze będzie działać pod wodą. Kiedy przebiją się przez lód, opuszczą je aż do ściany bazy. Niewątpliwie będą grozić, że nas zniszczą, jeśli się nie poddamy. Spokój, z jakim Davin powiedział to wszystko, doprowadził Jan do furii.

— Więc co macie zamiar zrobić w sprawie tego pomysłowego systemu? – spytała, pełna goryczy. – Bić brawo, kiedy będziemy się smażyć?

— Nie dojdzie do tego.

— Co za ulga to słyszeć. Co zrobicie? Przeniesiecie osiedle w inne miejsce?

— Nie.

— Zniszczycie Anioła Niebios z pomocą *Maskotki*? Albo jakiejś innej broni?

— Nie. Mamy zamiar negocjować z tym Milem i Ashley. – Negocjować? – wykrzyknęła zdumiona. – Nie można negocjować z Milem. Ani z Ashley. Mówiłam ci, jest obłąkana. Chyba też zwariowałaś, skoro chcesz tego próbować.

— Tak czy inaczej, zrobimy to. I chcemy, żebyś została naszą przedstawicielką. Polecisz *Maskotkę* na pokład sterowca i w naszym imieniu będziesz prowadzić rozmowy z Milem i Ashley. – Ja? – zapytała oszołomiona.

— Tak, ty.

Minęło już prawie półtorej godziny, odkąd Ayla odpłynęła. Godzinę temu musiała dotrzeć do brzegu, nawet mimo zranionej

nogi. Ratunek był już pewnie w drodze. JeanPaul starał się nie dopuszczać do siebie myśli, że mogło się jej nie udać. Próbował zignorować stwora, który zawzięcie walił w jeden z iluminatorów ostrym kawałkiem skały koralowej. Szkło wytrzymało jak dotąd, pokryło się tylko siateczką zadrapań. Starał się go odstraszyć za pomocą chwytaka, ale bez skutku; brakowało mu wprawy Ayli. Jakiś czas trzymał go na dystans używając spawarki, jednak akumulator nagle się wyczerpał. Siedział teraz w ciemnościach, rozjaśnianych jedynie przez lampki na tablicy kontrolnej i słabe światło, wpadające przez iluminatory.

Pozostałe stwory kontynuowały atak na łódź. Sądząc po odgłosach, też używały odłamków koralu albo skały, żeby skutecznie swoje wysiłki. Już dawno porzuciły próby podniesienia wrót własnymi siłami. JeanPaul nie był pewien, ile znajdowało się w okolicy, ale sądząc po tych, które dostrzegł przez iluminatory, przemykające tam i z powrotem, musiało ich być całkiem sporo. Dwadzieścia, może trzydzieści.

Coś pacnęło go w twarz.

Zamrugał i spojrzał w górę. Była to woda.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

*Maskotka* wynurzyła się z doku w ścianie wielkiej metalowej kuli, w której mieściło się Shangri La, i nabierając prędkości pomknęła pod powierzchnią morza. Jan posłała Robinowi niespokojne spojrzenie. Wyglądał na niezadowolonego. Nie chciał lecieć, ale nalegała. Wiedziała, że wyprawa jest ryzykowna, nie zamierzała jednak pozwolić, żeby znowu ich rozdzielono. Zdumiało ją, kiedy Davin ochoczo zgodził się na żądanie, żeby Robin jej towarzyszył. – Nie bój się – powiedziała. – Zostaniesz na pokładzie, póki się nie upewnię, że jesteśmy bezpieczni. A jeśli wszystko skończy się źle i zostanę uwięziona, *Maskotka* zabierze cię z powrotem do bazy. – Nie, nie zostawię cię – powiedział bez przekonania. Mimo to doceniła gest.

Wyraźnie czuła, że ją wykorzystano. Ale Davin i ten drugi program, Phebus, argumentowały bardzo przekonująco. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, może uda się im na zawsze opuścić Shangri La. Jeżeli... jeżeli...

Kiedy Davin ją poprosił, żeby pertraktowała z Milem i Ashley, w pierwszej chwili odmówiła. Potem jednak wytłumaczył, że to tylko pretekst, a ich plany są zupełnie inne.

— Chcemy, żebyś coś zawiozła na pokład Anioła Niebios – oświadczył.

— Tylko mi nie mów, że to bomba – powiedziała i z zakłopotaniem przypomniała sobie ostatni raz, kiedy musiała przeszmuglować na sterowiec podobny ładunek i miejsce, gdzie go ukryła. – To nie bomba – zapewnił Davin.

W tym momencie do pokoju wszedł szurając pająk. W szcękach trzymał niewielki przedmiot, podobny do małego pistoletu. Jan zastanawiała się, jak długo stał pod drzwiami, czekając na wezwanie. Wzięła broń i krytycznie się jej przyjrzała.

— Chyba już wolałabym bombę – powiedziała na koniec.

— To jest o wiele bardziej skuteczne.

— Naprawdę? A czym jest naładowane?

— Mną – w pokoju obok Davina zmaterializowała się kobieta. Kolejny program, oczywiście, ale Jan nigdy dotąd nie widziała dwóch na raz. Nigdy też wcześniej nie spotkała tego właśnie. Projekcja przybrała postać skromnej młodej dziewczyny, ubranej w długą srebrzystoszarą suknię. Miała bardzo wystające kości policzkowe i włosy mocno ściągnięte w kok. Popatrzyła na Jan i przedstawiła się: – Jestem Phebus. Lecę z tobą na Anioła Niebios.

Jan spojrzała na nią, potem na pistolet, który trzymała w dłoni.

— W tym? – spytała, mając ochotę się roześmiać.

— W pewnym sensie.

— Mamy zamiar przeniknąć do systemu komputerowego sterowca – wyjaśnił Davin.

Jan potrząsnęła głową.

— Nie ma mowy, żeby Miło i Ashley dopuścili mnie w pobliże centralnego komputera w sterowni.

— Nie muszą – powiedział Davin. – Wystarczy, jeśli wystrzelisz w stronę jakiegokolwiek pająka. Dalej Phebus da sobie radę. – Strzelić do pająka? – spytała Jan ze zdziwieniem. Podejrzewała, że to jakiś nowy, zminiaturyzowany rodzaj software'u. – Ile razy mogę próbować?

— Tylko raz.

— Sama nie wiem – westchnęła. – Wygląda mi to bardzo

ryzykownie. Skąd możecie wiedzieć, że się wam uda? – Zaufaj nam – odparła Phebus.

Jan zaśmiała się sucho.

— Nie ma sprawy. Słuchajcie, w tym systemie będziecie mieć do czynienia nie tylko z Ashley, jest jeszcze Carl. Opowiadałam wam o nim. Jest podobny do was i równie inteligentny. – A myśmy ci mówili, że się ciągle rozwijamy. Carl jest przestarzały o całe stulecia. Phebus bez trudu sobie z nim poradzi. Jan ciągle nie była przekonana.

— Nie jestem pewna... Czy nie prościej by było użyć *Maskotki* i zniszczyć system laserowy, za którego pomocą topią lód? A potem zwyczajnie wysadzić sterownię razem z Ashley? – Nie. Nie chcemy uszkodzić Anioła Niebios. Będzie nam potrzebny.

— Potrzebny? – zapytała zdumiona. – A po co?

— Zdecydowaliśmy się iść za twoją radą.

— Jaką radą?

— Wykorzystamy materiał biologiczny, który zachował się na pokładzie sterowca, i postaramy się uratować to, co zostało z ludzkości. Tak, jak ty to robiłaś na swoją skromną skalę. Tylko że my skonstruujemy też organizmy, które pomogą pokonać zarazę. – Naprawdę to zrobicie? – spytała w przypiływie nagłej radości.

Szybko jednak wróciła jej dawna podejrzliwość. – Ale dlaczego? Nigdy nie chcieliście się mieszać do spraw świata na zewnątrz osiedla. Chodzi wam tylko o Ełojów. Tyle razy powtarzaliście mi, że ich ochrona jest waszym jedynym celem. Skąd ta nagła zmiana, hm... uczuć? Ten odkryty na nowo altruizm? – Możesz być spokojna, cała akcja jest zgodna z naszymi pierwotnymi celami. Altruizm nie ma tu nic do rzeczy. Wiesz, że nie jesteśmy do niego zdolni. Po prostu sytuacja się zmieniła. Doszły nowe czynniki – chłodno odpowiedziała

Phebus.

— Nie rozumiem.

— Cierpliwości. Wszystko ci później wyjaśnimy.

— Więc jak, zgadzasz się? – spytał Davin.

— Tak... tak, czemu nie?

Jeszcze raz przyjrzała się trzymanej w ręce broni. *Maskotka* podpłynęła do skraju lodowca, po czym skierowała się w górę. Wystrzeliła z wody, zatoczyła szeroki łuk i zawróciła nad powierzchnią lodu. Wkrótce osiągnęła maksymalną prędkość. Już po paru minutach obraz Anioła Niebios pojawił się na jej monitorach.

— Maskotko, nawiąż kontakt ze statkiem – poleciała Jan. – Z Ashley albo z Carlem. Powiedz im, że reprezentujemy bazę. Chcemy zawrzeć rozejm. Jeśli odwołają atak, damy im w zamian wszystko, co zechcą. Wylądujemy na ich kadłubie i zaczekamy na odpowiedź. Zrozumiałaś?

— Oczywiście.

Ogromny biały statek dotykał niemal powierzchni lodowca. Wielkie kłęby pary wodnej wydobywały się spod niego, gdy lasery coraz głębiej przebijały się przez lód. Widok sterowca wzbudził w Jan mieszane uczucia. Na pokładzie tego statku przeżyła najszcześniejsze chwile. Najpierw lata spędzone z synem, potem przybycie Robina. Ale doświadczyła też wielu cierpień. Śmierć Ceri, a potem Simona, kiedy Milo podporządkował sobie jego ciało... Kiedy zbliżyli się do Anioła Niebios, monitory nagle zgasły. *Maskotka* zadrżała.

— Jesteśmy pod ostrzałem laserowym – oświadczyła.

— Miła niespodzianka. Nadałaś wiadomość?

— Tak, na wszystkich częstotliwościach. Nie było odpowiedzi.

– Powtórz jeszcze raz, jak się z tym uporasz – rozkazała, potem



odwróciła się i ścisnęła Robina za rękę, żeby mu dodać odwagi. – Nie bój się. Jesteśmy całkowicie bezpieczni.

Był blady, ale uśmiechnął się z napięciem.

— Zapominasz, że już raz przez to przechodziłem. Tylko wtedy to ty do mnie strzelałaś – powiedział.

*Maskotka* nagle przechyliła się w tył, wgniatając ich w fotele. Monitory zapaliły się z powrotem. Jan zobaczyła, że mkną wzdłuż burty statku, tuż nad kadłubem. Ogień laserów ustał. – Zabawne, prawda? – zapytała Robina.

— Hm.

*Maskotka* przeleciała wzdłuż krzywizny kadłuba, skręciła i wylądowała z lekkim szarpnięciem w pobliżu jednego z włazów. – Nadal brak odpowiedzi – poinformowała.

— Nie przerywaj połączenia. Jedyne, co możemy zrobić, to czekać. Jestem pewna, że ktoś, albo coś, wkrótce się pojawi. Jan odpięła pasy i wyciągnęła pistolet z kieszeni. Był tak mały, że bez trudu mogła go ukryć w dłoni.

— Dlaczego cały czas mi się wydaje, że robię z siebie idiotkę?

Robin poklepał ją po ręce.

— Myślę, że jesteś bardzo odważna.

— Można to i tak nazwać – odparła i roześmiała się. Dokładnie w kwadrans później kłapa włazu odskoczyła i z wnętrza wyszedł mężczyzna. Milo. Towarzyszyły mu dwa pająki. Jan podziękowała w duchu Bogini Matce. Nie potrafiła przewidzieć, jak by się zachowała, gdyby przybył sam. Przyjrzała mu się uważnie. Z ulgą zauważyła, że nie zachował żadnych śladów podobieństwa do jej syna. Milo, obecnie zupełnie dorosły, wyglądał dokładnie tak samo, jak oryginał, który pamiętała z przeszłości. Wszyscy troje ruszyli w stronę *Maskotki*. Zatrzymali się w odległości trzech metrów. Milo miał na sobie czarny

kombinezon, który wydawał się zbyt cienki jak na temperaturę panującą na zewnątrz. Wyglądał na bardzo niezadowolonego. Widziała, jak jego usta się poruszają i zorientowała się, że coś krzyczy. Kazała *Maskotce*, przekazać jego słowa...

— ...tutaj. Więc się pokażcie, to zejdziemy na dół, żeby wspólnie serio porozmawiać.

— Otwórz właz – poleciła *Maskotce*. Podwójna klapa zaczęła się odsuwać. Jan już przeciskała się na zewnątrz, kiedy usłyszała za sobą jakieś poruszenie i zobaczyła, że Robin wybiera się w jej ślady. – Zostajesz tutaj – powiedziała rozzłoszczona. – Nie masz nawet odpowiedniego ubrania, nie mówiąc już o innych sprawach. Pokręcił głową.

— Nie ma mowy. Nie jestem inwalidą. No już, wychodź. Niechętnie wspięła się w górę i, z pistoletem ukrytym w dłoni, zeskoczyła na kadłub sterowca. Natychmiast poczuła, jak jej skafander przystosowuje się do zmiany temperatury.

Wyraz twarzy Mila, kiedy ten nagle ją rozpoznał, sprawił jej przewrotną przyjemność.

— Boże... to ty! – wykrzyknął.

— To Jan! – zawołał jeden z pajaków głosem Ashley, zauważając to, co dla wszystkich było oczywiste.

— Witaj, Milo – odparła Jan starając się, żeby jej głos nie zdradzał żadnych uczuć.

Widok Robina, wynurzającego się z *Maskotki*, również Mila zaskoczył, ale z typową dla siebie szybkością opanował zdumienie i uśmiechnął się z dobrze znanym Jan samozadowoleniem. – Patrzcie, patrzcie, Robin z Sherwood. Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów. Miło mi zobaczyć was oboje przy życiu i w dobrym zdrowiu. Szczególnie ciebie, Jan. Wstyd przyznać, ale nie dawałem wam zbyt wielkich szans,

kiedy Ashley wyrzuciła was ze statku. – Zawsze ta sama gadka, co, Milo? – spytała Jan. Zdawało się jej, że pistolet pali ją w dłoń.

— No właśnie, Milo, jakim cudem udało się im przeżyć? – włączyła się Ashley za pośrednictwem pająka. – I skąd wzięli się tutaj? – Mieliśmy szczęście – odpowiedziała Jan. Chciała jak najszybciej skończyć z tym wszystkim. Czuła, że stojący obok Robin trzęsie się z zimna.

Milo w zamyśleniu pogładził się po łysej czaszce i skinął głową. – Chyba już rozumiem. Kiedy *Maskotka* stąd wystartowała, wróciła, żeby cię zabrać. I jego. Jakieś urządzenie naprowadzające, które przeoczyłem?

— Tak, Milo, coś w tym rodzaju. A teraz bierzmy się do interesów.

— Właśnie – gorliwie przytaknęła Ashley. – Pomówmy o warunkach, na jakich się poddajecie, wy i pozostałe szczury z osiedla. Jan podeszła krok bliżej do pająka, z którego dochodził głos.

Rękę, w której ścisnęła broń, miała mokrą od potu. – Nie sądzę, żebyśmy się poddali. Jestem tutaj, żeby reprezentować Elojów i ich opiekunów, i dojść do porozumienia, które zadowolili obie strony.

— Albo zgodzą się dać mi nowe ciało, albo wszyscy zginą – oświadczyła Ashley.

— Co? – spytała Jan, zaskoczona. Spojrzała na Mila. Wzruszył lekko ramionami i wyjaśnił: – Powiedziałem Ashley, że na podstawie tego, czego dowiedzieliśmy się o biotechnologicznych cudach, w jakie wyposażone jest Shangri La, dostarczenie jej nowego ciała leży w zasięgu waszych możliwości. Nie myliłem się, prawda?

Jan błyskawicznie zrozumiała, o co mu chodzi, i skinęła głową.

— Prawda. Mogą zrobić wszystko.

— Tak? – spytały oba pająki równocześnie, głosami pełnymi nadziei.

— Tak – powtórzyła Jan, podchodząc jeszcze krok bliżej. – Mają tam zupełnie niesamowitą technologię. Popatrzcie tylko. Wyjęła pistolet i nacisnęła spust. Znajdowała się w odległości zaledwie metra od bliższego pająka. Nie mogła spudłować. Rozległ się syk, a potem na kulistym ciele pająka zobaczyli jasny błysk światła. I potem już nic... Z wyjątkiem Milo, który – szybciej niż byłby to w stanie zrobić jakikolwiek człowiek – rzucił się do Jan. Kantem jednej dłoni uderzając ją w bok, drugą wytrącił pistolet. Upadła, czerwona mgła bólu i zaskoczenia przesłoniła jej oczy. Kiedy znów mogła skupić wzrok, Milo stał nad nią i z wyrazem pogardy przyglądał się broni. Za nim, twarzą do ziemi leżał jęczący Robin. Milo zdążył się rozprawić również i z nim. – Ta sama dawna Jan – powiedział znużonym głosem. – Zawsze próbująca dokonać niemożliwego bez planów i bez odpowiedniego wyposażenia. Nie mam pojęcia, czego miałaś nadzieję dokonać za pomocą tej zabawki. Można z niej wystrzelić tylko raz, a pająk nie został nawet uszkodzony. Wstyd. A wiązałem z tobą wielkie nadzieje, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Myślałem, że z czasem staniesz się mnie godna.

— Przeoczyłeś... coś... Milo – wyjęczał Robin. – Pająki... pająki się nie ruszają.

— Jak to? – Milo się odwrócił. – Ashley! Ashley, co się stało? – Milo... pomocy... – odpowiedziała słabym głosem, dochodzącym jakby z daleka.

Milo podszedł do drugiego pająka, nie tego, do którego strzelała Jan. Kopnął go.

— Ashley! Przestań się wygłupiać!

Znowu odpowiedział mu słaby, odległy głos: – Milo... dziwnie się... czuję... nie mogę... myśleć normalnie... tracę... coś tu jest...

Milo odwrócił się do Jan, która próbowała stanąć na nogi, zagryzając wargi z bólu w boku. Była pewna, że złamał jej parę żeber. Chwycił ją i mocno potrząsnął.

— Co jej zrobiłaś, do cholery?! Powiedz mi, co zrobiłaś! – wrzasnął w furii.

— Nie wiem dokładnie. Tak czy inaczej, podziałało.

Pchnął ją na ziemię i znowu zwrócił się do pajaków.

— Ashley!

— Mamo... – odpowiedział słaby głos – Ja nie chcę umierać...

Mamo... pomóż mi...

— Nie jestem twoją cholerną matką, Ashley! – krzyknął wściekle i znów kopnął pajaka. – Carl! Jesteś tam? Powiedz mi, co się, u diabła, dzieje!

Kiedy Carl w końcu odpowiedział, jego głos, choć cichy, był równie rzeczowy jak zawsze.

— Obcy program... zaatakował system... bardzo złożony... nieznany mi... nie potrafię go zwalczyć... kasuje cały istniejący software... mnie też...

Powiedział jeszcze kilka słów, ale nie sposób ich było zrozumieć. Milo stał przez chwilę wpatrując się w znieruchomiałe pajaki, potem przeciągnął ręką po głowie i roześmiał się. – Cóż, spróbujmy spojrzeć na to od jasnej strony. Od lat próbowałem się pozbyć tej dziwki. Szkoda tylko Carla. Potrzebowałem go. Będę musiał zejść do sterowni, wyłączyć główny komputer i wyczyścić to świństwo, które wpakowaliście do systemu. Jak już z tym skończę, przejmuję dowództwo. A potem, Jan, utnę sobie z tobą i Robin Hoodem małą rozmówkę o tym waszym osiedlu... au! Spojrzał w dół, na swoją nogę. Jeden z

pająków owinął czulek wokół jego kostki.

— Ashley? – spytał niepewnie. – To ty?

Jan uśmiechnęła się do niego mimo bólu: – Przykro mi, Milo. Właśnie zostałeś zdjęty ze stanowiska. To my przejmujemy dowództwo.

— Niezupełnie – odezwał się jakiś obcy głos.

Jan odwróciła głowę i ze zdumieniem spostrzegła, że obok niej stoi Phebus.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Z którejkolwiek strony JeanPaul patrzył na swoją sytuację, dochodził do tego samego wniosku: był w poważnym kłopotcie. Szczelina w uszczelce iluminatora nie powiększała się, ale mimo to woda sięgała mu już do pasa. I ciągle jej przybywało. Na domiar złego cały sprzęt do nurkowania znajdował się w śluzie i został zatopiony. Zresztą nawet gdyby JeanPaul wiedział, w jaki sposób wypompować wodę, i tak nie mógłby tego zrobić, bo akumulatory łodzi się wyczerpały. Wcześniej czy później będzie zmuszony otworzyć właz, przejść do śluzy, po omacku odnaleźć któryś z aparatów do nurkowania i go włożyć. Nawet jeśli udałoby mu się tego dokonać, zanim się udusi z braku powietrza – a było to bardzo mało prawdopodobne – pozostawał problem: co dalej? Z powodu przeklętych stworów był uwięziony w łodzi jak w pułapce. Zaprzestały co prawda ataków, ale wiedział, że w dalszym ciągu czyhają na zewnątrz. Kiedy przed chwilą wyjrzał przez iluminator, zobaczył, że nadal próbują wyłamać wrota. Innym powodem, dla którego nie chciał otwierać włazu do śluzy, była obawa, że któryś może się czaić w środku, czekając na niego. Wątpił co prawda, czy stwór zdołałby się precyzyjnie przemieszczać przez właz, i właściwie niczego nie słyszał, ale nie mógł otrząsnąć się ze strachu. Zastanawiając się nad swoim położeniem doszedł jednak do wniosku, że jest to zupełnie zrozumiałe.

Niemal stracił już nadzieję na nadejście pomocy. Nawet jeśli Ayli udało się dotrzeć do brzegu – a było nie do pomyślenia, że nie – zanim oddział ratowniczy przybędzie i rozprawi się z tymi

potworami, dla niego może już być za późno.

Poziom wody z wolna się podnosił. Coś zaczęło łomotać w burtę łodzi. Przeklęte stwory wróciły! Dobrze chociaż, że maskę zabrał ze sobą do kabiny. Nałożył ją teraz, wziął głęboki oddech i zanurzył się pod wodę, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Miał nadzieję, że w iluminatorze nie zobaczy gęby któregoś z nich, wpatrzonej w siebie. Przycisnął maskę do szyby iluminatora i rozejrzał się wokół. Wrota w dalszym ciągu były zamknięte, ale nie dostrzegł ani śladu wodnych ludzi. Czyżby zrezygnowali i odpłynęli? Czy może czekali gdzieś, skryci przed jego wzrokiem, w nadziei, że wywabią go na zewnątrz?

Nagle usłyszał, że ktoś wchodzi do śluzy. Ciarki przebiegły mu po plecach. Wystawił głowę nad powierzchnię, nasłuchując. Drgnął, kiedy rozległo się walenie w pokrywę wjazdu. To Ayla, pomyślał, na pewno ona. Niemożliwe, żeby to był któryś ze stworów... Błyskawicznie podjął decyzję, wziął głęboki oddech i zaczął odkręcać koło na pokrywie. Ledwie się uchyliła, poziom wody w kabine sterowniczej gwałtownie się podniósł. JeanPaul poczuł ostry ból w uszach, kiedy uwięzione powietrze zostało ściśnięte przez napływającą wodę. Chwilę potem był już pod powierzchnią i uświadomił sobie mgliście, że widzi jakąś postać przeciskającą się przez wjazd. To nie była Ayla... tylko jeden ze stworów. Zamknął oczy, czekając na koniec.

Jednak ręka, która dotknęła jego ramienia, należała do kobiety. Otworzył oczy. Stała przed nim Ayla. Wyjęła ustnik swojego aparatu oddechowego i podała mu. Przyjął go z wdzięcznością, głęboko zaczerpnął powietrza, po czym zwrócił dziewczynie. Gestem wskazała, żeby poszedł za nią. W śluzie pomogła mu włożyć jego własny akwalung i razem opuścili łódź.

Wynurzywszy się z łodzi, JeanPaul ostrożnie rozejrzał się na



boki. Niemal natychmiast dostrzegł jednego stwora, unoszącego się nad dnem w odległości zaledwie paru metrów od nich. Stwór się nie poruszał. Nie żył. W okolicy kręciło się kilku nurków. Byli uzbrojeni w ogłuszacze, z pasów zwisały im zapasowe ładunki. Jeden niósł jakąś broń, której JeanPaul nie znał.

Ayla wskazała w górę, dając znać, że powinni wypłynąć na powierzchnię. Dwa razy zatrzymali się po drodze dla dekompresji, nim się w końcu wynurzyli w pobliżu ogrodzenia. Zwieszały się z niego sznurowe drabinki. JeanPaul z trudem wspinał się w górę i wdzięczny był, kiedy wyciągnęły się do niego pomocne dłonie. Odpiął pasy i, kompletnie wyczerpany, siadł na szczycie. Ktoś podał mu kubek gorącej zupy. Ayla usiadła obok.

— Jak się czujesz?

— Ledwo żyję, ale niewiele brakowało, żebym zginął. Dzięki za ratunek. Już myślałem, że nie dotarłaś do brzegu. Widziałem, jak jeden z nich rozciął ci nogę...

— Rana rzeczywiście wyglądała paskudnie. Bardzo krwawiła. Ale nie była zbyt głęboka, nawet nie trzeba było zakładać szwów, wystarczył bandaż. – Ayla dotknęła pożyczonego skafandra w miejscu, gdzie na łydce widać było wybrzuszenie.

— Dopłynęłam do brzegu w godzinę. Juli pomogła mi zawiadomić najlepszych nurków, wzięliśmy najszybsze łodzie i przypłynęliśmy tutaj.

Gestem wskazała obszar zamknięty wewnątrz ogrodzenia. JeanPaul odwrócił się i zobaczył kilka zacumowanych łodzi. – Jeszcze raz muszę ci podziękować. Mieliście dużo kłopotu ze stworami?

— Nie tak bardzo. Zaszliśmy ich od tyłu i wzięli przez zaskoczenie. Dziewięć zabiliśmy, reszta uciekła.

Pozostali nurkowie wynurzali się i wspinali na górę. JeanPaula

zdumiało, że był wśród nich Lon Haddon. To on miał ze sobą ową dziwną broń. JeanPaul przyglądał się jej ciekawie, kiedy Lon sadził się obok nich.

— Widzę, że nadal jesteś w jednym kawałku – powiedział. – To zasługa Ayli. I twoja. Zdaje się, że już zawsze będę miał dług wdzięczności wobec waszej rodziny.

— Cóż, jeśli chodzi o mnie, masz okazję go spłacić opiekując się Aylą, kiedy mnie już...

— Tato! – ostro krzyknęła dziewczyna.

Haddon umilkł. Żeby zmienić temat, JeanPaul wskazał na dziwne urządzenie i spytał, do czego służy.

— To właśnie dało nam nad nimi największą przewagę – wyjaśnił Haddon. – Laser, który może działać pod wodą. Normalnie fale elektromagnetyczne – na przykład świetlne albo radiowe – rozchodzą się w wodzie na niewielką odległość, ale to jest wyjątek. Promień tego lasera zmienia kolor i częstotliwość zależnie od głębokości wody. Najwyraźniej ma to związek z ilością światła słonecznego, jaka dociera na daną głębokość, ale nie wiem, jak to działa. JeanPaul wyciągnął rękę i Haddon podał mu urządzenie. Było ciężkie. Nigdy wcześniej nie widział przenośnego lasera. – Na powietrzu też działa?

— Nie, tylko w wodzie.

— Szkoda. Rozumiem, że nie wyprodukowaliście tego sami? – Nie, to Dawna Nauka – odparła Ayla. – Dostaliśmy od wodnych ludzi. Znaleźli go w swoim osiedlu. Jakie to dziwne, Tygrys prosił nas o broń, a sam dał nam idealny środek do walki z tymi stworami. Nie miał o tym pojęcia, oczywiście. Z początku my zresztą też. Technicy strasznie długo łamali sobie głowy, zanim któryś wpadł na pomysł, do czego może służyć.

JeanPaul oddał laser ojcu Ayli.

— Wiesz może, co to za stwory i skąd się wzięły? – spytał.  
Haddon pokręcił głową.

— Możemy jedynie przypuszczać. Prawdopodobnie żyły kiedyś o wiele głębiej w oceanie, podobnie jak nasi wodni ludzie. I tak jak oni, musiały się przenieść bliżej brzegu, kiedy warunki tam, w głębi, się pogorszyły.

— Jedno jest pewne – dodała Ayla. – Zamordowały Tygrysa i pozostałych. Ot, tak po prostu. – Westchnęła. – To wszystko zmienia się za szybko. O wiele za szybko.

Tej nocy JeanPaul tulił ją w ramionach, kiedy opłakiwała Kella. Ekipa ratownicza wyловиła jego szczątki później tego samego dnia.

Ciało było częściowo zjedzone.

— Kto to jest, do cholery? – domagał się odpowiedzi Milo.

Jan wolno się wyprostowała, patrząc na Phebus. To niemożliwe. Jakim cudem się tu znalazła?

— Ma na imię Phebus – odpowiedziała. – Jest programem komputerowym z Shangri La i nie powinno jej tutaj być. – Ale, jak widzisz, jestem – dodała Phebus.

— Jesteś hologramem – powiedziała Jan oskarżycielsko. – A tutaj nie ma odpowiedniego sprzętu projekcyjnego. – Dlaczego uważasz mnie za projekcję?

— A czym innym możesz być? Nie istniejesz naprawdę, poza komputerem.

— Więc chodź i sama zobacz. Ciekawe, co wtedy powiesz. Jan podeszła do niej. Ostrożnie wyciągnęła rękę. Kiedy dotknęła ramienia Phebus i napotkała żywe ciało, ze strachem cofnęła dłoń. – To niemożliwe!... Nie wierzę!... Ty jesteś naprawdę! – Nie, tylko tobie się tak wydaje. W rzeczywistości jestem halucynacją, której wy wszyscy doświadczacie. W każdej mikrosekundzie mój

obraz jest przesyłany bezpośrednio do odpowiednich ośrodków w waszych mózgach.

— Och – powiedziała Jan, uspokojona, że istnieje racjonalne wytłumaczenie, nawet jeśli ona nie jest w stanie go zrozumieć. – Ale co generuje te halucynacje?

— Statek. A teraz ja jestem statkiem. Przenikam cały system.

I równocześnie cały czas go zmieniam. Ulepszam. – Nie obchodzi mnie, jak poprzestawiasz meble ani czy wymalujesz ściany latryn w kropki – powiedział Milo ze złością. – Każ temu stworowi, żeby mnie puścił.

Phebus odwróciła się do niego.

— Wiem o tobie wszystko. Jesteś niebezpieczny i nie można ci ufać. Będziesz cały czas pod nadzorem.

Macka puściła kostkę Mila, ale natychmiast owinęła się wokół jego szyi.

— Hej! – krzyknął. Próbował ją oderwać, ale bez skutku. Spojrzał na Jan z wściekłością. – Czego im o mnie nakłamałaś? – Och, Milo – odparła z niesmakiem, pomagając się podnieść Robinowi. Młodzieniec był bardzo blady i drżał na całym ciele. Przyciskał rękę do brzucha. – Wszystko w porządku? – spytała Jan z niepokojem.

— Mhm. Po prostu trochę mnie zatkało.

Jan zwróciła się do Phebus: — Możemy już zejść na dół? Robin tu zamarznie. – Tak. Mamy wiele do zrobienia. Przede wszystkim musisz pomóc dwojgu ludziom, którzy znajdują się na pokładzie. Oboje są w bardzo złym stanie... dzięki temu tutaj. – Wskazała na Mila. – To jego specjalność – potwierdziła Jan.

— Kim jesteś? – spytała dziewczyna z lękiem.

Była bardzo wychudzona, pod wielkimi oczyma rysowały się cienie. Miała na sobie jedynie cienką krótką białą halkę, na której

Jan zauważyła plamki zaschniętej krwi.

— Mam na imię Jan. A ty?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Jan zasunęła drzwi i podeszła do niej. Tamta cofnęła się – Gdzie Milo?

— Nie obawiaj się. Już nigdy cię nie skrzywdzi. Powiesz mi teraz, jak się nazywasz?

Dziewczyna nadal odsuwała się od niej ze strachem.

— To pułapka. Kolejna sztuczka Mila. Robisz to dla niego.

Jan zatrzymała się.

— To nie żadna sztuczka. Nie jest moim przyjacielem. Wręcz przeciwnie. Pewnie mi nie uwierzysz, ale nienawidzę go nawet bardziej niż ty.

Dziewczyna stała teraz przyciśnięta do ściany. – Zrobił mi krzywdę. Cały czas znęca się nade mną – powiedziała łamiącym się głosem.

— Wiem, wiem wszystko – łagodnie odparła Jan. – Ale obiecuję ci, że nie zrobi tego już nigdy więcej. Wszystko się zmieniło. Nie ma już Ashley, a Milo...

— Nie żyje? – z nadzieją spytała dziewczyna.

— Niestety, nie. Ale został uwięziony. Na zawsze. – Nie będę bezpieczna, dopóki on nie umrze – powiedziała. Łzy płynęły jej po twarzy.

— Wiem, co teraz czujesz, ale uwierz mi, jesteś bezpieczna. Masz na to moje słowo.

Wyciągnęła do niej rękę. Po krótkim wahaniu, dziewczyna podbiegła do niej. Kiedy Jan ją przytuliła, wybuchnęła płaczem. Długo nie mogła się uspokoić.

— Powiesz mi teraz swoje imię? – łagodnie spytała Jan.

— Tyra.

Jan odryglowała ciężkie, metalowe drzwi, odsunęła je i weszła

do środka.

— Witaj, Shan – powiedziała.

Leżał na brudnej pryczy. Na dźwięk jej głosu szybko się podniósł.

— Pani? Nie rozumiem... Mówili, że pani umarła!

— Nie całkiem.

Wstał z łóżka i podszedł bliżej, z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— Jan... Pani... to ty! Ale jak...?

— Później dokładnie ci wszystko opowiem. Najważniejsze, że jesteś wolny. Milo i Ashley już tu nie rządzą.

Na wzmiankę o Milu wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Aż do tej chwili, mimo siniaków i opuchniętych warg, przypominał dawnego Shana, którego znała od lat. Teraz patrzyła na kogoś obcego. Zmroziła ją nienawiść, malująca się w jego oczach. Nie chciało się wierzyć, że ma przed sobą minerviańskiego mężczyznę. – Gdzie jest Milo? Zabiję go.

— Uspokój się. Chętnych jest więcej. Zapewniam cię, że już nigdy nikomu nie będzie szkodził.

— Gdzie Tyra? Co on jej zrobił?

Jan odwróciła się do wejścia.

— Możesz już wejść – zawołała.

Tyra stanęła w drzwiach. Przez dłuższą chwilę ona i Shan patrzyli na siebie bez słowa, potem rzucili się sobie w ramiona. Jan spojrzała na nich z zadowoleniem i cicho wyszła z pokoju. Kiedy znalazła się na korytarzu, zawołała: — Phebus?

Poważna „młoda kobieta” pojawiła się przed nią.

— Tak?

— Tych dwoje na razie ma się dobrze, ale przeżyli poważny uraz emocjonalny. Wyleczenie tego musi potrwać, o ile w ogóle

się uda.

— Zajmę się tym.

Jan podniosła brew.

— Doprawdy? W jaki sposób?

— Nie kłopotcz się o to teraz. Chcę, żebyś zeszła do sterowni.

— W porządku – zgodziła się Jan. – Ale po drodze muszę wpaść do Robina.

— Proszę bardzo.

— Najuprzejmiej dziękuję.

Ulokowali się w dawnej kwaterze Jan. Z ulgą zauważyła, że Robin czuje się teraz lepiej. Szczerze mówiąc, nie wyglądał tak dobrze przez cały czas pobytu w Shangri La. Zabranie go z bazy było najwyraźniej dobrym pomysłem. Pocałowała go i powiedziała: — Niedługo wrócę. Królowa Śniegu kazała mi iść do sterowni. Nie pytaj, dlaczego.

Odwzajemnił pocałunek, czym ją zupełnie zaskoczył.

— To wspaniale, nie sądzisz? Wszystko poszło zgodnie z planem i Phebus dowodzi teraz statkiem...

— No właśnie – przytaknęła kwaśno Jan.

Popatrzył na nią.

— O co chodzi?

— Nic na to nie poradzę, ale ciągle jej nie ufam.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jan, zafascynowana, wpatrywała się w lodową płaszczyznę.

— Naprawdę macie zamiar to zrobić?

Phebus, stojąca obok niej w sterowni, potwierdziła: — Tak, muszę tylko zabrać potrzebne materiały z bazy, zanim rozpocznę naszą misję. Trzeba zbudować o wiele więcej pajaków i przystosować istniejący sprzęt, między innymi *Maskotkę*, do nowych zadań. Jan przyglądała się jej, dziwiąc się, jak bardzo wydaje się realna. Nie mogła się oprzeć pokusie: wyciągnęła rękę i palcem wskazującym dotknęła ramienia Phebus. Tak, w dalszym ciągu była rzeczywista. Phebus odwróciła głowę i spojrzała na nią chłodno. — Dlaczego to zrobiłaś?

— Ciągłe nie mogę się przyzwyczać. Nie chce mi się wierzyć, że jesteś wytworem mojej wyobraźni. Że istniejesz tylko w mojej głowie, a nie w rzeczywistym świecie.

— To, co odbierasz jako „rzeczywisty świat” też jest tylko wytworem twojego mózgu. Sposób, w jaki mnie postrzegasz, niewiele się od niego różni.

Jan zastanowiła się. Podejrzewała, że to prawda. W takim razie powinna traktować Phebus jak osobę z krwi i kości. Poczwała, że płoną jej policzki. Zabawne, nagle uświadomiła sobie, jak bardzo atrakcyjną kobietą jest Phebus. Co by się stało, gdyby...? Bogini Matko, pomyślała, na starość robię się perwersyjna... Odczuwać podniecenie na widok programu komputerowego!

— No to zaczynamy – powiedziała Phebus.



Jan znowu popatrzyła w dół. Znajdowały się dokładnie nad dziurą, którą Milo i Ashley wytopili w lodzie. Z dna ciągle jeszcze unosiły się opary, przesłaniając widok. Jan zobaczyła, jak ściany otworu drżą, usłyszała dudnienie. Brzegi zaczęły pękać, z dna podnosiły się wielkie kawały lodu, z grzmiącym hukiem staczały na boki i rozpadały na mniejsze fragmenty. Teraz już cały obszar wokół pękał i wyrzusał się. Rozpychany na boki lód jęczał i trzeszczał na znak protestu. Po chwili Jan zobaczyła wynurzający się spod niego wierzchołek osiedla. W miarę, jak coraz większa część kopulastego sklepienia stawała się widoczna, ogromne kęsy lodu pękały i ześlizgiwały się na boki. Osiedle wznosiło się nadal, póki nie ukazała się znaczna część jego szarej, metalowej powierzchni, potem zatrzymało się. Wyglądało jak wielki, ciemny ropień na powierzchni dziewiczego lodowca. Jan wiedziała, że Shangri La było niemałe, ale aż do tej pory nie uświadamiała sobie, jak wielkie. A przecież widoczna była tylko część ogromnego, kulistego kadłuba. Zrobiło to na niej duże wrażenie i lekko ją zaniepokoiło. W sklepieniu osiedla otwierała się kłapa, zobaczyła pająki wychodzące na zewnątrz. Z Anioła Niebios już opuszczał się wózek załadunkowy.

— Przygotowania powinny nam zająć około dwunastu godzin – powiedziała Phebus. – Potem możemy zaczynać.

— Zaczynać co? – chciała wiedzieć Jan.

— Będziemy musieli zebrać próbki tkanek wszystkich gatunków flory i fauny, które tworzą zarazę, żeby stworzyć biologiczne środki do jej zwalczania. Będiesz nam w tym bardzo pomocna. Dobrzeją poznałaś pod każdym względem. Zrobisz dla mnie katalog gatunków. Możesz również pomóc zbierając próbki na własną rękę. Mamy niewiele czasu.

Jan wzruszyła ramionami.

— Pewnie. Zrobię, ile tylko będę mogła.

— Dobrze. Możesz już odejść – odprawiła ją Phebus. Jan stała jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co by było, gdyby kopnęła Phebus w siedzenie, w końcu jednak zdecydowała, że lepiej byłoby kopnąć komputer. Opuściła sterownię nie zrobiwszy ani jednego, ani drugiego.

Idąc w stronę ładowni, gdzie przetrzymywany był Milo, uświadomiła sobie, jak żywy wydaje się teraz sterowiec. Za czasów Ashley i Carla nigdy nie miała takiego wrażenia. Ze wszystkich stron dochodziły najróżniejsze dźwięki. Uruchamiano całą automatyczną maszynię, laboratoria i warsztaty. Dzięki obecności Phebus Anioł Niebios zmienił się w ogromny żywy organizm.

Nową kwaterą Mila był mały, pusty pokój, zaopatrzone w składaną prycę i wiadro. Kiedy weszła, wpuszczona przez pająka, pełniącego funkcje odźwiernego, Milo leżał wyciągnięty na łóżku. Posłał jej sardoniczny uśmiech.

— Przysłaś się napawać moim widokiem, co?

Jan splotła ręce, oparła się o drzwi i przyjrzała mu się z rezerwą. – Nie, Milo, przyszłam z tobą porozmawiać. Chcę sprawdzić, czy można ci przemówić do rozsądku.

Założył ręce za głowę.

— Jestem wzruszony – powiedział szyderczo.

— Mówię poważnie. Z tymi programami z bazy nigdy nic nie wiadomo. Są naprawdę potężne, a Phebus wydaje się najpotężniejsza ze wszystkich. Zaczynaj tylko te swoje stare sztuczki, i... sama nie wiem, do czego jest zdolna. Dziwię się, że cię jeszcze nie uśmierciła. Dobrze wie, kim jesteś.

— Dzięki tobie, moja mała amazonko.

— Nie nazywaj mnie tak! – warknęła.

— Budzi wspomnienia, prawda? – spytał, szczerząc zęby w uśmiechu. – O czasach na *Władcy Pangloth*, kiedy byłem twoim opiekunem. Zawdzięczasz mi życie, więc chyba mogę cię poprosić o drobną przysługę? Użyj swoich wpływów i przekonaj tę zimną młodą damę, żeby mnie wypuściła.

— Przyznaję, że uratowałeś mi życie niejedyn raz, ale nic ci nie jestem dłużna. Zgwałciłeś mnie i porzuciłeś, kiedy byłam – jak się później okazało – w ciąży z twoim klonem. Z tobą, Milo. I zniszczyłeś mojego syna.

— Mówiłem ci już, że to był przypadek.

— Jeśli chciałeś mnie w ten sposób pocieszyć, to ci się nie udało. I pamiętam też, że nie protestowałeś zbyt głośno, kiedy Ashley wyrzuciła mnie i Robina na Ziemię, na pastwę zarazy. – Hola, a co niby miałem zrobić? Ashley rządziła całym tym cyrkiem. Musiałem uważać na każdy krok.

— Tak samo wygląda moja sytuacja tutaj – odparła Jan. – Phebus nie pyta mnie o zdanie, to ona tu rządzi.

— No dobra, nie ma sprawy. Jakoś sobie poradzę. Jak zawsze.

Znasz mnie, Jan. Wiesz, że nic mnie nie powstrzyma. – Doprawdy? Pamiętam, jak zostałeś nie tylko powstrzymany, ale wręcz rozdeptany na miazgę przez pewnego szalonego cyberoida... – Przestań! – przerwał – Nie chcę tego słuchać! – ...twoje prawdziwe ja, Milo, potężniejsze niż ty. Jedno małe potknięcie i wszystko poszło w rozsypkę. Z tobą włącznie. Można cię było zeskrobywać.

Na wpół podniósł się z pryczy, z twarzą wykrzywioną wściekłością.

— Zamknij się, bo...! – Urwał, widząc że pająk zamierza się rzucić w jego stronę. Uśmiechnął się i położył z powrotem. Pająk powrócił na posterunek u boku Jan.

— Co mówiłaś? – spytała.

— Nic, zupełnie nic. Nie zapomnę ci tego.

— O matko – zakpiła, udając dreszcz strachu. – Ale się przeraziłam. I jeszcze jedno, o czym powinieneś pamiętać. Te programy z bazy to coś nowego. Ewolowały przez te wszystkie lata. Biją Carla na głowę. Zupełnie ich nie rozumiem, ale nie można powiedzieć, żebym choć przez chwilę ich nie doceniała. I radzę ci robić to samo. Przez jakiś głupi wybryk możesz wystawić na niebezpieczeństwo Robina i mnie, nie mówiąc już o Shanie i Tyrze. Przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

— Nie najlepiej się czujesz w towarzystwie swoich nowych sojuszników.

— To prawda, nie najlepiej. – Rzuciła okiem na pająka. Phebus prawdopodobnie wszystko słyszała, ale to, co Jan miała do powiedzenia, nie było dla niej niczym nowym. Ostatecznie, to samo powtarzała Davinowi.

— Po prostu nie rozumiem, czym się kierują. W porządku, wiem, że ich podstawowym celem jest ochrona Elojów i opieka nad nimi, i wszystkie ich działania są temu podporządkowane. Ale nie pojmuję, co ma z tym wspólnego niszczenie zarazy. Nie wiem, po co to robią, i to mnie niepokoi.

Milo wzruszył ramionami.

— Jest takie stare powiedzenie: „Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby”. Ostatecznie dostajesz to, na czym ci zależy. Planetę oczyszczoną z zarazy.

— Ale dlaczego zdecydowali się teraz? Siedzieli w bazie od setek lat, niańcząc tych upiornych Elojów, podczas gdy reszta świata waliła się w cholere. Sami mi powiedzieli, że jest to poza ich zaprogramowaną sferą zainteresowań. Nic nie możemy zrobić. Przykro nam, i tak dalej. A teraz nagle próbują uratować

świat. Coś tu jest nie w porządku. – Rzuciła okiem na pająka. – Tak jak mówiłam Robinowi, po prostu im nie ufam.

Milo się zaśmiał.

— Myślisz, że co mają zamiar zrobić? Podbić świat? To pomysł jak ze starej powieści SF.

Lekceważąco machnął ręką.

— Gatunek literacki, który składał się głównie z tak zwanych „naukowych” ekstrapolacji. Akcja wielu powieści rozgrywała się w przyszłości... Pamiętasz te „Rozrywki”, które tak często oglądałaś z księciem Casparem i jego kumplami na pokładzie *Władcy Panglotha*? No więc to były tego rodzaju historie. Uwielbiałem je, kiedy byłem dzieciakiem, ale jak się potem okazało, żaden z tych cholernych pisarzy fantastycznych nie potrafił przewidzieć tego, co się naprawdę stało. Statki poruszające się szybciej od światła, kosmici, imperia galaktyczne... phi! – potrząsnął głową. – Tak czy inaczej, jednym z bardziej popularnych tematów były inteligentne komputery, próbujące przejąć władzę nad światem. – Zachichotał. – Pamiętam jeden klasyczny film z tego gatunku. Kompletna bzdura, ale wtedy strasznie mi się podobał. Zarobił fortunę. Niech sobie przypomnę... – Milo zamknął oczy. – Nazywało się to *Piękny, słoneczny poranek*... i było o tym, jak to pewnego dnia okazuje się, że wszystkie istniejące systemy komputerowe się połączyły, żeby stworzyć superinteligencję... Tak, a główny bohater wygrywa, bo pisze program wirusowy, który to wszystko rozwała. Śmieszne, że to jeszcze pamiętam. Musiałem widzieć ten film w 2010, miałem dopiero trzynaście lat... – Fascynujące, ale skąd możesz być taki pewny, że te programy rzeczywiście nie czują pokusy, żeby zawładnąć Ziemią? Mówiłam ci, one są inne. Bardzo wymyślne.

— Znowu wracamy do kwestii motywów. Po co inteligentny komputer miałby podbijać świat? Jest przecież bezcielesny, istnieje tylko po to, żeby działać zgodnie z programem. On jest zdefiniowany przez ten program, tak jak my, ludzie, jesteśmy określani przez nasze, zupełnie inne, popędy biologiczne. My po prostu chcemy oddychać, jeść, pić, żyć i się pieprzyć – chociaż może niekoniecznie w tej kolejności. To nasze ciała nas określają. – Nie wymieniłeś dążenia do posiadania potomstwa – podsunęła Jan.

— Nie, bo to jest związane z pieprzeniem i przeżyciem. Chodziło mi o to, że jesteśmy naszymi genetycznie zaprogramowanymi popędami – wszystko, czego ludzkość dokonała przez tysiące lat swojego istnienia, to nic innego, jak tylko wynik podstawowych programów biologicznych, które leżą u podstaw. To one kształtują nasze emocje. Określają naszą kulturę, nasze pragnienia. Określają nas. Ale program komputerowy nie czuje żadnego z tych popędów. Nie ma nawet instynktu samozachowawczego, więc po co miałby podbijać Ziemię? Podbój jest sposobem na przedłużenie własnego istnienia, bez względu na to, czy dotyczy jednostki, czy społeczności. – Ale z pewnością ten instynkt można zaprogramować? – Tak, możesz poinstruować komputer, żeby chronił samego siebie, ale to nie to samo, co być biologicznie ponaglany, żeby to zrobić, odczuwać rozpaczliwe pragnienie, żeby zostać przy życiu, bać się śmierci, nicości i tak dalej. Pewnie, komputer doskonale potrafi zachowywać się tak, jakby doznawał uczuć, właściwych ludziom, ale to tylko gra. Stworzyliśmy je na nasz obraz, ale wewnątrznie w niczym nas nie przypominają.

— Davin mówił mniej więcej to samo – powiedziała Jan, nie do końca przekonana. – Ale nie wiem... Ciągle nie mogę zrozumieć,

co może mieć wspólnego pomaganie „zwyyczajnej” ludzkości z ich zadaniem chronienia Elojów. Może się to w końcu wyjaśni, ale... – Westchnęła, dotknęła boku i skrzywiła się z bólu. Będzie musiała odwiedzić maszynę medyczną. Żebra wciąż bolały w miejscu, gdzie ją Milo uderzył. – No cóż, muszę już iść – powiedziała. – Potrzebujesz czegoś?

— Mnóstwa rzeczy – odparł. – Ale podejrzewam, że chodzi ci o tak przyziemne sprawy, jak jedzenie i picie? – Tak – przytaknęła ze znużeniem. – Zadbam, żeby ci coś przysłali.

— To bardzo miło z twojej strony. A propos potrzeb, jak się miewa moja zabaweczka?

— Tyra? Shan się nią zajmuje.

— Musi być bardzo szczęśliwy z tego powodu.

— Chce cię zabić.

— Wcale mu się nie dziwię.

— Jeśli chodzi o Tyrę, przeszedłeś samego siebie. Dlaczego? Czemu byłeś dla niej taki okrutny?

Wzruszył ramionami.

— Dlaczego? Cóż, znowu wracamy do problemu podstawowych potrzeb.

— Nie powiedziałabym, żeby sadyzm się do nich zaliczał.

— Doprawdy? Zdziwiłabyś się.

— Mnie nie traktowałeś w taki sposób. Chyba że miałeś to w dalszych planach.

— Ty nigdy nie byłaś taka jak Tyra. To urodzona ofiara. Jej uległość rozbudza we mnie sadystyczne instynkty. Co innego ty. Byłaś ciemną dzikuską, ale miałaś w sobie odwagę i siłę. Naprawdę cię podziwiałem, od pierwszej chwili.

— Och, proszę, oszczędź mi tego – jęknęła, odsuwając drzwi.

— Pa, mamusiu – powiedział, kiedy wychodziła.

Zamarła, odwróciła się i spojrzała na niego.

Wyszczrzył zęby.

— Przepraszam. Po prostu nie mogłem się powstrzymać.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— JeanPaul! JeanPaul!

Mężczyzna jęknął, wyrwany z głębokiego snu.

Ktoś chwycił go za ramię i mocno potrząsał. Otworzył oczy i w bladym świetle przedświtu zobaczył pochylonego nad sobą Lona Haddona. Równocześnie poczuł, że Ayla porusza się obok, i uświadomił sobie, że sprawa musi być poważna. W przeciwnym razie Lon nie naruszyłby w ten sposób prywatności swojej córki...

Podniósł się szybko, przecierając oczy.

— Coś się stało?

— Mamy kłopot – powiedział Haddon nagłaco. – Ubieraj się i chodź ze mną...

Ayla przebudziła się również.

— O co chodzi, tato? – spytała z niepokojem.

— Część ludzi JeanPaula opanowała skład broni. Wzięli zakładników i grożą, że ich zabiją, jeśli nie spełnimy ich żądań. – Cholera! – zaklął JeanPaul sięgając po szorty, wiszące obok na krześle.

— Musisz iść i porozmawiać z nimi, inaczej poleje się krew.

— Cholerni głupcy – powtórzył, wciągając szorty. – Ciężarówka czeka przed domem – powiedział Haddon i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

— Jadę z wami – zdecydowała Ayla, wyskakując z łóżka. JeanPaul przyglądał się jej, kiedy nakładała jego koszulę. –

Wolałbym, żebyś tu została.

— Trudno. Pojadę tak czy inaczej.

Napędzana elektrycznością ciężarówka podskakując na wybojach pędziła ulicami Palmyry. Siedzący za kierownicą Haddon opowiadał Ayli i JeanPaulowi, co się stało.

— Uderzyli o świcie. Musieli pokonać strażników, którzy pełnili wartę. Nie wiemy jeszcze, czy żyją, czy też zginęli. Alarm zaczął się dopiero o czwartej, kiedy nowi strażnicy przyszli na zmianę warty. Napastnicy postrzelili jednego. Dla ostrzeżenia. Potem oznajmili, że są żołnierzami z *Władcy Montcalma*, że mają zakładników, w tym kobiety i dzieci i że zastrzelą ich dzisiaj w południe, jeśli nie oddamy im władzy.

— Władzy? To znaczy władzy politycznej?

— Ni mniej, ni więcej.

JeanPaul pokręcił głową:

— Jezu, co za banda idiotów! Chcieli, żebym wymyślił plan podbicia Palmyry, ale po prostu nie potraktowałem tego poważnie. Miałem ci o tym powiedzieć, ale Ayła wyjaśniła mi, że i tak wszyscy są pod obserwacją.

— To prawda, tato – potwierdziła Ayła, usadowiona na jego kolanach. – JeanPaul wszystko mi opowiedział, ale kazałam mu się nie przejmować. To moja wina.

— Nie bądź śmieszna! – odparł Haddon. – Sam też bym nie traktował poważnie takiej gadaniny. Poza tym, naprawdę byli nadzorowani.

— Więc jak to się mogło stać? – spytał JeanPaul. – Znaleźliśmy dotąd ciała trzech osób z grupy wyznaczonej do ich pilnowania. Reszta jest pewnie wśród zakładników. Twoi ludzie uwięzili przede wszystkim rodziny, które przyjęły ich do siebie. – Do diabła – mruknął JeanPaul. Czuł się okropnie. Było mu wstyd. –

Ilu z nich wzięło w tym udział?

— Jeszcze nie wiemy na pewno. Co najmniej dwanaście osób. Ich przywódcą jest chyba mężczyzna imieniem Philippe, w każdym razie on najwięcej gadał. Znasz go?

— Tak, znam. Był jednym z tych, którzy chcieli, żebym im przewodził.

— Myślisz, że uda ci się przemówić mu do rozsądku? – Ostatnio mi się nie udało, ale spróbuję jeszcze raz. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Skład broni mieścił się na obrzeżach miasta, z dala od innych zabudowań. Był to jednopiętrowy, pozbawiony okien budynek o płaskim dachu. Jedyne drzwi znajdowały się od frontu. Wokół, dla złagodzenia jego surowego funkcjonalizmu, zasadzono palmy. W pewnej odległości rząd elektrycznych pojazdów – mniejszych samochodów i ciężarówek – tworzył barykadę. Kryła się za nią grupa mężczyzn ze strzelbami obserwujących budynek. Haddon zmełł w ustach przekleństwo zatrzymując ciężarówkę obok pozostałych pojazdów.

— Jelker Banks. Tylko jego tu brakowało.

JeanPaul zobaczył barczystego mężczyznę o rudych włosach i brodzie, zmierzającego w ich kierunku. Niósł strzelbę. Towarzyszyło mu dwóch innych, podobnie uzbrojonych. JeanPaul pamiętał ich ze spotkania na plaży. Przypomniał sobie, że starszy ma na imię Bron.

— Dobra robota, Haddon! – huknął rudzielec. – Złapałeś ich przywódcę!

— Nie jest ich przywódcą – głośno odpowiedział Lon, wysiadając z szoferki. – I ty, Jelker, dobrze o tym wiesz! Ayla wysiadła z drugiej strony, JeanPaul zaraz za nią. Haddon i Jelker Banks stali twarzą w twarz w odległości kilku kroków. – Nic mi o

tym nie wiadomo, Haddon! Sam się przyznał, że dowodził tym statkiem!

— To przeszłość. Teraz jest po naszej stronie! – Ha! Może zwiódł ciebie i twoją stukniętą córunię, ale nas nie oszuka! Jak już stąd wykurzymy tych krwawych powietrznych piratów, rozstrzelamy go razem z nimi.

— Ani się waż, musiałyś mnie też zastrzelić! – krzyknęła Ayla, mocno ściskając JeanPaula za ramię.

— Z przyjemnością – roześmiał się Bron.

— Słuchajcie, przyszedłem wam pomóc! – zawołał JeanPaul. – Spróbuję ich przekonać, żeby się poddali!

Jelker Banks odwrócił się do niego. Miał bardzo jasne niebieskie oczy, którymi zdawał się przewiercać JeanPaula na wylot. – Doprawdy? Idę o zakład, że chcesz się do nich przyłączyć. – Bądź rozsądny, Jelker. Gdyby należał do spisku, już dawno by to zrobił – argumentował Haddon. – Potrzebujemy go. Jeśli on nie zdoła ich przekonać, żeby się poddali, nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Skład ma tylko jedno wejście, jak zaatakujemy, stracimy masę ludzi.

Do grupki dołączył jeszcze jeden mężczyzna. JeanPaul rozpoznał w nim Lyle'a Weavera, obecnego przywódcę sekstetu, rządzącego Palmyrą. Również i on był uzbrojony. Spojrzał na JeanPaula jakby z ulgą i zwrócił się do Haddona: – Zgodził się?

— Tak – potwierdził Haddon. – Tylko Jelker ma jakieś zastrzeżenia.

Weaver popatrzył groźnie na Banksa.

— Już nie.

Jelker odwzajemnił spojrzenie, ale po chwili wzruszył ramionami. – Bardzo dobrze, niech idzie i z nimi rozmawia, ale będę go przez cały czas trzymał na muszce – odparł. – Jeśli

spróbuje wejść do środka i dołączyć do swoich przyjaciół, zastrzele go na miejscu.

Weaver zwrócił się do JeanPaula: – Spróbuj nie zwracać na niego uwagi. Wszyscy tak robimy. Jak myślisz, uda ci się ich przekonać?

— Mówiłem już Lonowi, nie wiem. Nie znam ich zbyt dobrze.

Ale zrobię, co będę mógł.

— Rozumiem. Każę ci skombinować białą flagę. – Odwrócił się, żeby odejść, ale JeanPaul go powstrzymał: – Chwileczkę. Skoro mam się z nimi targować, muszę mieć coś do zaoferowania. Na co mogą liczyć, jeśli się poddadzą? – Że ich postawimy pod ścianą i rozstrzelamy – oświadczył głośno Jelker Banks.

— Zamknij się – ostro uciszył go Weaver. Potarł policzek i po chwili powiedział: – Zabili kilka osób. I złamali prawo gościnności. Nie możemy przyjąć ich z powrotem do naszej społeczności. Będą musieli spróbować swoich sił na zewnątrz – na obszarze dotkniętym zarazą. Dostaną broń i zapasy żywności, i niech ryzykują. Ale jeśli się nie poddadzą, będzie tak, jak mówi Jelker. Zostaną skazani na śmierć. JeanPaul skinął głową. Weaver nie miał wyboru. Zważywszy na okoliczności i tak było to bardzo sprawiedliwe. Na jego miejscu zachowałby się tak samo.

Parę minut później, podnosząc do góry flagę, zrobioną z kija od szczotki i poszewki, JeanPaul wyszedł z rzędu samochodów i ruszył w kierunku ciemnego wejścia budynku. Na wargach czuł jeszcze mocny, pełen niepokoju pocałunek Ayli. Czuł też delikatne mrowienie w dole kręgosłupa w miejscu, w które – jak sądził – wymierzona była strzelba Jelkera Banksa. A Bóg wie, ile strzelb było w niego wycelowanych z mrocznego wnętrza zbrojowni. Kiedy znalazł się w odległości dwudziestu metrów od

budynku, stanął, pomachał flagą i krzyknął: – Philippe! To ja, JeanPaul! Chcę z tobą porozmawiać!

Odpowiedziała mu cisza. W otwartych drzwiach składu panował mrok. Wydawało mu się, że głębiej w środku dostrzega coś w rodzaju barykady, ale nie był pewien.

— Philippe! – zawołał znowu.

— Czego chcesz, sprzedawczyku? – odezwał się niespodziewanie jakiś głos.

— To ty, Philippe?

— Tak. Odkąd zostałeś zdrajcą, ja tu dowodzę.

Boże!, pomyślał JeanPaul.

— Philippe, to szaleństwo! To się nie może udać! Musicie się poddać, zanim zginie więcej ludzi!

— Nie poddamy się. Nie wszyscy są tacy, jak ty, JeanPaul.

— Jeśli to zrobicie, przynajmniej uda się wam ocalić życie. Władca Palmyry obiecał mi, że pozwoli wam odejść, jeśli sprawa zakończy się pokojowo.

— Odejść dokąd?

JeanPaul poczuł nagle, że zaschło mu w ustach. Przełknął ślinę.

— Opuścić Palmyrę.

Philippe wybuchnął śmiechem.

— To się równa wyrokowi śmierci.

— Dostaniecie broń... żywność. Macie szansę przeżyć. Tutaj jej nie macie.

— Żadnych układów, JeanPaul. Podtrzymujemy nasze ultimatum. Idź i powiedz to ich przywódcy. Wróć w południe. Albo zrobią, czego żądamy, albo zaczniemy zabijać zakładników. – Philippe, bądź rozsądny! Bez względu na wszystko, nie przekażą wam władzy w Palmyrze. Nie możecie wygrać! Jeśli tu

zostaniecie, zabiją was, zanim dzień się skończy!

— Zabierzemy ze sobą tylu z nich, ilu zdołamy. W całym składzie zastawiliśmy pułapki. Niech nas tylko zaatakują, cały budynek wyleci w powietrze... a biorąc pod uwagę, ile tu mają materiałów wybuchowych, wyleci też spory kawałek Palmyry.

JeanPaula ogarnął nagle bezsilny gniew.

— Ty głupcze, przekłety głupcze...! – Zrobił parę kroków w stronę wejścia. – Mielicie tutaj wszystko i to wszystko odrzuciliście... – Nagle dosięgnął go potężny cios, jakby młotem kowalskim. Uderzenie zbiło go z nóg i wyrzuciło w powietrze. Spadł na plecy i leżał tak, patrząc na blade niebo wczesnego poranka, które gdzieś zaczynało już różowieć. A potem nie widział już nic. – Nigdy jeszcze nie widziałem tak niezwykłego księdza – powiedział kapitan Ilja Wiuszkow do Mila, napełniając jego kieliszek wódką.

— Mówiłem już wcześniej, że nie jestem właściwie księdzem – odparł Milo, z wdzięcznością przyjmując kieliszek. – Może to brat powtórzyć jeszcze raz – roześmiał się kapitan, nalewając z kolei sobie.

— Nie, chodziło mi o to... o to... – Milo czuł się przyjemnie pijany – ...że jestem tylko zakonnikiem, nie zostałem wyświęcony na kapłana.

— Bardzo się brat różni od swojego towarzysza. – No cóż, on jest księdzem. I zachowuje się właściwie. Bardzo porządnie – zachichotał Milo. Oj, za bardzo się upiłem, pomyślał i przestawił swój metabolizm w taki sposób, żeby jego układ szybciej pozbył się nadmiaru wódki. Już po chwili zaczął się pocić czystym alkoholem. Musi być trzeźwy dzisiejszego wieczoru. Siedzieli przy stole w kwaterze Wiuszkowa. Właśnie zjedli po solidnej porcji znakomitego barszczu, dania, którego Milo nie próbował

już od bardzo dawna. Jakość potraw w Karagandze przekonała go, że – w przeciwieństwie do Belvedere – jednostki odzyskiwania żywności działały bez zarzutu. Posiłek został podany przez uśmiechniętą kobietę, którą Milo początkowo wziął za żonę Wiuszkowa. Wkrótce przekonał się z ulgą, że była tylko służącą. Wiadomość, że kapitan jest żonaty, stanowiłaby niemiłe zaskoczenie. Szczególnie, gdyby się okazało, że jest to szczęśliwe małżeństwo. Im mniej związków, tym lepiej.

Czas przejść do interesów. Milo pociągnął łyk wódki, chytrze spojrzał na gospodarza i zaczął: – Po podboju Ziemi pańska pozycja stanie się godna pozazdroszczenia.

Wiuszkow zmarszczył brwi.

— Co brat ma na myśli?

— Zostanie pan faktycznym władcą tego miejsca. Wszystkie ich bogactwa... bogactwa tak bardzo potrzebne Karagandze i innym osiedlom będą należały do pana. Nie mówiąc już o tym, że będzie pan dowódcą jedynej statku, zdolnego kursować między Ziemią a osiedlem... przynajmniej na początku. A jest to też najlepiej uzbrojona jednostka w całym systemie. Widziałem w czasie inspekcji.

— Prawda. Żeby wyposażyć Christinę, pozbawiliśmy broni promiennej wszystkie inne promy, a nawet osiedle... – Wiuszkow napił się znowu i ciągnął: – Ale nie rozumiem, do czego brat zmierza. – Do tego, że znajdzie się pan w niezwykle korzystnej pozycji.

Pozycji, która umożliwi panu kontrolę nad całą sytuacją...

Wiuszkow jeszcze głębiej się zamyślił.

— Czyżby brat sugerował to, co mi się wydaje, że brat sugeruje?

— Być może.



Kapitan uderzył kieliszkiem w stół.

— Jestem lojalnym Karagańczykiem! – oświadczył z oburzeniem. – Nie mam najmniejszych wątpliwości. Oczywiście, nigdy nie zgodziłby się pan pozbawić osiedla tego, czego potrzebuje z Ziemi, ale wszystko ma swoją cenę.

Wiuszkow pokręcił głową.

— Nie. Nie ma mowy.

Milo westchnął.

— Podziwiam pana, kapitanie Wiuszkow. Ma pan szansę uzyskać władzę, nie mówiąc już o bogactwie, ale nic nie zawróci pana z drogi lojalności i obowiązku. Niewielu zostało takich jak pan. – Podniósł swój kieliszek. – Pańskie zdrowie!

Milo wrócił do siebie w godzinę później. Zostawił kapitana bardzo pijanego. I, był tego pewien, zasiał w nim ziarno, które wkrótce zacznie kiełkować. Będziesz mój, pomyślał z satysfakcją.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jęk JeanPaula wyrwał Aylę z niespokojnej drzemki. Nachyliła się nad nim z troską, w nadziei, że być może odzyskał przytomność.

— JeanPaul! Słyszysz mnie? To ja, Ayla. – Jego powieki zadrżały, ale oczy pozostały zamknięte.

Z rozczarowaniem zdała sobie sprawę, że w dalszym ciągu jest nieprzytomny. Westchnęła, grzbietem dłoni musnęła jego rozpalone czoło i znów usiadła na krześle. Czuła się bardzo zmęczona, bolała ją głowa. Czuwała przy jego łóżku odkąd przywieziono go z sali operacyjnej, to znaczy od około trzeciej po południu. Teraz było tuż po północy. Ale nie miała zamiaru go zostawić.

Po operacji chirurg, Steven Aldane, którego znała niemal od zawsze, bliski przyjaciel jej i ojca, przekazał jej smutną wiadomość. – Przykro mi, Aylo. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, ale jego szansę są niewielkie. Nawet, jeśli przeżyje, będzie sparaliżowany do końca życia. Kula strzaskała mu kręgosłup. – On nie umrze – zaprotestowała namiętnie, z oczu płynęły jej łzy. – Nie pozwolę mu, Steven, nie pozwolę!

Później przyszedł ojciec. Stał przy niej, obejmując ją ramieniem.

— Tak mi przykro, Aylo.

— On nie umrze – powtórzyła z uporem.

— Mam nadzieję, że nie. Rozmawiałem ze Stevenem.

Niedobrze to wygląda, bardzo niedobrze. I... biorąc pod uwagę, jak poważne są jego obrażenia, chyba byłoby lepiej...

Odwróciła się do niego i wykrzyknęła gwałtownie: — Nie! Nie byłoby! Nie mów nawet takich rzeczy! — Przepraszam — powiedział szybko i ścisnął ją za ramię na znak, że rozumie. Po chwili rzekł: — Wiesz, może ci z osiedla orbitalnego będą mogli mu pomóc, kiedy już przybędą. Na pewno są o wiele bardziej niż my zaawansowani w dziedzinie medycyny. My tutaj zapomnieliśmy tak wiele...

— Ty i twoi przekłęci przybysze! Wydaje ci się, że rozwiążą wszystkie problemy! Niedobrze mi się robi od samego słuchania! — Ledwo to powiedziała, zrobiło się jej przykro. Odwróciła się i zobaczyła wyraz bólu na twarzy ojca. — Ja...

— Nie musisz przepraszać. Wiem, że mówię tylko o nich. Ale naprawdę jestem przekonany, że będą w stanie pomóc JeanPaulowi. — Tak, też tak myślę — powiedziała bez przekonania, jednak ta myśl utkwiała jej w pamięci i przerodziła się w nieśmiałą nadzieję. Haddon wyszedł wkrótce potem. Jeśli nie liczyć krótkich odwiedzin Stevena i jednej z pielęgniarek, czuwała samotnie. Ciągle od nowa przypominała sobie wydarzenia tego poranka. Kiedy broń Jelkera Banksa wypaliła, a JeanPaul upadł na ziemię przed budynkiem zbrojowni, w pierwszej chwili nie skojarzyła obu faktów. Nie rozumiejąc patrzyła na jego skrzycone ciało. Lyle Weaver krzyczał na Banksa. Jak przez mgłę słyszała jego odpowiedź: — Drań chciał się do nich przyłączyć. Dokładnie tak, jak mówiłem.

Krzyknęła: „JeanPaul!” i wybiegła spoza ciężarówek. Ojciec próbował ją zatrzymać, ale wyrwała mu się z rąk. Potem klęczała obok JeanPaula, tuląc go do siebie, całując po twarzy. Oczy miał otwarte, niewidzące. „JeanPaul!”, zawołała znowu. Nie reagował.

Łagodnie opuściła jego głowę na trawę i dotknęła szyi. Z ulgą przekonała się, że puls mu bije.

— Myśmy tego nie zrobili! – krzyknął jakiś głos. – Nikt z nas do niego nie strzelał!

Podniosła wzrok, zdumiona. Głos dochodził z wnętrza budynku. Zupełnie zapomniała o zbuntowanych piratach. – Wiem, że to nie wy! – odkrzyknęła. – Wiem, kto to zrobił. – Usłyszała za sobą jakiś szelest. Odwróciła się. Ojciec, z rękoma uniesionymi do góry, szedł w jej kierunku. Twarz miał białą jak papier. Ukląkł po drugiej stronie JeanPaula, ciągle z rękami wysoko w powietrzu.

— Jak z nim? – spytał, zerkając nerwowo na ciemne wejście do składu.

— Chyba niedobrze – odparła drżącym głosem. – Bardzo niedobrze. – Krew zabarwiła trawę wokół ciała JeanPaula. – Zabiję Jelkera Banksa.

— Lyle kazał go uwięzić. Jego synów też.

— I tak go zabiję. – Spojrzała błagalnie na ojca i jęknęła: – Och, tato, co ja mam zrobić?

— Przede wszystkim, musimy go jak najszybciej zawieźć do szpitala. – Podniósł się powoli i zawołał, wpatrując się w wejście składu broni: – Chcemy go stąd zabrać. Zgadzacie się? Ayla usłyszała szmer naradzających się głosów, po czym ktoś odkrzyknął: — W porządku, możecie to zrobić. Tylko bez żadnych numerów!

Lon schylił się i chwycił JeanPaula pod pachy.

— Weź go za nogi – polecił Ayli. – Dasz radę? – Pewnie. – Złapała go za kostki. Kiedy podnosili go wspólnymi siłami, zacharkotało mu w gardle; była to jego jedyna reakcja. Wydał się jej ciężki, ale uniosłaby go, nawet gdyby ważył dwa razy więcej.

Na widok kałuży krwi, jaka zebrała się pod ciałem, miała ochotę krzyczeć.

Donieśli go do barykady z samochodów – krwawi! przez całą drogę – i ułożyli na pustych workach w tyle swojej ciężarówki. Ktoś przyniósł koc i Ayla przykryła nim JeanPaula. Siedziała obok niego, podczas gdy ojciec najszybciej jak mógł jechał w stronę szpitala. Przylgnęła do rannego całym ciałem, żeby jak najmniej odczuwał wstrząsy. W końcu dotarli do szpitala i przekazali JeanPaula w ręce Stevena i jego personelu. Kiedy go podnosili, worki były przesiąknięte krwią...

Później dowiedziała się, że – jak na ironię – buntownicy uwolnili zakładników i poddali się godzinę później. Nie wiedziała, czy postrzelenie JeanPaula na ich oczach przyczyniło się do zmiany decyzji. Sądziła, że to prawdopodobne, ale w gruncie rzeczy nic ją to nie obchodziło.

*Maskotka* z rykiem silników spadła z nieba wprost na stado Hazzini, które na jej widok wyroiły się z gniazda. Rój był tak gęsty, a *Maskotka* tak szybka, że zderzenie było nieuniknione. Wkrótce na ziemię spadły setki stworzeń z potrzaskanymi ciałami i skrzydłami podartymi na strzępy. Niektóre skrzeczały z wściekłości, większość była już martwa.

We wnętrzu *Maskotki* tylko po lekkim drzeniu pokładu można było poznać, że maszyna zderzyła się z Hazzini. – Lubisz to, prawda?

— Co? – uwagę Jan pochłaniało to, co działo się na monitorach. – Mówiłem, że ci się to podoba. Powinnaś zobaczyć wyraz swojej twarzy. Nie znałem cię od tej strony.

Spojrzała na Robina. Przyglądał się jej z zainteresowaniem. – Tak, bardzo – przyznała. – Nienawidzę tych stworzeń. Już ci kiedyś opowiadałam, dlaczego. Nie mam zamiaru marnować

mojej sympatii na Hazzini. Są tylko sztucznie skonstruowanymi maszynami do zabijania, z mizerną inteligencją, chociaż sprytu im nie brakuje.

— Och, nie miałem zamiaru cię krytykować. Sam zabawiałem się podobnie z kałamarnicami koło Shangri La. Lubiłem samo zabijanie, tylko że potem zawsze czułem się... jakby brudny. – Ha, jeśli ja się tak poczuję, będziesz mógł mnie solidnie wyszorować pod prysznicem, kiedy już wrócimy na Anioła. – Posłała mu szybki uśmiech, kiedy *Maskotka* zawracała, żeby po raz kolejny zaatakować stado.

Po czwartym ataku na tłum Hazzini *Maskotka* natarła na podstawę gniazda, przypominającego – jak wszystkie ich siedziby – surrealistyczną wizję krzywej wieży w Pizie (która ostatecznie zawaliła się w roku dwutysięcznym). Wystrzeliła serię rakiet. Pociski eksplodowały z wielką siłą, wyrzucając w powietrze duże fragmenty ścian gniazda. Potem cała budowla zaczęła się walić. *Maskotka* odsunęła się na bezpieczną odległość, kiedy ogromne gniazdo zapadało się w sobie, poziom po poziomie. Jan przyglądała się temu chciwie, póki chmura pyłu nie przesłoniła jej widoku. Z zadowoleniem skinęła głową. – Masz rację, rzeczywiście bardzo mi się to podoba. – Miło, że dobrze się bawisz, ale czy to nie strata czasu? – spytał Robin. – Mieliśmy za zadanie pobrać próbki i zawieźć je na Anioła Niebios. Kiedy Phebus wykona swój plan, ich los tak czy inaczej będzie przesądzony.

— Wiem, wiem... ale pozwól mi ten jeden raz, dobrze? – Pochyliła się i poklepała go po udzie.

Hazzini ciągle atakowały krążącą w powietrzu *Maskotkę*, próbując rozszarpać kadłub swoimi długimi ostrymi szponami. Jan zadrżała, kiedy na monitorze ukazała się w zbliżeniu głowa

jednego z nich. Aż za dobrze pamiętała spotkanie z Hazzini na pokładzie *Władcy Panglotha*, kiedy ledwo uszła z życiem. Ten był identyczny – taki sam wychudły koński łeb z czułkami i ssawką jak u moskita. Szybko powiedziała do *Maskotki* kilka słów i w następnej chwili Hazzini został złapany przez ramię chwytające, które wystrzeliło z dziobu statku. Próbnik w kształcie włóczni zanurzył się głęboko w tułowiu stwora, przebijając twardy pancerz. – Próbką pobrana – oświadczyła *Maskotka*, kiedy sonda chowała się z powrotem w kadłubie. Hazzini w dalszym ciągu bił swoimi przezroczystymi skrzydłami, nieświadomy, że już nie żyje. Chwytnik – jedna z nowych części, w której została wyposażona *Maskotka* – wypuścił go i stwór leciał błędnie przez parę chwil, po czym zaczął spadać.

— To też mi się podobało – powiedziała Jan do Robina.

— Sam widziałem. Co teraz?

— Cóż, myślę, że zbierzemy jeszcze trochę próbek grzybów i możemy wracać na Anioła Niebios. Gdzie dokładnie jesteśmy? – zwróciła się do *Maskotki*.

— W środkowozachodniej części kontynentu północnoamerykańskiego – padła odpowiedź.

— Mogłabyś określić dokładniej?

— Moje dane są przestarzałe. Mogę jedynie powiedzieć, jak ten obszar nazywał się w przeszłości.

— Więc to zrób.

— Kiedy istniały jeszcze Stany Zjednoczone Ameryki, był znany jako stan Iowa. Po rozpadzie federacji w roku 2071 stał się częścią feministycznego supermocarstwa zwanego Minervą. Jan drgnęła.

— Minerva? Niemożliwe! – Wpatrywała się z natężeniem w ekran monitora. Krajobraz, nad którym przelatywali, nie wydał

się jej znajomy. – Nie wierzę – mruknęła.

— Zgodnie z moimi danymi, to była Minerva – upierała się *Maskotka*.

Jan właśnie miała znowu zaprotestować, kiedy przypomniała sobie, że ta Minerva, w której się wychowała, zajmowała jedynie ułamek dawnego terytorium. – Przeleć nad całym obszarem – rozkazała podniecona.

— Proszę bardzo – odparła *Maskotka*.

— Co masz zamiar zrobić? – spytał Robin.

— Chcę odnaleźć mój dom.

— Jesteś pewna, że mamy na to czas? Już jesteśmy do tyłu z planem.

— Nic mnie to nie obchodzi – odparła zdecydowanie, nie odrywając wzroku od monitorów.

W ciągu najbliższej półgodziny przelecieli nad trzema niewielkimi osadami – jedna została całkowicie opanowana przez zarazę – i za każdym razem mieszkańcy wysypywali się ze swoich walących się domów i w zdumieniu patrzyli w niebo na latającą maszynę, która nie była Władcą Niebios, ale Jan nie zwracała na nich uwagi. W końcu krzyknęła: „Zwolnij!”. *Maskotka* usłuchała.

Tak, to pasmo pagórków... Jan poznała je nawet z tej wysokości.

— W jakim kierunku lecimy? – zapytała niecierpliwie.

— Na wschód – odparła *Maskotka*.

— A więc to powinno być trzydzieści kilometrów na wschód od wzgórz...

*Maskotka* wolno krążyła nad ziemią, tracąc wysokość. – Bogini Matko, to tu, na pewno... ale gdzie jest miasto? Gdzie jest Minerva?



— Mówiłaś, że została zbombardowana przez Władcę Niebios – przypomniał Robin.

— Tak, ale parę budynków ocalało. Szczególnie tych mniejszych.

— Zmarszczyła brwi. – Chociaż, kiedy odjeżdżałam, wiele płonęło.

Może cała reszta się spaliła. – Patrząc na monitory pokręciła głową. – To, nad czym teraz przelatujemy, kiedyś było polami... teraz wszystko zajęła zaraza.

— Coś tam widać z przodu – zauważył Robin.

Miał rację. Wielkie kształty porośnięte przez grzyby. Minerva. Ścisnęło ją w gardle. Wysiłki podejmowane przez setki lat poszły na marne. W końcu zaraza zwyciężyła. *Maskotka* przelatywała teraz nad opanowanym przez grzyby miastem. Jan rozkazała jej zatrzymać się i wylądować.

— Znajdujemy się nad czymś, co kiedyś było miejskim placem zebrania – wyjaśniła Robina.

*Maskotka* łagodnie osiadła na ziemi. Jan sięgnęła po pistolety laserowe, w które wyposażyła ich Phebus, jeden wręczyła Robinowi, drugi przypięła sobie do pasa. Potem kazała *Maskotce* otworzyć właz. Równocześnie instruowała Robina: – Musisz być bardzo ostrożny tam, na zewnątrz. Nigdy jeszcze nie byłeś na terenie dotkniętym zarazą... to znaczy byłeś, ale tego nie pamiętasz. Może być bardzo niebezpiecznie.

— Kiedy wreszcie przestaniesz traktować mnie jak dziecko? – spytał.

Istnieje na to odpowiedź, pomyślała Jan, ale nie mam zamiaru być aż tak okrutna, żeby ci jej udzielić. Pierwsza opuściła *Maskotkę*. Kiedy znalazła się na zewnątrz, uderzył ją znajomy odór grzybów. Było też nieprzyjemnie gorąco. Spojrzała w górę.

Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie. W tej części kontynentu musi być teraz gdzieś koło południa, oceniła. Rozejrzała się wokół, próbując zorientować się w terenie. Było to niełatwe, ponieważ nieliczne stojące budynki, które otaczały plac, zostały obrosnięte przez grzyby. – A więc tak wygląda Minerva – powiedział Robin.

— Wybacz, nie jest w najlepszym stanie – ostro odparowała Jan.

— Wiem. Nie chciałem cię dotknąć.

— Przepraszam – mruknęła i ruszyła przez plac w stronę najbliższego szeregu budynków. Sam plac wydawał się wolny od zarazy, jeśli nie liczyć kęp dwumetrowych muchomorów i gigantycznych purchawek. W jednym rogu rosło wysokie drzewo, co ją nieco zdziwiło. Nie pamiętała, żeby stało tutaj dawniej, i wątpiła, czy zdołaloby osiągnąć takie rozmiary przez lata, które minęły od czasu, gdy opuściła Minervę. Niezwykły był też fakt, że grzyby zostawiły je w spokoju. Zdała sobie sprawę, że Robin odłączył się od niej i zmierza w kierunku drzewa.

— Gdzie idziesz? – zawołała.

— Odląć się! – krzyknął w odpowiedzi. – Zadowolona? – Bardzo – odparła ze złością i właśnie miała ruszyć dalej, kiedy coś się jej przypomniało. Coś, dotyczące pewnych drzew, o czym powinna była pamiętać... Bogini Matko! Okręciła się w miejscu, wyszarpując broń z kabury.

— Robin! – krzyknęła ile sił w płucach. Ale zobaczyła, że jest już za późno.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

„Nadszedł czas, by ruszyć w dal, na szlak!”, śpiewał Milo na cały głos, wchodząc do kabiny. Ojciec Shaw, który siedział zgarbiony przy małym stoliku czytając swoją zniszczoną Biblię – ostatnimi czasy bardzo często nad nią przesiadywał – podniósł wzrok. W oczach miał przestraszonych. Nie wyglądał dobrze. Wyraźnie stracił na wadze, twarz miał wynędzniałą. Sypiał bardzo źle, bojąc się, że Milo zabije go przy pierwszej sposobności. Milo rzeczywiście rozważał takie rozwiązanie, ale po namyśle zdecydował się odłożyć jeszcze trochę to szczęśliwe wydarzenie.

Milo rzucił się na swoją koję i zapytał jowialnie: — Spakowany i gotów na spotkanie z przygodą? Za kilka godzin będziemy w drodze.

Ojciec Shaw obliznął spierzchnięte usta.

— Kiedy zamierzasz to zrobić?

— Co zrobić, drogi ojcze? – spytał Milo, udając, że nie rozumie.

Ojciec Shaw znowu obliznął wargi.

— Zabić mnie.

Milo podniósł brwi.

— Zabić ciebie? Dobry Boże, nie chcesz chyba znowu międlić tego starego tematu? Ciągle jeszcze żyjesz i masz się nieźle, prawda? Wiesz, chwilami zachowujesz się jak paranoik. Zakonnik wpatrywał się w niego w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym powiedział: — Nie ujdzie ci to na sucho. Bóg cię

skarże.

— Naprawdę tak sądzisz? Że temu twojemu Bogu, stwórcy całego wszechświata, zależy na tobie? Właśnie za to nie znoszę takich pobożnych idiotów jak ty. Wszyscy jesteście cholernymi egoistami! Mówisz o Bogu, jakbyście byli kumplami z college'u. – Błuznierstwo tylko pogorszy twoją sytuację – upomniał ojciec Shaw drżącymi wargami.

— Zaryzykuję. Tymczasem ty przygotuj się do wielkiej misji na macierzystej planecie. Pomyśl tylko o tych wszystkich grzesznych duszyczkach, które nie mogą się doczekać, żebyś otworzył im drogę do zbawienia.

— Ziemianie nie mogą zostać zbawieni. Podobnie jak ty. – Hm, niezbyt optymistycznie to brzmi jak na kapłana. Głównym powodem, dla którego zostałeś wybrany do udziału w tej wyprawie, miało być ocenienie, czy ich dusze mogą zostać zbawione. – Znalazłem się tutaj przez ciebie! – wybuchnął ojciec Shaw, wznosząc głos do krzyku. – Teraz to rozumiem! To był twój plan! To ty zasugerowałeś ojcu Massie'emu, żeby wysłać na Ziemię naszego przedstawiciela, ale naprawdę chodziło o to, żeby umożliwić tobie dostanie się na Ziemię. Nie ma najmniejszego powodu, żebym ja tu był. Najmniejszego! Milo wstał z łóżka, podszedł i lekko poklepał ojca Shawa po głowie. Zakonnik drgnął.

— Wręcz przeciwnie, jesteś dla mnie bardzo cenny. Przynajmniej na razie.

Ojciec Shaw podniósł na niego wzrok.

— Proszę, pozwól mi tutaj zostać – poprosił szeptem. – Nie chcę lecieć na Ziemię. Nie chcę ci towarzyszyć. Pozwól mi wrócić do Belvedere. Obiecuję, że cię nie wydam. Przysięgam na moją duszę.

Milo z dezaprobatą zmarszczył brwi.

— Uważaj – ostrzegł. – Nie ryzykuj swojej duszy, składając obietnice, których nie będziesz w stanie dotrzymać. – Przysięgam! – wykrzyknął ojciec Shaw. – Nic nikomu nie powiem. Tylko pozwól mi odejść!

— No, dobrze.

Zakonnik otworzył usta ze zdumienia. Milo zauważył, że dolne zęby ma brzydko przebarwione. Z higieną osobistą też nie było u niego ostatnio najlepiej.

— Nie żartujesz? – wyszeptał.

— Ależ skąd! Możesz wracać do Belvedere. Nie jesteś mi już potrzebny.

Ojciec Shaw złapał Mila za rękę i, ku jego zdumieniu, dwukrotnie ją ucałował.

— Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję!... Trwałoby to jeszcze długo, gdyby Milo nie klepnął go w ramię.

— Ojciec Shaw.

Zakonnik podniósł wzrok. Oczy miał wypełnione łzami wdzięczności.

— Tak?

— Żartowałem – powiedział Milo i mrugnął. – Nie wyobrażam sobie, że mógłbym cię odesłać do tego wstrętnego Belvedere. Lecisz ze mną za Ziemię. Zobacysz, będzie fantastycznie! Z zainteresowaniem i lekkim rozbawieniem patrzył, jak twarz zakonnika zaczyna się kurczyć. Ojciec zakrył twarz rękami, opadł na stół i wybuchnął płaczem. Milo wrócił na swoją koję. Zaczął podśpiewywać. „Nadszedł czas, by wyruszyć w dal, na szlaaaak!”. Ocalił go krzyk Jan. Coś, co zabrzmiało w jej głosie, kiedy zawołała jego imię. Nawet umarły nie mógłby pozostać na to obojętny. Robin zamarł dokładnie w tym samym momencie,

kiedy drzewo z oszalamiającą szybkością wysłało w jego stronę jedną z macek. Macka przecięła powietrze kilka cali przed nim, w miejscu, gdzie powinien był się znajdować, chybiając o włos. Nie zauważył tego, bo właśnie odwracał głowę do Jan. Kiedy poczuł prąd powietrza, szybko spojrzał w stronę drzewa – w sam czas, żeby zobaczyć, jak wciąga mackę. Jan, wyszarpując broń zza pasa, krzyknęła znowu: — W tył, w tył!

Niepewnie postąpił krok do tyłu. Jan wypaliła, celując w pień. Promień lasera wbił się głęboko, drzewo przebiegł dreszcz. Dwie kolejne macki wystrzeliły w stronę Robina, ale znowu chybiły, bo nadal się cofał. W końcu sięgnął po broń... Wypalił. Drzewo zadrżało jeszcze gwałtowniej. Macki szaleńczo młóciły we wszystkie strony. – Nie przestawaj strzelać! – krzyknęła Jan do Robina, kiedy znalazła się bliżej. W następnej chwili zauważyła, jak grunt wokół drzewa zaczyna się wybrzuszać. Ciemne grudki ziemi wylatywały w powietrze u jego podstawy, potem pień drgnął. W górę. Bogini Matko, pomyślała Jan zaskoczona, kiedy zdała sobie sprawę, co się dzieje. Ono próbuje się wyrwać z ziemi!

Pień zaczął dymić, kiedy Jan i Robin nieprzerwanie cięli go promieniami laserów, wolno przesuwając je tam i z powrotem. Wynurzyły się z niego wielkie zakrzywione kolce, służące do nadziewania ofiar. Jan mogła teraz dostrzec korzenie w poruszającej się ziemi. Właściwie nie były to nawet korzenie... przypominały raczej ogromne węzłaste kończyny, zakończone czymś w rodzaju dłoni czy stóp o trzech potężnych szponach. Jedna, potem druga, wysunęła się z pnia i wbiła w grunt. Stwór próbował ruszyć z miejsca. Jan wycelowała w stronę „korzeni”, przeciągając wzdłuż nich promieniem lasera. Drzewo zadrżało na znak protestu, liście głośno zaszeleściły. Macki nadal młóciły

powietrze. Nagle rozległ się głośny trzask i drzewo zaczęło się na nich przewracać.

— Uciekaj! – wrzasnęła Jan, ale tym razem Robin nie potrzebował ostrzeżenia.

Spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo i jak szalony rzucił się do ucieczki. Jan nie pozostała w tyle. Powietrze przeszył przeraźliwy świst, ziemia zadrżała, kiedy drzewo upadło. Jan zatrzymała się i spojrzała za siebie. Wierzchołek upadł między nią i Robinem. Robin też się zatrzymał. Liście nadal szeleściły, macki uderzały w ziemię, chociaż z coraz mniejszą siłą. – Nie przerywaj ognia – ostrzegła Jan, kierując promień lasera na liście.

Kiedy zwęglone resztki nareszcie przestały się poruszać, Robin, ostrożnie je omijając, podszedł do Jan.

— Co to było, do diabła? – zapytał, marszcząc nos, kiedy doleciał go gryzący śwąd.

Jan odkaszlnęła.

— Drzewo batowe – powiedziała. – Nigdy jeszcze nie widziałam takiego wielkiego. I nigdy nie widziałam, żeby wyrwało się z ziemi i próbowało ruszyć z miejsca.

— Drzewo batowe? Co to takiego?

— Kolejna zapomniana zabawka sprzed Wojen Genetycznych. Pół-zwierzę, pół-roślina. Prawdopodobnie ma w sobie więcej ze zwierzęcia. Naśladuje różne gatunki drzew. Kiedy zwierzę albo człowiek podejdzie do niego, chwytą go w swoje macki, nadziewa na kolce i powoli wchłania płyny z ciała, aż zostanie jedynie pusta łupina. Potem odrzuca ją daleko od siebie, żeby nie spłoszyć następnej ofiary. Niewiele brakowało, a poznałbyś to na własnej skórze.

— Wiem – odparł, ocierając pot i sadzę z czoła. – Gdybyś wtedy

nie krzyknęła...

— Zauważyłam poruszenie. Wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, że to może być drzewo batowe. Mówię ci, nigdy jeszcze nie widziałam takiego ogromnego.

— Jakaś nowa odmiana? A może mutacja?

— Pewnie tak. Wokół Minervy rosło ich całe mnóstwo, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił, że widział jak któreś z nich chodzi. – Wsunęła pistolet za pas. – Zanim pójdziemy, powinniśmy wziąć z niego próbkę, ale poczekajmy jeszcze chwilę. Wolę się upewnić, że jest zupełnie martwe, zanim się do niego zbliżę.

— Jak sobie życzysz.

Podeszli na skraj placu, Jan rozglądała się dokoła ze zmarszczonymi brwiami. Potem jej twarz się rozpogodziła. – Chyba już wiem, gdzie jesteśmy – powiedziała do Robina. – Znajdujemy się w północnej części placu. – Odwróciła się i wskazała porośnięte grzybem ruiny jakiegoś dużego budynku. – To musiał być ratusz. Widziałam, jak w niego trafili. – Znowu popatrzyła na plac. – A tam... – skinęła w stronę jednego z dużych lejów w ziemi – tam znajdowało się podium... na którym Przywódczynie, a wśród nich moja matka, czekały, żeby złożyć oficjalny hołd *Władcy Panglothowi* w dniu składania haraczu. W podium też trafili. Tamtego dnia. Nigdy już nie zobaczyłam matki... – Głos jej zadrżał. Robin wziął ją w ramiona.

— Nie myśl o tym, jeśli tak bardzo cię to rani.

Oparła się o niego.

— Nie, potrzebuję tego. Jestem to winna jej pamięci. I pamięci pozostałych. Alsy, Helen, Simona... nawet Marthy. – Marthy?

Jan lekko się uśmiechnęła.

— Martha była szympanaicą.



— Bliską przyjaciółką czy członkiem rodziny?

Mimo woli się roześmiała.

— Raczej czymś w rodzaju służącej. – Z lekkim poczuciem winy przypomniała sobie, jak często złościła się na Marthę. – Bogini Matko, wydaje się, że to już tak dawno... – Odsunęła się od Robina i znowu spojrzała na plac. Wskazała na jego przeciwną stronę. – A tam jest gospoda, czy raczej to co z niej zostało. Siedziałam na dachu w dniu, kiedy... to się stało. Gdy wystrzeliliśmy na próżno nasze pociski we *Władcę Panglotha*, zaczęły padać bomby. Widziałam, jak jedna z nich trafiła w sam dach gospody, a potem wpadłam do środka przez dziurę, jaką wybiła... – Wskazała w innym kierunku. – A tamta wyrwa... tam stała świątynia Bogini Matki. Była cała zbudowana z drzewa... świętego drzewa... więc pewnie spaliła się zupełnie. – Westchnęła, wzięła Robina za rękę i poprowadziła ulicą. Wszędzie panowała upiorna cisza, grzyby porastające ruiny zbombardowanego miasta tłumili odgłos ich kroków. Nie było żadnych ptaków ani owadów.

— Dokąd idziemy? – spytał.

— Taka mała pielgrzymka, zaraz zbierzemy próbki i będziemy wracać.

Ku zdumieniu Jan jej dom, pokryty welonem grzybów, ciągle stał i wydawał się nietknięty, mimo że prawie wszystkie w sąsiedztwie zostały zrównane z ziemią. Za pomocą swojej broni spaliła warstwę grzyba, pokrywającą drzwi frontowe. Oboje musieli zatkać nosy od odoru spalenizny. Odsłonięte drewno okazało się przegniłe i ustąpiło pod pierwszym kopnięciem. Jan ostrożnie weszła do wnętrza. – Uważaj, to wszystko może się nam zawalić na głowy – ostrzegł Robin, podążając za nią.

— Wiem – odparła. – Dlaczego nie zaczekasz na zewnątrz? To

nie potrwa długo.

— Zostanę z tobą.

— Dzięki – powiedziała z wdzięcznością. Wolno przechodziła z pokoju do pokoju. Salon, pokój matki, jej pokój... kuchnia. Rankiem w dniu ataku *Władcy Panglotha* pokłóciła się ze swoją matką Melissą, kiedy ta dała jej niewielką bombę i powiedziała, że jeśli atak na Władcę Niebios się nie powiedzie, Jan ma się poddać żołnierzom. „Nie jesteś moją matką”, powiedziała w końcu Jan i Melissa wymierzyła jej policzek. To były właściwie ostatnie słowa, jakie zamieniły ze sobą. Jan nigdy nie miała okazji przeprosić. Dopiero dzisiaj, w tym wilgotnym pokoju o meblach pokrytych warstwą grzyba, powiedziała łagodnie: – Melisso... mamoo... tak mi przykro...

Jan wdrapała się do *Maskotki*, żeby zabrać zestaw do pobierania próbek. Ze zdumieniem spostrzegła, że Robin przyszedł za nią. Odwróciła się, kiedy się przeciskał przez właz.

— Co ty wyprawiasz? Powiedziałam, że przyniosę sprzęt. Usiadł obok niej na fotelu pilota. Mimo że kabina została powiększona, żeby pomieścić ich oboje, nadal było w niej dość ciasno. – Daj sobie spokój ze sprzętem. Mamy coś ważniejszego do zrobienia.

— Tak? A co takiego?

— To – odpowiedział, wziął ją w ramiona i zaczął całować, jak się wydawało, z prawdziwą namiętnością. Jan była zupełnie zaskoczona, ale już po chwili otrząsnęła się ze zdumienia i odwzajemniła pieszczoty. Kiedy namiętnie tulili się do siebie, spotkała ją kolejna przyjemna niespodzianka. Odsunęła się od niego.

— Robin! Ty... ty masz...!

Uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

— Właśnie. Nie wiem tylko, jak długo potrwa, więc lepiej tego nie zmarnujemy...

Z trudem rozebrali się w ciasnym pomieszczeniu i w pośpiechu zaczęli się kochać. Po szczytowaniu Robin nagle dostał kolejnej erekcji. Kochali się więc znowu, tym razem o wiele spokojniej. Jan pomyślała, że to najlepszy stosunek, jaki kiedykolwiek miała. Z mężczyzną. – Witaj w domu – wyszeptała później, kiedy spleceni ze sobą, leżeli wyczerpani na fotelu.

Następnie wzięli ekwipunek i zaczęli zbierać próbki wszystkich gatunków, które udało się im znaleźć. Drzewo batowe zostawili na ostatek. Jan podeszła do niego ostrożnie, spaliwszy uprzednio laserem wszystkie widoczne macki, podczas gdy Robin stał w tyle, gotów otworzyć ogień, gdyby wykonało najmniejszy ruch. Ale nawet kiedy wbiła w zwęglony pień świder do pobierania próbek, nie wzbudziło to nawet najsłabszej reakcji, cienia odruchu. Drzewo było zupełnie martwe.

Jan poczuła ulgę, kiedy w końcu *Maskotka* wystartowała z placu. Czowała się w jakiś sposób wyzwolona, jakby zdjęto jej z ramion ciężar, który od lat ją przygniatał.

— Do widzenia – powiedziała, kiedy Minerva zniknęła w oddali. *Maskotka* mknęła na południe w poszukiwaniu Anioła Niebios znajdującego się gdzieś w Ameryce Południowej. Lecieli dopiero od kilku minut, kiedy maszyna zameldowała: – Mam coś na radarze. Duży obiekt latający sto trzydzieści kilometrów na południowy wschód. Sterowiec.

Jan spojrzała na Robina.

— Władca Niebios – powiedziała.

— Ale przecież sama oczyściłaś z nich Amerykę Północną.

— Tak. Więc to musi być Ashley. Lepiej rzućmy na nią okiem.

— Proszę o pozwolenie wejścia na mostek, kapitanie

Wiuszkow. Kapitan odwrócił się w fotelu i skinął głową. – Oczywiście, bracie Jamesie.

Milo wpłynął przez właz na mostek, okolony jarzącymi się monitorami. Pochyliło się nad nimi paru mężczyzn i kobieta. Chwytając się lin przyczepionych do sufitu Milo przedostał się do miejsca, gdzie stał Wiuszkow i jego drugi pilot.

— Wszystko zgodnie z planem? – spytał.

— Idealnie – odparł Wiuszkow. – Program lotu, którym się posługujemy, choć starożytny, jest równie aktualny dzisiaj, jak wtedy, kiedy loty z Karagangi na Ziemię były rutyną. Milo wyjrzał przez iluminator. Ziemia wypełniała go niemal całkowicie. Wracam do domu, pomyślał. Po tych wszystkich latach nareszcie wracam do domu.

— Jak się miewa ojciec Shaw? – zapytał Wiuszkow. – Bez zmian, niestety. Próbuję go przekonać, żeby wziął coś na uspokojenie, ale odmawia.

— Nigdy nie widziałem kogoś tak przestraszonego.

— To z powodu nieważkości. Nie potrafi się przystosować. To samo było podczas podróży z Belvedere. Kiedy znajdziemy się na Ziemi, powinien przyjść do siebie.

— Wiem, że to zabrzmiało dziwnie – powiedział kapitan – ale odniosłem wrażenie, że on się brata boi.

— Zabawny pomysł – roześmiał się Milo. – Ale bezpodstawny. Nie lubi mnie, prawda, ale nie ma powodu się mnie bać.

Wiuszkow odwrócił się i popatrzył na niego.

— Naprawdę?

Milo uśmiechnął się.

— Myślał pan o tym, o czym rozmawialiśmy? – zapytał. – Nie tutaj – odparł szybko kapitan, wskazując na siedzącego obok pilota.

Milo schylił się i wskazał ręką mającą w oddali Ziemię. Przyłożył usta do ucha Wiuszkowa i wyszeptał: – Pewnego dnia, mój synu, to wszystko będzie twoje.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Plamka widoczna na ekranie monitora szybko urosła we Władcę Niebios. Jan rozpoznała go bez trudu.

— *Pachnący Wietrzyk* – powiedziała kwaśno. Odezwały się najsmutniejsze wspomnienia. Władca Horado. Uwięzienie jej ukochanej Ceri na japońskim statku. Po tym doświadczeniu Ceri już nigdy nie przyszła do siebie. – Nawiąż kontakt radiowy, jeśli się da – poleciała *Maskotce*. – Tymczasem krąż wokół sterowca.

— Myślisz, że na pokładzie są jacyś ludzie? – zapytał Robin.

— Wątpię. Ashley zawsze pozbywała się ludzkiego ładunku. Może z wyjątkiem *Władcy Montcalma*. Ale lepiej się upewnić, zanim zaczniemy jakiegokolwiek działania przeciwko niemu. – Uzyskałam kontakt głosowy, Jan – poinformowała *Maskotka*.

— Przełączę na głośniki.

W kabinie rozległ się znajomy głos.

— Halo, halo? Kim jesteście? Dlaczego mnie okrążacie? Odpowiedzcie, albo was zestrzelę. Wiecie, że mogę to zrobić!

Jan westchnęła. Przeróżająca kopia dziewczynki, nieżyjącej od stuleci.

— Witaj, Ashley, jak się masz?

Na chwilę zapadła cisza.

— Kto mówi? Znam twój głos!

— Mówi Jan, Ashley. Pamiętasz mnie?

— Jan! – wykrzyknął głos. – Pewnie, że pamiętam! Wspaniale! Przybyliście, żeby mnie odwiedzić?

Zerknęła na Robina. Ashley naprawdę się ucieszyła. Jan musiała sobie przypomnieć, że nie jest to ta sama Ashley, która porzuciła ją i Robina na obszarze dotkniętym zarazą.

— Tak, chciałam się z tobą spotkać. Jak się czujesz? – Pytanie zabrzmiało absurdalnie w jej własnych uszach.

— Och, całkiem nieźle. Tylko trochę znudzona. I samotna. Nie mogę rozmawiać z innymi Ashley przez radio. Nie mam pojęcia, dlaczego. Więc jestem tu tylko z Carlem, a sama wiesz, jaki on jest zabawny.

— Nie masz na pokładzie żadnych ludzi? – Omal nie powiedziała „prawdziwych ludzi”.

— Nie, już dawno wyrzuciłam ich za burtę. Byli tacy nudni i sprawiali same kłopoty.

— Wyłącz mikrofon, Maskotko – poleciła Jan. Popatrzyła na Robina. – Myślę, że lepiej będzie ją zniszczyć. W tej chwili wydaje się normalna, ale to prawdopodobnie chwilowa poprawa. Nie możemy zostawić jej z tym całym uzbrojeniem... – Robin kiwnął głową na znak zgody.

— Jan? Jan? Jesteś tam jeszcze? – dopytywała się Ashley. Jan kazała *Maskotce* z powrotem włączyć mikrofon. – Tak, jestem. Idę do ciebie.

— To fantastycznie!

*Maskotka* przerwała okrążanie *Pachnącego Wietrzyka* i zaczęła się do niego zbliżać.

— Celuj w sterownię – poinstruowała ją Jan. – Podejdź tak blisko, jak to możliwe, zanim otworzysz ogień, żeby nie zdążyła użyć laserów.

*Maskotka* zwiększyła prędkość.

— Hej, Jan, co ty wyprawiasz? Nie masz zamiaru wylądować na wierzchu kadłuba?

Jan nie odpowiedziała. *Maskotka* mknęła jak błyskawica w kierunku sterowni, niewielkiego przezroczystego pęcherzyka pod olbrzymim dziobem sterowca. Pęcherzyk zrobił się większy. Wtedy *Maskotka* wystrzeliła pocisk.

— Jan? Co ty...?

Pocisk dotarł do celu i eksplodował. Sterownia i duża część kadłuba przylegająca do niej zniknęły. Ashley zamilkła. *Pachnący Wietrzyk*, pozbawiony kontroli, zaczął tracić wysokość. Sterowiec gwałtownie przechylił się na sterburtę. – Równie dobrze możemy to skończyć – powiedziała Jan. *Maskotka* przeleciała wzdłuż statku jeszcze raz, odpalając serię rakiet w jego kadłub. Sterowiec zadrżał, kiedy rozdarły go eksplozje. Potem wybuchła komora z wodorem. Jan, obserwując jak ogień szybko rozprzestrzenia się po statku, zdała sobie sprawę, że właśnie dopełniła drugiego aktu ekspiacji tego dnia.

JeanPaul napił się z kubka przez słomkę. Westchnął i zamknął oczy. Ayla przyglądała mu się zmartwiona. Jego twarz robiła się coraz bledsza i bardziej wynędzniała.

— Dalej cię boli? – zapytała.

Otworzył oczy.

— Nie, teraz nie tak bardzo – odpowiedział słabym głosem. – Działa jeszcze ostatni zastrzyk. Gorsze jest to swędzenie pod gipsem. – Opatrunek sięgał mu od szyi do bioder. – Całe szczęście, że czuję je tylko odtąd w górę. – Dotknął mostka. Od tego miejsca aż do stóp był sparaliżowany. – No i dzięki temu nie czuję też tego przekłętego katetera. – Uśmiechnął się do niej z wysiłkiem. Odpowiedziała mu równie napiętym uśmiechem. Cierpiała, widząc go w takim stanie. – Przybysze będą tu już niedługo – powiedziała. – Jestem pewna, że tato ma rację. Wiedzą o medycynie dużo więcej od nas. Pomogą ci.



— Tak, z pewnością.

— Naprawdę tak myślę.

Wziął ją za rękę.

— Wiem, że tak, kochanie. Ale mimo tego, co mi wszyscy powtarzacie: ty, doktor i Lon, doskonale zdaję sobie sprawę z tego, w jak ciężkim jestem stanie. To nie żaden „przejściowy” paraliż, a moje życie ciągle jeszcze wisi na włosku. Widzę, w jaki sposób patrzy na mnie doktor... i Lon. Ci przybysze musieliby być cudotwórcami, żeby mi pomóc.

— Czy w moich oczach też to widzisz? To samo, co w oczach Stevena i taty?

— Nie. Tylko wiarę i miłość. Kochasz mnie o wiele za bardzo, żeby dostrzec rzeczywistość.

— Bo ja wierzę, JeanPaul. Przeżyjesz, a oni cię wyleczą. – Mam nadzieję. Ale muszę być z tobą szczerzy, Aylo. Jeśli nie będą w stanie nic zrobić, nie chcę żyć... w taki sposób. – Nie mów tak! – zaprotestowała gorąco. – Nie mów jak... jak tchórz!

— Tchórz? – powtórzył, uśmiechając się blado. – Tak, myślę, że masz rację, skoro nie chcę spędzić tak życia: bezradny i beзуyteczny. I wiedzieć, że nigdy nie będę się z tobą kochał, Aylo... Po prostu nic potrafię się z tym pogodzić, więc chyba jestem tchórzem. Oczy paliły ją od łez.

— Przestań, proszę.

— Przepraszam. Pomówmy o czymś innym. O czymkolwiek innym. Na przykład o naszych wodnych przyjaciółach. Pokazali się znowu?

Ocierając oczy wierzchem dłoni, odpowiedziała: – Tak. Zeszłej nocy. Cała grupa przedarła się przez zewnętrzne ogrodzenie i napadła na zagrody dla ryb. Zjedli sporo ryb i narobili szkód. Odkryliśmy to dopiero dzisiaj rano. Juli z oddziałem myśliwych

ruszyła za nimi. Nie wiem, jak im poszło. Nie wiem nawet, czy już wrócili.

— Niedobrze mi to wygląda – powiedział. Zauważyła, że głos mu słabnie.

— Masz rację. Może przybysze w tym też nam pomogą.

— Wiążecie z nimi wielkie nadzieje.

— Wiem. Zaczynam mówić jak tato. Ale naprawdę potrzebujemy pomocy. Zbyt wiele klęsk spotkało nas ostatnio. Jeśli nie dostaniemy pomocy z zewnątrz, Palmyra nie przetrwa nawet dziesięciu lat. Zamknął oczy i już myślała, że zasnę!, kiedy, nie otwierając oczu, odezwał się znowu: – A co... z moimi ludźmi? Już zostali wygnani? – Tak – odpowiedziała. – Dzisiaj o świcie. Zostali eskortowani do granicy. Dostali zapasy, wodę i parę karabinów, powiedziano im, gdzie mogą znaleźć zakopaną amunicję i odstawiono za bramę. Kawałek dalej wzdłuż wybrzeża jest parę miejsc nie zajętych przez zarazę; mają szansę tam dotrzeć.

— Na pewno – powiedział JeanPaul tonem, który sugerował, że wcale w to nie wierzy.

— Problem polega na tym... – zaczęła Ayla niechętnie – że wygnali wszystkich twoich ludzi. Nie tylko buntowników, ale i tych, którzy w niczym nie brali udziału.

JeanPaul otworzył oczy.

— Wszystkich?

— Obawiam się, że tak. Z wyjątkiem pięciu, którzy leżą w szpitalu. Lyle nie chciał tego robić, ale w przeciwnym razie mogło dojść do zamieszek.

— Cholera.

Kapitan Wiuszkow wysunął się na korytarz. Wyglądał na rozzłoszczonego.

— Co się zdarzyło tak ważnego, że wezwał mnie brat tutaj? – zapytał. – Za dwanaście minut wchodzimy w atmosferę ziemską i powinienem być na mostku.

— Proszę o wybaczenie, kapitanie – odparł brat James – ale to ważne. I sądziłem, że pan pierwszy powinien się o tym dowiedzieć... – Otworzył drzwi łazienki. Kapitan zajrzał do środka. We wnętrzu unosił się ojciec Shaw. Twarz miał zupełnie siną. Wiuszkow odwrócił się do zakonnika.

— On nie żyje.

— Właśnie. Jakies dziesięć minut temu powiedział, że źle się czuje. Jak pan wie, niepokoiłem się o stan jego zdrowia, więc poszedłem za nim, żeby się przekonać, czy wszystko w porządku. I tak go znalazłem. – Jak brat myśli, co było przyczyną śmierci?

Brat James wzruszył ramionami.

— Nie mogę powiedzieć na pewno, dopóki nie przeprowadzę sekcji. Podejrzewam atak serca. Podróż była dla niego bardzo stresująca.

Wiuszkow jeszcze raz spojrział na ciało. Ojciec Shaw miał rozpięte ubranie, a w powietrzu unosił się odór ekskrementów. Najwyraźniej zakonnik nie zdążył przed śmiercią skorzystać z toalety. Sądząc po kolorze twarzy ojca Wiuszkow podejrzewałby raczej, że się udusił, a po wyrazie przerażenia na jego obliczu – że śmierć nie nadeszła zbyt szybko.

Zastanawiał się, dlaczego brat James go zamordował. Głośno powiedział: – Na razie musimy go tutaj zostawić. Niech go brat przywiąże. Nie chcę, żeby się obijał podczas lądowania. Powiem, że toaleta jest nieczynna.

— Tak jest, kapitanie. I, oczywiście, wyśle pan wiadomość ojcom z Belvedere o nieszczęśliwym zgonie ojca Shawa? – To będzie musiało poczekać, dopóki nie wylądujemy. – Wiuszkow

odwrócił się, żeby odejść.

— Jeszcze jedno, kapitanie. Skoro jesteśmy sami... chciałbym spytać, czy zdecydował się pan iść za moją radą? Wiuszkow zmarszczył brwi.

— Poważnie się nad nią zastanawiam. Wszystko zależy od tego, jak będzie wyglądać sytuacja na Ziemi. – Odwrócił się i szybko odpłynął korytarzem.

Nucąc radośnie pod nosem, Milo wykonał polecenie i przywiązał ojca Shawa do umywalki. Poklepał trupa po głowie i wyszedł zasuważąc za sobą drzwi. Wrócił do głównej kabiny, którą wypełniał szmer przyciszonych, ale pełnych podniecenia rozmów. Ludzie Wiuszkowa byli podekscytowani, trochę niepewni, co ich czeka na macierzystej planecie, którą aż do niedawna przedstawiano im jako krainę śmierci, ale przede wszystkim pełni zapału, żeby się sprawdzić jako żołnierze. Milo wiedział, co czują. Przeszedł między siedzeniami, aż dotarł do swojego, wsunął się w uprzęż i leżał, nieważki i spokojny. Był pewien, że Wiuszkow go posłucha.

Dla rozrywki przypominał sobie ostatnie chwile ojca Shawa... wyraz jego oczu, gdy Milo otworzył drzwi do łazienki... i to, jak wyszły mu na wierzch, kiedy jedną ręką zacisnął mu nozdrza, a drugą zatkał usta. Zakonnik walczył przez ponad dwie minuty. Milo trzymał go przez dwie kolejne, na wszelki wypadek. „Słodkich snów”, wyszeptał, puszczając go w końcu.

Zaczęła się seria szarpnięć. Z początku łagodne, stawały się z czasem coraz gwałtowniejsze, kiedy Christina zahaczała o zewnętrzną warstwę ziemskiej atmosfery. Milo uśmiechnął się do siebie w oczekiwaniu.

Kałamarnica rzucała się dziko w żelaznym uścisku chwytników *Maskotki*. Czarny atrament zmącił wodę wokoło, ale

czujnikom maszyny nie robiło to różnicy. Jan rozkazała jej wbić sondę i pobrać próbkę. Kałamarnica zaczęła się szamotać jeszcze gwałtowniej. Kiedy chwytник ją puścił, pomknęła przed siebie jak błyskawica. Od głowy do końców ramion mierzyła około sześciu metrów. Z atramentem zaczęła się teraz mieszać krew.

— Ohydztwo – powiedziała Jan.

— Racja – przyznał Robin. – Właśnie dlatego zabijanie ich sprawiało mi taką przyjemność.

— W porządku, zebraliśmy już próbki sześciu zmutowanych gatunków. Ty jesteś specjalistą od kałamarnic – ile nam jeszcze zostało? Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Znam tylko gatunki, które występują w wodach wokół Antarktyki. Tutaj, w Pacyfiku, jest inaczej. Z pewnością jest ich o wiele więcej... hej! – Maszyną coś potrząsnęło, potem wszystkie monitory pociemniały. – Co się dzieje, Maskotko?

*Maskotka* milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała: – Wygląda na to, że zostaliśmy pożarci przez jakiś wodny organizm. Bardzo duży organizm.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Duszę Lona Haddona ogarnęło uniesienie. Czy raczej – ponieważ twierdził, że nie posiada duszy – przeniknęła go do głębi czysta radość, kiedy patrzył na prom kosmiczny zbliżający się do lądowiska. Nie było to widowisko tak przerażające jak widok Władcy Niebios krążącego nad głową na małej wysokości, bo w porównaniu ze sterowcem prom wydawał się niewielki. I jeśli Haddon czuł się poruszony, to dlatego, że statek symbolizował dla niego nadzieję na przyszłość, był namacalnym, funkcjonującym dowodem technicznych możliwości rodzaju ludzkiego.

Srebrzysty opływowy kształt zbliżył się jeszcze bardziej. Haddon poczuł mrowienie na skórze, włosy zjeżyły mu się na głowie. Zorientował się, że to reakcja na niezwykle silne pole elektromagnetyczne otaczające statek. Powietrze wypełniło niskie brzęczenie. Lon domyślał się, że jedno i drugie zostało wywołane przez system napędowy promu.

Statek zatoczył krąg nad lądowiskiem, a potem wolno osiadł, bez żadnego widocznego wstrząsu. Całuje Matkę Ziemię jak odzyskaną kochankę, pomyślał Haddon w rozmarzeniu. Brzęczenie umilkło. Haddon podniósł ręce i ludzie otaczający lądowisko zaczęli wiwatować. Równocześnie palmyrska orkiestra, złożona z najróżniejszych przypadkowych instrumentów – nie wspominając już o muzykach – rozpoczęła utwór skomponowany specjalnie na tę okazję. Okrzyki nie milkły

nawet na chwilę.

Milo, stojący na mostku obok kapitana Wiuszkowa, wyjrzał przez iluminator.

— Interesujące – mruknął. Mieszkańcy Palmyry, przystojni, o oliwkowej skórze, stanowili mieszanekę wielu ras: białej, orientalnej, azjatyckiej i rasy spotykanej na wyspach Pacyfiku. – Cóż, rzeczywiście wyglądają na zdrowych, prawda?

— Prawda, tyle tylko, że ubiorem przypominają dzikusów – odparł Wiuszkow z dezaprobatą. – Mężczyźni noszą spódnice jak kobiety. I niech pan spojrzysz, nawet kobiety paradują rozebrane do połowy. – Widzę – odparł Milo, żałując odrobinę, że ojciec Shaw nie dożył widoku takiego zepsucia. Zauważył, że nie wszyscy są ubrani tak samo. Dostrzegł w tłumie wiele osób w szortach albo spodniach, niektórzy mieli na sobie podkoszulki...

Wiuszkow wziął hełm.

— Cóż, chodźmy więc i powitajmy naszych gospodarzy, póki jeszcze nimi są. – Włożył hełm na głowę i uszczelnił go. – Jutro o tej porze – dodał już przez mikrofon – będą naszymi poddanymi. W skład grupy, z Milem włącznie, wchodziło czterech mężczyzn. Żaden nie miał broni. Kiedy wynurzyli się przez śluzę, okrzyki zgromadzonych – jeśli to możliwe – jeszcze się wzmożyły. W przeciążonych słuchawkach Mila brzmiały jak huk fali rozbijającej się o brzeg. Chociaż Palmyrczyki wyraźnie mieli ochotę wybiec na spotkanie przybyszom z przestrzeni kosmicznej, nie zrobili tego, ostrzeżeni, że zbliżanie się do kadłuba statku bez odzieży ochronnej będzie niebezpieczne jeszcze przez kilkanaście godzin.

Milo stanął i podniósł głowę do góry. Znowu, po tylu stuleciach, widzi błękitne niebo! Miał wielką ochotę zdjąć hełm i nabrać w płuca świeżego powietrza, ale Wiuszkow nalegał, żeby

gruntownie przebadac środowisko, zanim wystawia się na jego bezpośrednie oddziaływanie. Milo pochwalał tę ostrożność. Palmyrczycy prawdopodobnie wykształcili w sobie odporność na wiele zmodyfikowanych mikroorganizmów, dla przybyszów spoza Ziemi mogły się one jednak okazać zabójcze. Ruszył za pozostałymi. Czuł się nieco ociężały, ale było to zrozumiałe. Grawitacja w osiedlu, wytwarzana na zasadzie siły odśrodkowej, była zawsze nieco słabsza niż przyciąganie ziemskie. Wiedząc, że siła ciężenia na Ziemi będzie większa niż ta, do której przywykli, Wiuszkow i jego ludzie przeszli specjalny trening. Kiedy dołączył do pozostałej trójki, zobaczył, że od tłumu odrywa się delegacja złożona z sześciu mężczyzn i zmierza w ich kierunku. Wszyscy mieli złote łańcuchy, z których zwisały złote sześcioramienne gwiazdy i – jak się Milo domyślił – reprezentowali rząd Palmyry. Wyglądają na równie uradowanych naszym widokiem jak pozostali, pomyślał z zachwytem. Widzą w nas zbawców. Co za niespodzianka spotka ich jutro!

— Powiedziałaś, że nas coś połknęło? – wykrzyknęła Jan, nie wierząc własnym uszom.

— Zgadza się – odparła *Maskotka*.

Jan spojrzała na Robina i bezradnie wzruszyła ramionami. – Zostaliśmy połknięci – powiedziała i wybuchnęła śmiechem. Wydawało się to takie zabawne. Robin uśmiechnął się również. – Co mogło być dostatecznie duże, żeby nas pochłonąć? – spytał.

— Może jakiś gigantyczny wieloryb... chociaż nie, one wymarły całe wieki temu – śmiała się coraz bardziej, nie przestała nawet wtedy, kiedy dziób *Maskotki* poderwał się nagle do góry. Robin jej wtórował.

— Poruszamy się w tył i równocześnie opadamy – poinformowała *Maskotka*.



— Pewnie mu nie smakujemy i postanowił się nas pozbyć – wysapała Jan między kolejnymi wybuchami śmiechu. – Wlecimy jednym końcem... wylecimy drugim!

— Jeszcze go od tego rozboli brzuch – dodał Robin, co na nowo rozśmieszyło Jan.

— Uwaga – powiedziała *Maskotka* – odbieram słaby sygnał od Phebus. Muszę podplłynąć pod powierzchnię, żeby nawiązać pełny kontakt radiowy.

— Powiedz Phebus, że jesteśmy umówieni gdzie indziej – poleciła Jan, ciągle się śmiejąc. – Jakiś stwór uznał, że stanowimy doskonałą przystawkę.

— Zamierzam podjąć działania w celu uwolnienia się z organizmu, który nas połknął. Sugeruję, żeby pobrać biopróbki, zanim wykonam odpowiednie manewry.

— Hej, kto tu właściwie rządzi? – spytała Jan, poważniejąc.

— Phebus.

Również Robinowi przeszła ochota do śmiechu.

— Nie da się zaprzeczyć – potwierdził.

Rozbawienie Jan szybko zmieniło się w irytację.

— W porządku, pobierz próbę i wynośmy się stąd. Kilka sekund później *Maskotka* zameldowała: – Biopróbka pobrana. Wylatujemy...

Maszyna ruszyła do przodu, z początku wolno, potem szybciej. Wstrząsy stawały się coraz silniejsze. Jan i Robin co chwilę zawisali na pasach, którymi byli przypięci do foteli.

— Cokolwiek nas połknęło, musi teraz gorzko tego żałować – powiedział Robin.

*Maskotka* zwolniła, potem zatrzymała się zupełnie, chociaż Jan słyszała, jak silniki pracują pełną mocą. Uderzyła ją myśl, że być może naprawdę znaleźli się w niebezpieczeństwie. Cała

przygoda przestała ją śmieszyć. Zawsze dotychczas uważała za oczywiste, że *Maskotka* jest niezawodna i posiada nieograniczone rezerwy mocy, ale teraz zaczęła w to wątpić. Mogą tutaj zginąć – cokolwiek owo „tutaj” znaczy...

— Niewielka przeszkoda – oznajmiła *Maskotka*. – Nie ma powodu do obaw.

Łatwo powiedzieć, pomyślała Jan, kiedy maszyna, stojąc na rufie, gwałtownie szarpała się w przód i w tył. Plastikowy pojemnik na kanapki i termos z kawą, które Jan trzymała pod swoim fotelem, zaczęły się toczyć po kabinie. Chwyła Robina za ramię. Potwór próbował usunąć *Maskotkę* ze swojego gardła czy też innej części ciała, w której utkwiała.

— Należy oczekiwać silnej eksplozji w niewielkiej odległości – poinformowała maszyna swoim irytująco spokojnym głosem. – Nie ma powodu do obaw.

Potem nastąpił niezwykle silny wstrząs. Jan usłyszała, jak jej zęby głośno stuknęły o siebie i poczuła w ustach smak krwi. Odgryzła sobie koniuszek języka.

— Hah! – krzyknęła, wypluwając go. Wtedy usłyszała wybuch, tak blisko, że maszyna zadrżała, jakby uderzona ogromnym młotem. Jan poczuła ostry ból w uszach i na chwilę zapomniała o ranie. *Maskotka* skoczyła do przodu. Cokolwiek przesłaniało dotąd czujniki, zostało usunięte, bo na monitorach znowu pojawił się obraz, chociaż Jan trudno byłoby powiedzieć, co widzi – skłębione czarne i szare chmury.

— Wydostaliśmy się! – oświadczyła *Maskotka*.

— S czeho? – Jan mówiła z trudnością, sprawiało jej to ból. – Przełasz na ohczyt soniczny, chse widzieś, so się dzieje!

*Maskotka* usłuchała natychmiast i na wszystkich monitorach, zamiast obrazu w świetle widzialnym, pojawiły się komputerowo

przetworzone obrazy z echosondy. Wyglądało, jakby maszyna unosiła się wśród poszarpanych strzępów mięsa. Jan zobaczyła jak jeden z nich, z ogromnym, patrzącym okiem w środku, przepływa przez ekran monitora.

— Patrz – powiedział Robin, wskazując inny monitor, pokazujący, co się dzieje za rufą. Gigantyczny, podobny do węża kształt, wijąc się i skręcając wolno pogrążał się w wodzie. Był tak wielki, że jego spodnia część znajdowała się poza zasięgiem sonaru i rozpływała we mgle. W przedniej części ciała zostały jedynie strzępy skóry, rozchylone niby płatki kwiatu. Fala poruszała nimi wolno w przód i w tył, kiedy stwór opadał w głąb. Żeby się uwolnić, *Maskotka* odstrzeliła mu głowę.

— Bohini Mahko, so ho jeht? – sapnęła Jan ze zdumienia, nie zważając, że krew cieknie jej po brodzie.

— Glista morska – odpowiedział Robin. – Nigdy nie widziałem aż tak wielkiej.

Jan przypomniała sobie, jak Ceri opowiadała, że kiedy jeszcze mieszkała w wodnym osiedlu, glisty stanowiły jedno z największych niebezpieczeństw. Mówiła, że były duże, ale... Przyglądała się z perwersyjną przyjemnością, jak wijące się szczątki wolno opadają w odmęty. Coraz więcej rzeczy wymykało się spod kontroli. – Boże! Co ci się stało? – wykrzyknął Robin. Spojrzała na niego. Przyglądał się jej, zaskoczony i przerażony. Dotknęła wilgotnego podbródka, potem popatrzyła na swoje palce. Były pokryte krwią. – F porządku – powiedziała. – Ohgryśłam sobie konies jęhyka... To tyhko tak śle wyhląda.

— Mam nadzieję. Bardzo krwawisz.

— Zbliżamy się do powierzchni – przerwała mu *Maskotka*. – Wkrótce nawiążę kontakt z Phebus.

Jan wypluła krew na papierowy ręcznik.

— Wynurz się sałkowisie – rozkazała. – Musimy wrócić na Anioła Niebios. Chyba potrzebuję pomocy medycznej.

*Maskotka* wznosiła się nadal. Natrafili na warstwę splątanych różowych wodorostów. Grube, podobne do lin pasma lepiły się do kadłuba. Zmutowane glony pokrywały obecnie wielkie połacie Atlantyku i Pacyfiku. Jan zapomniała już, w jakim celu zostały skonstruowane: czy była to nowa forma taniej żywności, przeznaczona dla Trzeciego Świata, czy też celowa akcja sabotażowa jakiejś korporacji przeciw rybnym farmom innej. Tak czy inaczej, w ostatnich czasach niezwykle się rozpleniły. Ich próbki zostały już dołączone do szybko powiększającego się zbioru.

*Maskotka* uwolniła się od nich i krążyła teraz jakieś sześć metrów nad różową powierzchnią morza. Jan przebiegła wzrokiem monitory. Na wschodzie dostrzegła potężny front burzowy. Czoło, złożone z ciemnych chmur, rozciągało się na niebie na całe mile. W mrocznej, skłębionej głębi przebiegła błyskawica. – Mam połączenie z Phebus – powiedziała *Maskotka*. Usłyszeli głos Phebus: – Macie natychmiast wrócić na Anioła Niebios. Sytuacja się zmieniła.

— I tak mieliśmy to zhobić – odparła Jan. – Miałam wypadek. Nis poważnego, gdybyś się niepokoiła.

Program nie odpowiedział.

— A co się nowego wydarzyło? – spytała Jan.

— Wykryłam prom kosmiczny wchodzący w atmosferę. Śledziłam go aż do miejsca lądowania na północno-wschodnim wybrzeżu Australii. Musimy tam lecieć.

W innych warunkach Ayla byłaby zachwycona widząc ojca w tak dobrym nastroju, ale w obecnej sytuacji, z Jean-Paulem chorym, nie mogła podzielać jego radości. Czuła się winna, bo

prosto z lądowiska pośpieszył do szpitala, a równocześnie rozdrażniona, bo obawiała się, że całe to zamieszanie może zaszkodzić rannemu. Nie potrafiła się jednak zdobyć na to, żeby powiedzieć o tym ojcu. Jeszcze nie... – ...spełnili moje największe nadzieje! – mówił, przechadzając się po pokoju tam i z powrotem. – Więcej niż spełnili. Obiecali udzielić nam wszelkiej możliwej pomocy: naukowej, technicznej... – zerknął na JeanPaula – medycznej.

— Rozmawiałeś już z nimi o JeanPaulu? – spytała Ayla. – Nie, kochanie, jeszcze nie... Nie miałem sposobności. Prawdę mówiąc, nie zagłębialiśmy się jeszcze w szczegóły. Mam nadzieję, że nadarzy się okazja dzisiaj wieczorem na bankiecie powitalnym. Wiem, że mają na pokładzie dwóch wykwalifikowanych lekarzy. Jeden to Karagańczyk, drugi jest zakonnikiem z Belvedere. – Skąd wiesz, że przyjdą na przyjęcie? Wydawało mi się, że mówiłeś coś o kwarantannie, którą sobie naznaczyli. – Tak, ale to tylko na krótko. Do czasu, kiedy przeanalizują nasze powietrze, glebę, różne pokarmy i próbki krwi, które im dostarczyliśmy. Jestem pewien, że to czysta formalność. Spójrz tylko na nas, jesteśmy wszyscy w doskonałym zdrowiu... – Drgnął, kiedy sobie uświadomił, co właśnie powiedział. – Och, Boże... przepraszam...

— Daj spokój, Lon – zaprotestował słabo JeanPaul. – Nic się nie stało.

Ayla pogładziła go po czole.

— Boją się, żeby się od nas czymś nie zarazić? – spytała.

— No cóż, tak, ale trudno im się dziwić, że czują obawę.

— A co z nami? Jeśli to my się od nich zarazimy?

Skrzywił się.

— Poważnie w to wątpię, moja droga. Oni żyją we względnie sterylnych warunkach.

— Ilu ich jest? – zapytał JeanPaul.

— Dzisiaj po południu spotkaliśmy się tylko z czterema, ale kapitan Wiuszkow, dowódca, mówił, że w skład załogi wchodzi dwadzieścia dziewięć osób. Było ich trzydzieścioro, ale niestety jeden z zakonników z Belvedere umarł podczas podróży. Atak serca. Serce Ayli skurczyło się na tę nowinę. Nie świadczyło to dobrze o poziomie medycyny na Belvedere, tym bardziej że towarzysz zmarłego był lekarzem. Może Karagańczycy okażą się bardziej zaawansowani w tej dziedzinie. W każdym razie miała taką nadzieję. – Jak duży jest ich statek? – spytał znowu JeanPaul. – Jak duży? – powtórzył Lon, zdziwiony. – No cóż, całkiem spory. Długi na ponad pięćdziesiąt metrów, jak sędzę. Zwykle używają ich do podróży do kolonii na Marsie. Dlaczego pytasz? – Ze zwykłej ciekawości. – JeanPaul zamknął oczy.

— Tato, męczysz go – powiedziała Ayla z wymówką. – Przepraszam. Lepiej już pójdę. Zobaczę, jak tam przygotowania do bankietu w Wielkiej Sali.

Ayla odprowadziła go do drzwi.

— Cieszę się, że wszystko poszło tak, jak chciałeś – powiedziała do niego cicho.

— Ja również, kochanie, ja również. Przyjdiesz wieczorem na uroczystości?

Obejrzała się na JeanPaula. – Nie chciałabym go zostawiać samego... ale może później wpadnę.

— Sprawisz mi wielką przyjemność – powiedział. Pocałował ją w policzek i wyszedł.

Do czasu, kiedy Ayla przyszła wreszcie do Wielkiej Sali, oficjalne ceremonie powitalne i sam bankiet już się zakończyły. Ludzie przechadzali się wokół w małych grupkach, z drinkami w dłoniach, i rozmawiali z ożywieniem. Zauważyła, że w centrum

każdej grupki Palmyrczyków stoi postać w wyróżniającym się, obcisłym czarnożółtym uniformie, z pewnością jeden z gości. Rozejrzała się po sali, próbując odnaleźć w tłumie ojca; wreszcie dostrzegła go w odległym kącie, stojącego przy głównym stole w większej grupce ludzi. Przecisnęła się do niego. Był w towarzystwie Lyle'a Weavera i rozmawiał z krępy przybyszem, który, sądząc po bogatym uniformie, musiał być dowódcą. Zwrócenie na siebie uwagi ojca kosztowało ją trochę wysiłku. Kiedy ją wreszcie dostrzegł, uśmiechnął się szeroko i odłączył od rozbawionej grupki.

— Aylo, kochana, jak miło, że jednak przyszłaś! Chodź, musisz poznać kapitana Wiuszkowa, dowódcę ekspedycji z Karagangi. – Tato – powiedziała nagłaco – JeanPaul czuje się gorzej. Muszę porozmawiać z lekarzem. Chciałabym, żeby go obejrzał. Na twarzy Lona odmalowała się troska. – Lekarz z Karagangi wrócił już na statek. Ale jest tutaj medyk z Belvedere. Chodź... – wziął ją za rękę i pociągnął za sobą przez tłum. Przepchnęli się do głównego stołu.

— Bracie Jamesie, miło mi przedstawić moją córkę, Aylę... Siedzący przy stole łysy mężczyzna obrócił się na krześle. Był ubrany inaczej niż pozostali członkowie wyprawy, w biały dwuczęściowy garnitur z czerwonym krzyżem na lewej piersi. Zwróciła uwagę na jego oczy: jedno było błękitne, podczas gdy drugie – zielone. Jak dziwnie, pomyślała. Mężczyzna podniósł się z krzesła i wyciągnął do niej rękę.

— Bardzo mi przyjemnie cię poznać. Niezwykle przyjemnie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Milo ledwie mógł ukryć zachwyty. Wieczór okazał się niezwykle interesujący. Był bardzo zadowolony, że kapitan Wiuszkow włączył go do oficjalnej delegacji. Tym razem w jej skład wchodziło dwanaście osób i zgodnie z tym, co powiedzieli Palmyrczykom, na pokładzie powinno być siedemnaście. W rzeczywistości znajdowało się ich tam stu piętnastu, w większości żołnierzy. Z ulgą przyjął do wiadomości, że komputer po dokładnym przeanalizowaniu próbek zakwalifikował je jako czyste: w powietrzu i glebie znajdowało się wiele zarodników nieznanymi gatunków grzybów, ale nie przedstawiały one żadnego zagrożenia. Zarodniki odkryte w żywności zostały uznane za nieszkodliwe. Woda także nadawała się do picia.

— Może wystąpić łagodna reakcja na pewne gatunki bakterii nieznanymi na Karagandze, głównie zawarte w pożywieniu – powiedział lekarz – ale gwarantuję, że nie będzie to nic poważnego ani zagrażającego życiu.

Milowi całkowicie to wystarczyło. Gotów był zaryzykować o wiele więcej niż biegunkę w zamian za szansę odetchnięcia świeżym powietrzem i skorzystania z gościnności Palmyrczyków. A było z czego korzystać. Tak zwana Wielka Sala, gdzie odbywał się bankiet, została przystrojona długimi girlandami z palmowych liści. Na powitanie wystąpił zespół taneczny młodych kobiet o odsłoniętych piersiach. Obserwując taniec, polegający głównie na prowokującym kołysaniu biodrami, któremu



towarzyszyło głośne, rytmiczne bicie w bębny, Milo przypomniał sobie, że kiedyś widział już coś podobnego w odległej, zatartej przeszłości. Jeszcze jedno wspomnienie z wysp Pacyfiku, choć nie mógł sobie przypomnieć, o którą wyspę chodziło.

Przybysze z osiedla orbitalnego, posadzeni przy wielkim stole ustawionym na podwyższeniu u końca sali, w towarzystwie sześciu przywódców Palmyry, zostali podjęci prawdziwą ucztą. Złożyły się na nią ryby, pieczona wieprzowina i ziemniaki, papaje, pomidory, ananasy i inne owoce oraz gorący chleb, a na deser ciasteczka kokosowe przybrane gęstą śmietaną. Przez cały czas dbano, żeby w ich kubkach nie zabrakło bardzo dobrego, zimnego piwa, chociaż czerwone wino, którego spróbował Milo, okazało się gorzej niż przeciętne. Milo spędził dłuższy czas obliczając, jakie ceny mogłyby osiągnąć te specjały w osiedlach – z wyjątkiem Belvedere, gdzie zniesiono system monetarny – i koloniach na Marsie. Przydzielono mu miejsce między kapitanem Wiuszkowem i Palmyrczykiem o nazwisku Lon Haddon. Ten ostatni okazał się inteligentny, chociaż nadmiernie szczerzy i niebezpiecznie naiwny. Milo dowiedział się, że Haddon odegrał ważną rolę w kampanii, mającej na celu nawiązanie kontaktu z osiedlami pozaziemskimi. W starych archiwach komputerowych zachowały się współrzędne wszystkich czterech osiedli, więc kierowali swoje sygnały do każdego po kolei, mając nadzieję, że ktoś w nich przeżył. Milo dowiedział się również, jak to się stało, że dysponowali sprzętem nadawczym, podczas gdy cała elektronika została zniszczona podczas Wojen Genetycznych przez skonstruowane w tym celu bakterie i grzyby. Dzięki układowi z pewnym podwodnym plemieniem od lat otrzymywali urządzenia, które zachowały się w zatopionym japońskim osiedlu, położonym za Wielką Rafą. Skończyło się to dopiero

niedawno.

— I dlatego właśnie nie mogliście wybrać stosowniejszego momentu, żeby do nas przybyć – oświadczył Haddon. Milo uśmiechnął się i skinął głową, ale nie powiedział ani słowa. Po drugiej stronie Wiuszkowa siedział obecny przywódca Palmyrczyków, Lyle Weaver. W czasie posiłku Milo z zainteresowaniem przysłuchiwał się, jak opowiadał kapitanowi, w jaki sposób Palmyra broniła się przed jednym ze zbuntowanych sterowców, które zwano Władcami Niebios. Wiuszkow przejawiał wielkie zainteresowanie, szczególnie zaciekawili go urządzenia przeciwlotnicze. Kiedy posiłek dobiegł wreszcie końca, Lyle Weaver spytał Wiuszkowa, czyjego ludzie nie mieliby nic przeciwko temu, żeby zapoznać się osobiście z Palmyrczykami. Kapitan – uprzedziwszy Weavera, że nie wszyscy jego ludzie władają americano równie biegle – przekazał im jego prośbę. Zanim Milo zdążył się podnieść z krzesła, został zagadnięty przez młodego mężczyznę o okrągłej twarzy, w czarnej sutannie i białej koloratce, który przedstawił się jako ojciec John Baxter. Aczkolwiek wiedział, że brat James jest protestantem, zaprosił go do wzięcia udziału w uroczystym nabożeństwie dziękczynnym w palmyrskim kościele w najbliższą niedzielę. Wiedząc, że do tego czasu żaden Palmyrczyk nie będzie w nastroju do składania dziękczynnych modłów, Milo gorąco podziękował ojcu Baxterowi i zapewnił go, że z przyjemnością weźmie udział w uroczystości. Kapłan odszedł; wyglądał na zadowolonego. Milo starał się nie okazywać swojej radości. Od czasu, kiedy zabił ojca Shawa, nie bawił się tak dobrze. Usłyszał, jak Lon Haddon wymienia jego imię. – Bracie Jamesie, miło mi przedstawić moją córkę, Aylę... Milo odwrócił się i zobaczył obok Haddona dziewczynę o tak niezwykłej

urodzie, że był wprost oczarowany. W jej wypadku mieszanka ras doprowadziła do powstania prawdziwego genetycznego klejnotu, przynajmniej jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny. Duże oczy o orientalnym kształcie wywarły na nim szczególnie duże wrażenie, nie tak jednak wielkie, żeby nie zwrócił uwagi na resztę proporcjonalnie zbudowanego ciała. Jaka szkoda, pomyślał, że w przeciwieństwie do swoich rówieśniczek, zebranych na sali, ma na sobie koszulę. Wstając powiedział sobie, że zdobędzie ten skarb, wszystko jedno w jaki sposób. Wyciągnął rękę i zgodnie z prawdą powiedział, jak bardzo się cieszy, że ją poznał.

— JeanPaul, śpisz? – spytała cicho. Jego powieki zadrżały, potem się uniosły. Zwrócił do niej głowę. Na widok obcego u jej boku oczy mu się zwężyły. – JeanPaul, to jest brat James. Przybył z osiedla. Powiedział, że ci pomoże.

— Czy... czy jest jakaś nadzieja? – spytał JeanPaul z wahaniem.

— Tak, sądzę, że tak – łagodnie odpowiedział zakonnik.

Ayla zauważyła błysk w oczach JeanPaula.

— Potrafiłby pan złożyć mój kręgosłup... żebym odzyskała czucie?

Żebym znowu mógł chodzić?

— Niczego nie obiecuję. Powiem wprost: nie chcę w panu rozbudzać nadziei tylko po to, żeby pana zawieść. Rozmawiałem z tutejszym lekarzem i przeglądałem pańską kartę choroby. Ale aby ocenić rozległość obrażeń, jakich pan doznał, będę musiał przeprowadzić dokładniejsze badania. Nasze skanery są w stanie dostarczyć o wiele bardziej precyzyjnych informacji niż ten prymitywny aparat rentgenowski, który tutaj macie. Tymczasem mogę tylko uratować panu życie.

— Słucham?

— Przepraszam za bezpośredniość; doktor poinformował mnie, że stwierdził nagłe załamanie funkcji pańskich nerek. Nie wykazują reakcji na nieliczne dostępne tutaj leki. Ale mam na statku środek, który przywróci je do normalnego stanu w ciągu kilku godzin. Wrócę jutro i go panu zaaplikuję. Wtedy pomyślimy, co zrobić z obrażeniami kręgosłupa.

— Czy istnieje szansa, choćby bardzo mała, że będę jeszcze kiedyś chodził?

— Jak mówiłem, dopóki nie dysponuję wszystkimi wynikami, nie mogę nic powiedzieć na pewno, ale tak, uważam, że istnieje taka szansa.

Aylę zakłuło coś w piersi, kiedy zobaczyła, jak JeanPaulowi wilgotnieją oczy. Wyciągnął rękę do brata Jamesa, a ten mocno ją uścisnął.

— Dziękuję – wyszeptał chory. – Dziękuję.

Odwożąc brata Jamesa z powrotem do Wielkiej Sali, Ayla wysłuchiwała jego wykładu o problemach związanych z leczeniem urazów kręgosłupa.

— ...tak więc o ile nerwy obwodowe mogą się regenerować, komórki rdzenia kręgowego są do tego niezdolne. Kiedy zostają uszkodzone, w tym miejscu tworzy się tkanka bliznowata, która działa jak bariera dla impulsów. Już w końcu dwudziestego stulecia lekarze odnotowali pewne sukcesy w stymulowaniu uszkodzonych nerwów rdzeniowych do wzrostu, ominięcia zbliznowacenia i ponownego połączenia się. Problem polega na tym, że nigdy nie można mieć pewności, że połączą się ze sobą właściwe końce nerwów. Rdzeń składa się z ogromnej liczby włókien. Zidentyfikowanie każdego i połączenie go z jego przedłużeniem w trakcie operacji mikrochirurgicznej było bardzo skomplikowane. Chirurdzy rzadko osiągnęli pełny sukces.

Z czasem wynaleziono maszyny, które całą operację wykonywały automatycznie i pracowały ze stuprocentową skutecznością... – I wy macie taką maszynę?

Pokręcił głową.

— Niestety, nie. Wątpię, czy zachowała się choć jedna, w osiedlu albo w koloniach. Były nieskończenie skomplikowane; zbudowane z delikatnych elementów biomechanicznych. Nie dysponujemy już techniką, która pozwoliłaby je naprawić.

— Więc nie pomoże pan JeanPaulowi? – wykrzyknęła. – Och, sądzę że tak czy inaczej będę mu w stanie pomóc. Potrzebna będzie cała seria operacji, ale jestem pewien, że uda mi się prawidłowo scalić dostatecznie wiele włókien, żeby przywrócić mu przynajmniej główne funkcje motoryczne. Na przykład, będzie mógł chodzić. Niezbyt dobrze, należy zaznaczyć, ale będzie. Odzyska władzę nad funkcjami wydalniczymi i trawiennymi... i, jeśli wybaczysz, że poruszam te sprawy, jego zdolności seksualne również zostaną przywrócone.

Ayla uśmiechnęła się zmieszana. Zapomniała, że ma do czynienia z księdzem, czy kimś w tym rodzaju. I to z Belvedere. Z nielicznych wiadomości na temat życia w osiedlu, których udzielił jej ojciec wiedziała, że była to bardzo purytańska społeczność. Poruszenie tego tematu w rozmowie z kobietą prawdopodobnie wiele kosztowało brata Jamesa. Dziwny człowiek. Było w nim coś, co wzbudzało w niej instynktowną niechęć, ale czuła tak wielką wdzięczność za zbudzenie w JeanPaulu chęci do życia, że świadomie ją w sobie stłumiła. Zatrzymała samochód naprzeciw wejścia do Wielkiej Sali. – Dziękuję za wszystko, bracie Jamesie – powiedziała. Ujęła jego dłoń i mocno uścisnęła. Pod wpływem nagłego impulsu nachyliła się i pocałowała go w policzek. Ku jej rozbawieniu zerwał się jak

oparzony i wyskoczył z samochodu.

— Zobaczymy się jutro rano, panno Haddon – odrzekł i szybko wszedł do środka.

Milo leżał na swojej koi z zamkniętymi oczyma, z rękami założonymi pod głowę – uosobienie spokoju wśród ogólnego zamieszania. Wszędzie dokoła żołnierze przygotowywali się do akcji, przeglądając mundury, ekwipunek i uzbrojenie. Oni rozmyślali z podnieceniem o nadchodzącej akcji, Milo zaś – z nie mniejszym podnieceniem – o przyjemnościach, których dostarczy mu wkrótce młoda i piękna Ayla Haddon.

Erotyczne fantazje przerwał jakiś głos, wypowiadający jego imię. Milo otworzył oczy. W przejściu obok koi stał adiutant kapitana Wiuszkowa.

— Tak, o co chodzi? – spytał Milo.

— Kapitan prosi pana do swojej kabiny.

— Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, spuszczać nogi na podłogę. Oczekiwał tego wezwania. Całą noc kapitan spędził w towarzystwie swoich oficerów, planując ostatnie etapy ataku na Palmyrę. Adiutant wprowadził Mila do kabiny. Wiuszkow siedział przy biurku, na którym leżała rozłożona fotografia lotnicza osady. Kilka budynków oznaczono dużymi krzyżykami.

— Proszę siadać, bracie Jamesie – powiedział kapitan po wyjściu adiutanta. Nalał gościowi kieliszek wódki i podsunął po biurku w jego stronę. Sięgając po nią Milo zauważył, że twarz kapitana jest lekko zaczerwieniona i że najwyraźniej jest trochę (a może nawet bardziej niż trochę) pijany. Milo domyślił się, że mimo pozornej pewności siebie Wiuszkow się denerwuje. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie widział na oczy akcji wojskowej. Od ponad stu lat w Karagandze panował spokój, a w

czasach ostatniej rebelii kapitan musiał być jeszcze dzieckiem. Całe jego doświadczenie wojskowe pochodziło z zajęć w czołgach–symulatorach.

Milo pociągnął spory łyk wódki, odstawił kieliszek na biurko i uśmiechnął się do Wiuszkowa.

— Gotowi?

— Tak, bracie Jamesie. Zaczynamy o 4:00, tuż przez świtem. W godzinę powinno być po wszystkim. Oddziały naziemne wyruszą trzydzieści minut wcześniej, żeby zdążyły zająć pozycje wokół miasta, zanim uderzymy.

— Nieźle – powiedział Milo. – A potem, kiedy dym opadnie, ogłosi pan aneksję Palmyry przez Republikę Karagangi, tak? Wiuszkow skinął głową.

— Owszem, na pewien czas.

— Na pewien czas? – chytrze spytał Milo.

— W zależności od tego, jak się sprawy ułożą. Palmyra to prawdziwa kopalnia złota.

Milo uśmiechnął się.

— Być może pierwsza z wielu. Na Ziemi musi się znajdować więcej takich społeczności. Nawet jeśli inne nie są równie zaawansowane technicznie jak ta (Palmyrczycy mieli niezwykle szczęście), nie ma to większego znaczenia. Używając jej jako bazy, mógłby pan podbić całą planetę. Nie jest może w najlepszym stanie, ale chyba mógłbym wynaleźć środki i zlikwidować większą część skażenia genetycznego teraz, kiedy wiemy, że plagi już się skończyły. Nie muszę chyba dodawać, że posiadam bezcenną wiedzę w dziedzinie techniki genetycznej.

Wiuszkow wypił resztę wódki ze swego kieliszka, otarł usta i spojrzał badawczo na Mila.

— Kim pan właściwie jest, bracie Jamesie?

— Powinno panu wystarczyć, jeśli powiem, że pańskim przyjacielem i sojusznikiem, kapitanie Wiuszkow.

— Mam nadzieję, bo wyznaczyłem pana na mojego specjalnego doradcę.

— Dziękuję. Czuję się zaszczycony.

— Jednak jeśli będę miał cień podejrzenia, że nie stoi pan całkowicie po mojej stronie, może się pan uważać za martwego. – Proszę się nie obawiać, kapitanie. Jestem i zawsze pozostanę pańskim oddanym sługą. – Milo uśmiechnął się i podniósł kieliszek. Lon Haddon przebudził się z cudownego snu. Śniła mu się Glynis, matka Ayli. Spacerował z nią brzegiem morza, pod palmami. Słońce właśnie zachodziło. Glynis dzieliła jego triumf, jego zachwyty przybyszami i tym, co oznaczało ich przybycie. Przyszłość dla Palmyry. I Ayli.

— Jestem taka dumna z ciebie, Lon – powiedziała. – Jak dobrze, że wróciłaś. To cudownie mieć cię tu znowu. Bardzo za tobą tęskniłem, Glynis.

Jednak uczucie szczęścia nie trwało długo. Lon usłyszał wybuchy... odległe wołanie. Krzyki. Wyskakując z łóżka, w pierwszej chwili myślał, że to wygnani piraci z Władcy Niebios wrócili, żeby się zemścić na Palmyrze. Potem uświadomił sobie, że powietrze wypełnia niskie brzęczenie, poczuł mrowienie na skórze. Tylko nie to, pomyślał z przerażeniem. Nago wybiegł na werandę i spojrzał w górę. Jego obawy okazały się słuszne...

Nisko nad miastem, na tle wczesnoporanego nieba, unosił się statek przybyszów, Christina. Na oczach Haddona wystrzelił z niego promień. Nie był to laser – promień był szeroki i blady... przypominał rozedrgane powietrze. Haddon usłyszał wybuch. W centrum miasta, tam, gdzie trafił, pojawił się dym. Wtedy Haddon zauważył inne kolumny dymu, wznoszące się w różnych



punktach Palmyry. Na podstawie ich położenia łatwo było określić główne cele przybyszów. Ukrył twarz w dłoniach i opadł na kolana na drewnianą podłogę werandy. – Nie – jęknął. – Nie, nie, nie, nie... nie! JeanPaul nie wiedział, co było gorsze. Ból w kręgosłupie, szyi i głowie, poczucie całkowitej bezradności, czy obawa o los Ayli. Odkąd go opuściła, musiała już upłynąć co najmniej godzina. Zbudziły ich odgłosy wybuchów. Ayła zerwała się z łóżka polowego, które zostało wstawione obok posłania JeanPaula. Powiedziała, że zobaczy, co się stało i wróci najszybciej, jak to będzie możliwe. Najwyraźniej coś ją zatrzymało. Więc co, do licha, się działo?! Krzyknął ochryple, ale ani doktor, ani pielęgniarki nie dawali znaku życia. Tego ranka nie dostał swojej porcji środków przeciwbólowych – to dlatego tak bardzo cierpiał.

Teraz przynajmniej było cicho. Umilkły strzały i wybuchy. Od czasu do czasu słyszał odległy krzyk, ale to było wszystko. Co się stało? Gdyby tylko mógł wstać...

Na zewnątrz rozległy się spieszne kroki, potem drzwi się otwały. Była to Ayła. Przeraził go jej wygląd. Twarz miała bladą jak papier, na policzkach zaschnięte ślady łez. Na jego widok zaczęła płakać na nowo. Podeszła i położyła mu głowę na piersi, rękoma obejmując jego twarz. Zwiększyło to jeszcze ból, jaki czuł, ale zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć, i otoczył ją ramionami. W akcie najwyższej cierpliwości i poświęcenia czekał, aż płacz ucichnie i Ayła powie mu, co się właściwie stało.

W końcu dziewczyna podniosła głowę, spojrzała na niego, a potem opadła na stojące obok krzesło.

— To straszne, JeanPaul, takie straszne – wyszlochała. – Podbili Palmyrę.

— Przybysze? – domyślił się od razu.

Skinęła głową. Właściwie był to raczej spazmatyczny dreszcz niż skinienie. – Na statku było ich o wiele więcej, niż mówili. Oddziały weszły do miasta przed świtem. Wzięli nas przez zaskoczenie. Zabili tych, którzy próbowali się opierać. Zajęli elektrownię, skład broni, budynek milicji i dom rady... a w tym samym czasie ich statek przyleciał nad miasto i wysadził wszystkie nasze stanowiska dział przeciwlotniczych. Użyli jakiejś broni, której nikt z nas wcześniej nie widział. Powiedzieli, że statek zniszczy całe miasto, dzielnica po dzielnicy, jeśli się nie poddamy. Lyle Weaver nie miał wyboru. Zgodził się jakieś pół godziny temu... wszyscy mają iść do Wielkiego Domu i oddać całą broń. Kto tego nie zrobi i zostanie z nią zatrzymany, tego rozstrzelają na miejscu. – Nabrała głęboko powietrza i zadrżała. – Jesteśmy teraz poddanymi Republiki Karagangi... Och, Boże – opuściła głowę.

JeanPaul nie wiedział, co powiedzieć. Zdał sobie sprawę, że nie czuje się zaskoczony tym, co się wydarzyło. Czyżby od początku nie dowierzał przybyszom? Najwyraźniej tak było. Ale ponieważ Ayla i Haddon odnosili się do wizyty bardzo pozytywnie, nie przyznawał się do swoich uczuć nawet przed sobą.

— Aylo – westchnął, czując jeszcze większą bezradność.

— Jest jeszcze coś... – zaczęła słabo.

— Jeszcze? – Czyżby zostało jeszcze coś, co mogło pójść źle? – Tato. Aresztowali go. To znaczy, wsadzili do więzienia. Nie było formalnego aresztowania.

— Przybysze go aresztowali?

— Nie. Nasi ludzie. To znaczy, poplecznicy Jelkera Banksa... a należy teraz do nich większość mieszkańców Palmyry. Wypuścili Jelkera i jego synów, i zamknęli tatę. Mówią, że go powieszają... – Zacisnęła dłonie na podołku. – Widziałam go w więzieniu. Nie

chce nic mówić... wpadł w jakiś trans. Myślę, że nie wie nawet, co się dzieje dookoła.

— Szok musiał... – zaczął JeanPaul. Urwał, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem. Ayla odwróciła się, przerażona. JeanPaul poczuł mdlący strach, kiedy zobaczył, że są to dwaj bracia Banks, Bron i ten młodszy, którego imienia nie pamiętał. Obaj trzymali noże.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Młodszy z braci zamknął drzwi. Bron zbliżył się do Ayli, która podniosła się z krzesła.

— Wiedziałem, że cię tutaj znajdziemy... razem z tym półżywym piratem – powiedział, kołysząc dłonią, w której trzymał nóż. – Wynoście się stąd! – krzyknęła Ayla, cofając się w stronę łóżka. JeanPaul cierpiał, nie mogąc jej pomóc w żaden sposób. Próbował się podnieść, ale jedynym skutkiem jego wysiłków był przeszywający ból szyi i pleców.

— Och, pewnie, że sobie pójdziemy – odparł szyderczo Bron – jak tylko skończymy z tobą i twoim przyjacielem. Jego brat również podszedł teraz do Ayli. Dziewczyna chwyciła krzesło i trzymała je przed sobą jak tarczę, ale nie odeszła od łóżka. JeanPaul uświadomił sobie z rozpaczą, że Ayla chce go w ten sposób ochronić.

— To się wam nie uda – powiedziała. – Jeśli nas zamordujecie, wsadzą was do więzienia.

— Kto nas zaaresztuje? – roześmiał się młodszy z braci. – Przybysze? A co ich to obchodzi? A nasi ludzie uznają nas za bohaterów. Zabicie któregoś z Haddonów to teraz czyn obywatelski. Kiedy powieszą twojego ojca i brata, a za godzinę powinno być po wszystkim, nie obejdzie się bez owacji.

— Mojego... brata? – w głosie Ayli zabrzmiała niepewność. – Tak – potwierdził Bron. – Wysłaliśmy oddział na farmę. Niedługo powinni z nim wrócić.

— Przecież Len nie miał z tym wszystkim nic wspólnego! – zaprotestowała.

— Ale to Haddon, no nie? – powiedział Bron i nagle zaatakował ją nożem. Ayla zastawiła się krzesłem, ale w tym samym momencie młodszy Banks chwycił je za nogę i mocno szarpnął. Ayla straciła równowagę. Żeby nie upaść, musiała wypuścić krzesło. Mężczyzna roześmiał się i odrzucił je w kąt pokoju. Ayla była bezbronna. – Zostawcie ją! – krzyknął JeanPaul, na próżno próbując się podnieść.

— Zamknij się, piracie – odparł Bron. – Zaraz przyjdzie kolej i na ciebie. – Obrócił się do Ayli, która nadal trwała na swoim posterunku przy łóżku...

I wtedy drzwi się otwarły. Brat James miał na sobie ten sam biały garnitur, tyle że teraz trzymał w ręce czarną torbę. Stał w wejściu i z lekkim zdumieniem przyglądał się scenie, która się przed nim rozgrywała.

— Och, zdaje się, że wam przeszkodziłem – powiedział łagodnie. Bracia Banks odwrócili się, żeby na niego spojrzeć. – Czego tu chcesz, przybyszu? – spytał Bron.

— Jestem lekarzem – odparł brat James. – Przyszedłem go zbadać.

— Sam?

— Tak. Czemu?

Bracia wymienili spojrzenia.

— Bierz go – powiedział Bron.

Młodszy z braci zaatakował zakonnika nożem. JeanPaul nigdy potem nie był pewien, co się zdarzyło. W jednej sekundzie brat James stał w wejściu, a w następnej już go tam nie było. Wokół młodszego z Banksów coś mignęło i brat James znalazł się za jego plecami. Ciągle trzyma! w rękach swoją torbę. Nóż młodego

człowieka nie znajdował się już w jego dłoni, ale tkwił po rękojeść w szyi. Sądząc po wyrazie oczu, on też nie miał pojęcia, co się stało. Odwrócił się do brata, prawdopodobnie oczekując wyjaśnienia. Na twarzy Brona malowało się pełne grozy niedowierzanie. Młodszemu oczy uciekły w górę, ugięły się pod nim nogi. Upadł na bok, głowa uderzyła w podłogę z głuchym odgłosem.

Bron patrzył przez kilka sekund na martwego brata, potem podniósł wzrok na zakonnika.

— Zabiłeś go – powiedział piskliwym głosem.

Brat James schylił się i ostrożnie postawił torbę na ziemi. – Nie będę zaprzeczał. – Bron, z nożem wymierzonym w niego, zaczął przesuwać się do drzwi. – Wychodzisz? – pogodnie zapytał brat James.

— Nie zbliżaj się do mnie! – krzyknął Bron, głosem jeszcze wyższym niż przed chwilą.

— Przykro mi, ale nie możesz tego zrobić. Atak na któregokolwiek z nas jest karany śmiercią. Dość surowa kara, przyznaję, ale to nie ja ustalałem przepisy. – Ruszył w stronę drzwi, żeby odciąć mu odwrót.

— Nie dotykaj mnie! – wrzasnął Bron i rzucił się do niego z nożem. Tym razem znikła na chwilę tylko ręka brata Jamesa. Kiedy pojawiła się znowu, była zaciśnięta wokół nadgarstka Brona. Coś trzasnęło i nóż upadł na ziemię. Wtedy brat James drugą ręką chwycił Brona za gardło. Ten zakrztusił się, potem rozległ się okropny odgłos miażdżenia. Kiedy brat James zwolnił uchwyt, mężczyzna upadł na ziemię. Wyglądał jak kupka ubrania.

Zakonnik spojrział na Aylę i JeanPaula i uśmiechnął się szeroko. – No, skończyliśmy z nieprzyjemnymi rzeczami. –

Energicznie zatarł ręce. – Czas przejść do miłszych spraw. – Zbliżył się do łóżka. JeanPaul miał przez chwilę wrażenie, że Ayla chce uciec, ale nie wykonała najmniejszego ruchu.

— Jak to zrobiłeś? – zapytała roztrzęsionym głosem. Stał tuż przy niej, nadal uśmiechając się radośnie. – Wszystko polega na oddychaniu. Nie zwracaj sobie tym głowy. To taka towarzyska sztuczka. A teraz bierzmy się do interesów. – Interesów?

— Tak. – Nie odrywając wzroku od Ayli wskazał na JeanPaula. – Przyniosłem ze sobą środek, który wyleczy jego nerki, ale najpierw musimy ustalić cenę.

JeanPaul, mimo wdzięczności, że został uwolniony od braci Banks, nabrał podejrzeń względem brata Jamesa. – Co pan rozumie przez cenę? – zapytał.

Zakonnik zignorował go. W dalszym ciągu z natężeniem przyglądał się Ayli.

— Naprawdę kochasz tego człowieka? – spytał.

— Tak – odpowiedziała.

— To dobrze. Bardzo dobrze. – Brat James wydawał się szczerze zadowolony. – W takim razie nie powinno być większych problemów. – Nie rozumiem – powiedziała Ayla.

— To proste. Ceną za jego życie jesteś ty sama. Chcę ciebie. – Chcesz mnie? – wolno powtórzyła Ayla. Zupełnie nie pojmowała, o czym zakonnik mówi. W przeciwieństwie do JeanPaula. – Wynoś się stąd z tym swoim przeklętym lekiem! – wrzasnął.

Ayla rzuciła mu zmieszane i wystraszone spojrzenie.

— JeanPaul... co...?

— Nie widzisz? Próbuje cię szantażować! – krzyknął. – Grozi, że pozwoli mi umrzeć, jeśli nie zostaniesz jego... jego... – Dlaczego nie powiesz: nałożnicą? To tak ładnie brzmi – podpowiedział brat James pogodnie.

Na twarzy Ayli pojawił się wyraz zrozumienia.

— Chcesz, żebym była twoją kochanką – powiedziała oskarżycielsko. – Zachwycające. Jesteś równie inteligentna, jak piękna. Tak, złotko, masz rację. Chcę się z tobą kochać. Prawdę mówiąc, dość często. Więc ustalmy to szybko. Mam ważne spotkanie. – Ayła, każ mu się odpieprzyć! – krzyczał JeanPaul. – Nie potrzebuję jego pomocy!

Ayła stała w milczeniu wpatrując się w zakonnika, jak się wydawało JeanPaulowi, przez bardzo długi czas. Zobaczył, jak sztywniej ją jej plecy.

— Ale ty potrzebujesz jego pomocy – powiedziała bezbarwnym głosem. – Oboje jej potrzebujemy.

— Aylo, nie...!

— Zrobię co chcesz, bracie Jamesie. Tylko proszę, podaj lek JeanPaulowi już teraz.

Zakonnik wyciągnął rękę i ujął ją pod brodę. Lekko odchylił jej głowę i głęboko zajrzał w oczy.

— Trzymam cię za słowo, skarbie. Spróbuj tylko wykręcić się z tego albo zacznij robić jakieś sztuczki, a będę na ciebie bardzo, bardzo zły. Zrozumiano?

— Tak, bracie Jamesie – przytaknęła potulnie. Jeszcze raz JeanPaul podjął bezowocną próbę, żeby się podnieść, i znowu opadł bezwładnie na łóżko, kiedy ból stał się nie do zniesienia. – Aylo... – jęknął.

Ayła nie dała znaku, że go usłyszała.

— Oprócz pomocy JeanPaulowi, czy mogę cię prosić o jeszcze jedną przysługę?

Zakonnik zmarszczył brwi.

— A o co chodzi?

— Mój ojciec, z którym rozmawiałeś wczoraj wieczorem, i mój



brat mają niedługo zostać powieszoni. Przez mieszkańców Palmyry. Tak naprawdę znalazłeś się tu dzięki mojemu ojcu. To on zrobił najwięcej, żeby przekonać Palmyrczyków, iż wasza wizyta przyniesie nam korzyści. I dlatego myślę, że jesteś mu coś winien. Brat James wybuchnął śmiechem.

— Masz rację. Jak tylko stąd wyjdę, mam się spotkać z kapitanem Wiuszkowem. Spróbuję go przekonać, żeby wstrzymał egzekucję. – W takim razie – powiedziała Ayla – zdecydowane.

— Wspaniale. Będę wymagał twojego towarzystwa tylko w nocy. Dni możesz spędzać ze swoim nieszczęśliwym kochankiem. Przyjdę po ciebie dzisiaj o ósmej wieczorem. Bądź gotowa. – Tak, bracie Jamesie.

— Och, nie mów do mnie w ten sposób. Możesz nazywać mnie moim prawdziwym imieniem. Milo.

— Tak... Milo.

Milo? To imię wzbudziło wspomnienia. – Ty jesteś... Milo? – spytał JeanPaul, zaskoczony.

Pierwszy raz, odkąd wszedł do pokoju, mężczyzna zwrócił na niego uwagę.

— Tak. Czemu pytasz? Mówisz, jakby to imię coś ci przypomniało.

— Byłeś na Aniele Niebios... z Jan Dorvin.

Milo spojrzał nań ze zmarszczonymi brwiami.

— Jan Dorvin? Nigdy o niej nie słyszałem.

To tylko zbieg okoliczności, myślał JeanPaul. To nie może być ten sam człowiek. Ten Milo właśnie przyleciał z orbitalnego osiedla. – Nieważne – powiedział. – Musiało chodzić o kogoś innego. – Kogoś innego – powtórzył Milo. JeanPaulowi wydawało się przez chwilę, że zobaczył w jego oczach przestach. Nagle

odwrócił się i podszedł do swojej torby. Wyjął małą szklaną fiolkę wypełnioną błękitnymi kapsułkami. Wręczył ją Ayli. – Ma brać jedną co sześć godzin.

— Więc to, co mówiłeś wczoraj, że możesz go operować i przywrócić mu władzę w nogach, to były kłamstwa? – spytała Ayła. – Wręcz przeciwnie, święta prawda. – Zatrzasnął torbę. – Ale to, czy będę operował, czy też nie, zależy wyłącznie od ciebie. Jeśli mnie zadowolisz, naturalnie to zrobię. Jeśli nie... cóż... – Nie zawiedziesz się.

— Świetnie. Dzisiaj o ósmej. – Odwrócił się, obojętnie przestąpił ciało Brona i wyszedł.

— Aylo, nie możesz tego zrobić! – wykrzyknął JeanPaul. Bardzo wolno i niechętnie odwróciła się do niego. Twarz miała zaciętą, zdecydowaną, tylko oczy zdradzały prawdziwe uczucia. – A co innego mogę zrobić?

Tymczasowa baza kapitana Wiuszkowa mieściła się w Wielkim Domu, budynku, gdzie poprzedniego wieczoru odbył się bankiet. Na dachu umieszczono przenośny promiennik. Pilnowali go karagańscy żołnierze. W środku, za wielkim stołem, siedział Wiuszkow w otoczeniu swoich zastępców. Naprzeciw niego stało pięciu spośród byłych władców Palmyry. Wyglądali jakby byli świadkami tragedii, zaskoczeni i niezdolni pojąć, co się stało. Zwieszające się ze ścian dekoracje wydawały się niestosowne. Podłogę sali pokrywała broń, głównie strzelby i pistolety, ale Milo dostrzegł też długi rząd miotaczy dzid. Do budynku cienkim strumyczkiem napływali Palmyrczyki, nadzorowani przez żołnierzy, żeby oddać broń. Milo podszedł do Wysokiego Stołu. Wiuszkow właśnie przemawiał do Palmyrczyków.

— ...I postaracie się, żeby wasi ludzie dobrze zrozumieli: jeśli

podczas rewizji w ich domach zostanie znaleziona jakakolwiek broń palna, zostaną natychmiast rozstrzelani.

Palmyrczycy wymamrotali, że wszyscy to rozumieją. Wiuszkow ciągnął dalej: — Chcę, żeby było jasne, że atak na któregokolwiek z nas, bez względu na to, jak drobny, będzie również karany śmiercią. Każdy z was będzie towarzyszył jednemu z oddziałów poszukiwawczych. Będziecie odpowiedzialni za to, żeby wasi ludzie nie popełnili żadnych niebezpiecznych błędów. Dopiero kiedy uzyskam pewność, że w waszych rękach nie pozostał nawet jeden pistolet, będziemy mogli dyskutować o przyszłości Palmyry. Teraz możecie odejść. — Eskortowani przez paru żołnierzy, pokonani Palmyrczycy w milczeniu kolejno opuszczali salę. Wiuszkow skinął na Mila. Wyglądał na zmartwionego.

— Wszystko idzie zgodnie z planem? — spytał Milo. Kapitan podniósł się z miejsca i zszedł z podwyższenia. Wziął Mila za ramię i poprowadził na drugi koniec sali, gdzie żołnierze nie mogli ich słyszeć.

— Jeśli chodzi o umocnienie naszej pozycji tutaj, wszystko przebiega tak, jak planowaliśmy. Opór został zlikwidowany. Palmyra jest całkowicie i na dobre w naszych rękach.

— Więc w czym problem?

— Oczywiście przejęliśmy ich prymitywny radar. Jeden z naszych techników oglądał go, raczej dla zabawy niż w jakimkolwiek innym celu, kiedy zauważył na ekranie jakiś majaczący punkt. Było go widać tylko przez parę chwil, zanim na dobre zniknął. Ale mój człowiek twierdzi, że to musiał być obiekt materialny. Latający obiekt materialny. I zmierzał znad oceanu w naszym kierunku... z szybkością, którą ocenił na prawie tysiąc sześćset kilometrów na godzinę.

Milo podniósł brwi.

— Kiedy to było?

— Jakieś pół godziny temu.

— Więc gdzie się podział ten tajemniczy obiekt? Jeśli istnieje, powinien już tu być.

— Nie wiem. Rozkazałem Christinie wystartować i przeszukać okolice za pomocą radaru i innych czujników, ale właśnie dostałem od nich raport, że nic nie znaleźli.

— Więc ma pan dowód, że cokolwiek widział pański technik, było złudzeniem. Wada sprzętu. Sam pan mówił, że jest prymitywny.

— To samo sobie powtarzam, ale mimo wszystko nie daje mi to spokoju. Technik, o którego chodzi, jest jednym z lepszych. Chciałbym uzyskać stuprocentową pewność, że nie ma się czym przejmować.

Podobnie jak my wszyscy, pomyślał Milo.

— Z tego, czego dowiedzieliśmy się od Palmyrczyków o stanie świata, jedyne zbudowane przez człowieka maszyny zdolne unosić się w powietrzu, to te rozpadające się sterowce. Nie istnieją już żadne inne statki cięższe od powietrza. Samozwańczy Władcy Niebios zakazali ich używania całe wieki temu. A więc to, co widział pański technik, nie mogło być maszyną latającą. Musiało to być coś innego; idę o zakład, że po prostu jakaś wada sprzętu. – Modłę się, żeby miał pan rację – westchnął.

— Mam. A właśnie, nawiązał pan już kontakt z Karagangą? – Tak, rozmawiałem z prezydentem Jakinfowiczem i przekazałem mu dobrą wiadomość. Że zajęliśmy Palmyrę w imieniu Republiki, bez żadnych ofiar z naszej strony.

— A kiedy przedstawi pan swoje ultimatum? – spytał Milo, zniżając głos. – Czy raczej deklarację niepodległości? – Nie wiem

jeszcze. Najpierw muszę wiedzieć na pewno, ilu moich ludzi stanie po mojej stronie. Niepewni muszą zostać zlikwidowani, zanim złożę oświadczenie.

— Cóż, nie ma pośpiechu. Mamy mnóstwo czasu... – Nagle Milo pstryknął palcami. – A, właśnie, to mi przypomina, że miałem powstrzymać lincz. – Opowiedział Wiuszkowowi o zamierzonej egzekucji Lona Haddona i jego syna. Wiuszkow wyglądał na zdumionego.

— Dlaczego ich los tak pana obchodzi?

— Powiedzmy, że to sprawa interesów między mną a uroczą córką Haddona.

Wiuszkow uśmiechnął się domyślnie.

— Ach, rozumiem. No cóż, niech pan idzie i powstrzyma tę egzekucję. Niech sobie nie myślą, że mogą nadal stosować tu swoje prawa. Niech pan weźmie ze sobą paru ludzi. Proszę za mną, wydam im rozkazy.

Idąc za kapitanem w stronę grupki żołnierzy Milo stwierdził pogodnie: — Mam nadzieję, że się nie spóźnię. Postawiłoby mnie to w bardzo kłopotliwej sytuacji.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

— W samą porę – mruknął Milo, odganiając muchy z twarzy.

Parę chwil wcześniej, nim on i jego eskorta weszli na niewielki plac przed frontem więzienia, zaczął się z niego wylewać tłum krzyczących mężczyzn. Przygotowano prowizoryczną szubienicę z kłody drzewa przywiązanej do pni palm. Zwieszały się z niej dwa stryczki, pod każdym czekało przygotowane krzesło. Za nimi stało jeszcze jedno. Z wyglądu stryczków Milo wywnioskował, że wieszanie było w Palmyrze nieczęstym wydarzeniem.

Wyprowadzono Haddona i jego syna, obaj mieli ręce związane z tyłu. Popychano ich brutalnie. Tworzyli interesujący kontrast: Len walczył dziko, podczas gdy Haddon, z obojętną twarzą, nie opierał się wcale. Wyglądał jak w transie. Popchnięto ich ku krzesłom i kazano na nie wejść. Następnie potężnie zbudowany mężczyzna z rudą brodą wdrapał się na trzecie krzesło i założył im pętle na szyje. Patrząc na nieudolnie sporządzone węzły Milo uznał, że śmierć skazańców nie będzie lekka. Aż szkoda przerywać egzekucję... Rudobrody mężczyzna stanął na przedzie, ręce oparł na biodrach. – Lonie Haddon, czy chcesz coś powiedzieć, zanim wykonamy wyrok? – zawołał grzmiącym głosem.

Haddon milczał. Stał na krześle, lekko się chwiejąc. Jego syn odpowiedział za niego.

— To morderstwo, Jelkerze Banksie! Mój ojciec jest niewinny!

Tak samo jak ja, ty draniu!

— Wiesz doskonale, za co zostaliście skazani, ty i twój ojciec! – huknął rudobrody. – Wy, Haddonowie, zdradziliście Palmyrę. Sprzedaliście ją naszym wrogom. A teraz obaj przygotujcie się na śmierć! – Zrobił krok do przodu, żeby wytrącić krzesło spod nóg Lona Haddona.

W tej samej chwili Milo podniósł strzelbę laserową, którą pożyczył od jednego z żołnierzy, i nacisnął spust. Promień przesunął się nad głowami tłumu i obu skazańców, i wypalił małą dziurkę w zbudowanej z piaskowca ścianie więzienia. Milo przesunął go tam i z powrotem, przecinając sznury stryczków. Zwrócił broń właścicielowi.

— Dziękuję – powiedział.

Wszyscy Palmyrczyki zwrócili się w jego stronę. Żołnierze wycelowali w nich broń.

— Przykro mi, że muszę wam zepsuć zabawę – zawołał Milo – ale niestety wszystkie egzekucje zostały odwołane! Proszę się rozejść do domów! – Razem ze swoją eskortą wszedł w tłum, który rozstępował się przed nimi jak Morze Czerwone przed Gregory Peckiem. A może to był John Wayne? – zastanowił się Milo. Podszedł do mężczyzny zwanego Jelkerem Banksem, którego twarz była teraz równie czerwona jak broda. – Ty, pomóż im zejść z krzeseł i rozwiąż ręce – powiedział.

Jelker Banks wycelował w niego palec i wrzasnął z wściekłością. – To nie twój interes, przybyszu! Przestań się wtrącać, sami załatwimy nasze sprawy!

Milo zatrzymał się jakieś półtora metra od niego. – Teraz my tu jesteśmy prawem – powiedział łagodnie. – Ta tak zwana egzekucja była nielegalna. Z rozkazu nowego gubernatora Palmyry, Ilji Wiuszkowa, ci mężczyźni mają natychmiast zostać

uwolnieni.

— Nie! – krzyknął Banks. – Zdrajcy muszą zginąć! Milo zwrócił się do żołnierza, od którego pożyczył broń: – Jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie wykona mojego rozkazu, zabij go. – Tak jest!

Jelker Banks spojrział Milowi w oczy, zobaczył, że ten nie żartuje i pomógł Haddonowi zejść z krzesła.

— Dziękuję! – zawołał do Mila Len z drugiego krzesła. Milo uśmiechnął się do niego.

— To nie moja zasługa, podziękuj swojej siostrze.

Len wyglądał na zaskoczonego.

— Ayla? A co ona ma z tym...

Milo podniósł dłoń.

— Niech ci sama wyjaśni. Dzięki niej rodzina Haddonów jest pod moją osobistą opieką.

— Tfu! – splunął Banks, pomagając Lenowi.

— Widzicie? Sam to potwierdza. Mówiłem, że wszyscy Haddonowie to zdrajcy i kolaboranci.

W tłumie rozległ się gniewny pomruk na znak poparcia. Milo przebiegł wzrokiem po twarzach i zapadła cisza.

— Jako że są pod moją opieką, byłbym bardzo niezadowolony, gdyby przydarzyło się im jakieś nieszczęście. Winni takiego czynu nie mogliby liczyć na łaskę śmierci przez powieszenie. A teraz proszę się rozejść do domów!

Ale zabawa!, powiedział do siebie radośnie.

— Obawiam się, przybyszu, że możesz się spóźnić z pomocą dla córki Haddona... – powiedział Banks, kiedy Palmyrczycy zaczęli opuszczać plac.

Len Haddon, któremu właśnie rozwiązano ręce, obrócił się.

— Co ty wygadujesz, Banks? – krzyknął ze złością. – Czy Ayli



coś się stało?

Jelker wzruszył ramionami.

— Wiem tylko to, co słyszałem. Paru facetów mówiło, że mają zamiar rozprawić się z nią i tym jej kochankiem–piratem – powiedział przebiegle.

Haddon zwrócił się do Mila: — Musimy tam zaraz iść!

— Uspokój się – odparł Milo. – Byłem z nią, kiedy zjawili się ci gamonie, próbując ją zabić. Jest zupełnie bezpieczna. Tamci dwaj oczywiście nie żyją.

— Co? Co?! – wykrzyknął Jelker Banks. Wyglądał, jakby go ktoś kopnął w genitalia. – Nie żyją? Obaj?

— Masz moje słowo. Zabiłem ich osobiście.

Twarz Banksa ściągnęła się z bólu.

— Moi synowie! – jęknął. – Zamordowałeś moich synów!

Milo przyjrzał mu się uważnie i skinął głową.

— Rzeczywiście, teraz, kiedy to powiedziałeś, dostrzegam rodzinne podobieństwo. Cóż za ironia, nie sądzisz?

Ściemniało się, gdy Milo skierował się w stronę szpitala. Szedł samotnie, ale nie czuł się zagrożony. Wiedział, że zdoła się obronić, gdyby jakiś Palmyrczyk okazał się tak głupi, żeby go zaatakować. Zresztą na ulicach było widać niewielu tubylców, a ci nieliczni śpieszyli się chcąc zdążyć do domów przed godziną policyjną, wprowadzoną przez kapitana Wiuszkowa.

Idąc Milo podśpiewywał sobie do wtóru małego odtwarzacza ze słuchawkami, pożyczonego od jakiegoś żołnierza. Kolejna rzecz, której brakowało mu w Belvedere: muzyka była w osiedlu zakazana, z wyjątkiem kilku ponurych hymnów – a jego zdaniem to się nie liczyło. Popatrzył na zegarek. Za kwadrans ósma. Nie chciał przychodzić przed wyznaczonym czasem, już lepiej zjawić się za późno, żeby przedłużyć jej oczekiwanie. Mogłaby nawet

pomyśleć, że wcale nie przyjdzie. Uśmiechnął się do tej myśli i skręcił w stronę plaży. Przechadzka brzegiem morza pomoże mu zabić czas.

Na wąskiej ulicy minął go patrol złożony z sześciu karagańskich żołnierzy. Skinął im głową, zasalutowali w odpowiedzi. Wieść o jego nowym stanowisku jako „specjalnego doradcy” kapitana Wiuszkowa najwyraźniej szybko się rozeszła.

Zajął dla siebie mały domek w mieście, oczyszczony przez Wiuszkowa z Palmyrczyków „ze względów bezpieczeństwa”. Całkiem wygodny, chociaż Milo wolałby raczej coś z widokiem na ocean. Tak czy inaczej, jego nowe mieszkanie było dobrze zaopatrzone w żywność i napoje, i Milo nie mógł się doczekać, żeby przyprowadzić do niego Aylę. To będzie noc śmiechu i zabawy. Bóg wie, że zasłużył na to po tak długim życiu w celibacie...

Plaża była pusta. Wziął kilka głębokich oddechów, rozkoszując się zapachem oceanu, który pamiętał z odległych wieków. Potem ruszył ścieżką pod palmami, rosnącymi wzdłuż brzegu. Nie uszedł daleko, kiedy dojrzał przed sobą ciemną postać wychylającą się zza drzewa. Ktokolwiek to był, starał się działać ukradkiem. Zaintrygowany, Milo poczołgał się plażą, żeby go okrążyć. Kiedy znalazł się bliżej, zobaczył, że to kobieta. Stopy miała bose i, co dziwne, nosiła ciemny strój: czarną koszulę i spodnie. Palmyrczycy ubierali się bardzo kolorowo. Najwyraźniej nie miała dobrych zamiarów... Zaszedł ją cicho od tyłu. Była zbyt zajęta przyglądaniem się budynkom stojącym nad brzegiem, żeby go zauważyć, póki nie poklepał jej po ramieniu. Drgnęła i obróciła się zaskoczona. W pierwszej chwili Milo pomyślał, że przypomina starszą wersję Ayli. Te same krótko ścięte ciemne włosy, te same wysokie kości policzkowe... nawet

oczy miały podobny, orientalny kształt. Wtedy spostrzegł, że jej ubranie i włosy ociekają wodą. Właśnie miał zapytać, skąd się tutaj wzięła, kiedy go uprzedziła: — Co ty tu, do cholery, robisz, Milo? W jaki sposób udało ci się zwać Phebus?

Był to jeden z rzadkich wypadków, kiedy Milo został kompletnie zaskoczony. Spojrzał na nią nie rozumiejąc. Wiedział na pewno, że nigdy dotąd nie spotkał tej kobiety, a jednak ona najwyraźniej go poznała.

— Więc spotkaliśmy się już? – zapytał. – Gdzie i kiedy? – Skończ z tymi swoimi gierkami, Milo, to ja... – przerwała; na jej twarzy malowała się teraz podejrzliwość. Milo wiedział, że zdała sobie sprawę, iż popełniła poważny błąd. – Nie... nie, teraz, kiedy się dokładniej przyjrzałam, widzę, że się myliłam. Wzięłam cię za kogoś innego.

— Nazwałaś mnie Milo – nalegał. Wiedział już, o co chodzi. Najpierw tamten sparaliżowany Francuz znał jego imię, a teraz ta kobieta spotkała kogoś, kto nazywał się Milo i był do niego podobny. To mogło znaczyć tylko jedno – „prawdziwy” on w jakiś sposób zdołał wcześniej dotrzeć na Ziemię.

— Zwyczajny zbieg okoliczności – powiedziała kobieta. Muszę już iść. Spóźnię się... – Odwracała się, żeby odejść, ale mocno złapał ją za rękę tuż nad łokciem.

— Pójdiesz ze mną. Musimy porozmawiać.

Kiedy JeanPaul obudził się z pełnego bólu snu, zobaczył, że Ayla wróciła. Wyglądała na wyczerpaną.

— Która godzina? – Zapytał od razu.

— Za pięć ósma – odpowiedziała. – Czas na twoje pigułki. Włożyła mu tabletkę do ust i podała wodę. Pił z wdzięcznością. Ayla podtrzymywała mu głowę.

— Dzięki – powiedział, opróżniwszy kubek. Opuściła jego

głowę na poduszkę. Nie był już sam w pokoju. Obok, na polowych łózkach, wciśnięto cztery inne osoby – ofiary ataku przybyszów. Wszyscy znajdowali się w ciężkim stanie i – jak się dowiedział od Ayli – podejrzewano, że nie przeżyją dzisiejszej nocy. Mały szpitalik był przepełniony. – A jak... w domu? – spytał Aylę.

Potrząsnęła głową.

— Niedobrze. Tato po prostu siedzi bez słowa. Nie chce jeść ani pić. A Len... cóż, jest bardzo zły. Zły na wszystkich... na przybyszów, na Jelkera Banksa, na Mila... i na mnie.

JeanPaul nic nie odpowiedział. Rozumiał uczucia Lena i nienawidził się za to. Och, oczywiście, był wdzięczny za poświęcenie, na jakie godziła się dla niego, ale równocześnie czuł oburzenie. Dlaczego? Bo to raniło jego cholerną męską dumę. Śmiechu warte. Z czego był taki dumny? Została z niego głowa z doczepioną parą rąk. I to ma być mężczyzna?

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Pielęgniarka tłumaczyła komuś głośno: — ...Mówię, że nie może pan tam wejść! – Potem drzwi się otworzyły. Tak jak się JeanPaul obawiał, był to Milo. Tyle, że nie sam. I, ku swojemu zdumieniu, JeanPaul rozpoznał kobietę, która mu towarzyszyła. Jan Dorvin. Nigdy nie rozmawiał z nią osobiście, ale widział ją wiele razy, często z bliska, więc był pewien, że się nie myli. Milo popchnął ją w głąb pokoju, JeanPaul zauważył, że ściska ją za ramię. Wyglądał na rozgniewanego.

— Dziękuję, bardzo mi siostra pomogła – powiedział do pielęgniarki zatrzaskując jej drzwi przed nosem.

Ayla podniosła się z krzesła na jego widok, ale Milo zdawał się jej nie dostrzegać. Gwałtownie pchnął Jan Dorvin na środek pokoju. Omal nie upadła na jedno z łóżek, zanim udało się jej odzyskać równowagę. Ciężko ranny mężczyzna leżący na łóżku

cicho jęknął. Milo wycelował palec w stronę Jan.

— A więc dobrze, ty mnie znasz, a ja ciebie nie. Więc po pierwsze, kim jesteś?

Jan spojrzała na niego groźnie i potarła rękę w miejscu, gdzie ją ścisnął. Milczała. JeanPaul nie miał pojęcia, dlaczego się odezwał. Po prostu nic nie mógł na to poradzić.

— To jest Jan Dorvin – powiedział cicho.

Oboje, Milo i Jan, spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— Jan Dorvin? – powtórzył Milo. – Skąd wiesz?

JeanPaul zerknął na kobietę. Przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami. Niewątpliwie go nie poznawała, ale było to zrozumiałe.

— Była kobietą z nieba... Aniołem Niebios – ciągnął. – Podbiła naszego Władcę. Między innymi. Miała całą flotę Władców Niebios. Ale potem straciła panowanie nad wszystkim i zniknęła. Nie wiem, co się z nią stało.

Milo patrzył na niego przez chwilę, a potem zwrócił się do Jan:  
— Co on plecie?

— Nie mam pojęcia – mruknęła.

— Tak się nazywasz? Jan Dorvin?

— Oczywiście, że nie. Mam na imię Anya. Anya Ivimey.

— Więc dlaczego on twierdzi, że cię zna?

— Zwykła pomyłka. Tak jak ja wzięłam cię za kogoś innego.

Milo nie wyglądał na przekonanego.

— Zbyt wiele tych zbiegów okoliczności – powiedział.

— To dlatego znałem twoje imię – odezwał się znowu JeanPaul.

— Z Jan Dorvin był mężczyzna imieniem Milo.

— Wiedziałem! – Milo zrobił krok w stronę Jan. – Moje prawdziwe „ja” jest tutaj na Ziemi! Przyznaj się!

Jan odsunęła się za łóżko.

— Do niczego się nie przyznam.

Milo zniknęła. Jan zachwiała się, coś odrzuciło ją w tył. JeanPaul zobaczył, jak uderzyła w ścianę obok drzwi. Milo znowu stał się widoczny. Trzymał ją za gardło i nią potrząsał.

— Powiedz, gdzie on jest, do jasnej cholery, albo rozedrę cię na kawałki!

Jan Dorvin krztusząc się skinęła głową. Milo puścił ją, osunęła się po ścianie.

— Nie żyje – wysapała.

— Nie żyje? – powtórzył zaskoczony. – Niemożliwe. On... ja... miałem przeżyć jako jedyny. Ja nie mogę umrzeć, on też nie.

— Tak czy inaczej, to prawda. Nie żyje. Czy raczej – ty nie żyjesz. Stałeś się nieostrożny z powodu nadmiaru pychy.

— Powiedz mi dokładnie, co się stało... z nim – zażądał.

Kiedy Jan Dorvin zaczęła relacjonować mu okoliczności śmierci drugiego „ja”, JeanPaul z przerażeniem zobaczył, że Ayla podnosi krzesło i zachodzi Mila od tyłu. Jej zamiary były oczywiste; omal nie krzyknął, żeby tego nie robiła, ale wiedział, że to nic nie da. Było już za późno. Mógł tylko patrzeć bezradnie, jak Ayla skrada się do Mila, z krzesłem wysoko w powietrzu. Milo na pewno ją usłyszy. Ale nie, pochłonęła go opowieść Jan Dorvin o losie jego alter ego. Jan oczywiście widziała, co zamierza Ayla, ale nie dała tego po sobie poznać.

Ayla stała teraz tuż za Milem. JeanPaul miał ochotę zamknąć oczy. Drewniane krzesło wydało mu się naraz nierzeczywiste... Ayla spuściła je na łysą głowę Mila. Okrzyk wysiłku zlał się w jedno z trzaskiem pękającego drewna. Milo zachwiał się od ciosu, ale nie upadł. A potem się odwrócił...

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

— Głupia dziwka – powiedział Milo do Ayli.

Stała, trzymając nogę od krzesła w ręce i gotowa była przyznać mu rację. Co teraz? – zastanawiała się. Uderzyć go jeszcze raz? Czemu nie. Widziała, jak szybko potrafi się poruszać. Dalej, dziewczyno, powiedziała sobie. I tak za parę minut będziesz martwa... przy odrobinie szczęścia. Pozwoliła, żeby noga od krzesła wysunęła się jej z dłoni. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy uderzyła w deski podłogi, Jan Dorvin, stojąca za Milem, zaatakowała. Kantem prawej dłoni silnie uderzyła go w kark. Stęknął i zaczął się odwracać, ale jego ruchy były teraz powolne i niepewne. Jan miała dość czasu, żeby wyprowadzić kolejny wściekły cios. Milo stęknął znowu i upadł na podłogę twarzą w dół. Leżał jęcząc. Jan uklękła obok niego i szybko uderzyła go jeszcze dwa razy. Umilkł. Kobieta podniosła się, rozmasowując sobie dłoń. Uśmiechnęła się do Ayli.

— Trochę bolało, ale było warto.

Ayla spojrzała na nią, potem na nieruchome ciało Mila.

— Zabiłaś go?

— Chciałabym, żeby tak było, ale wątpię. Milów trudno zabić.

Dzięki tobie miałam dużo szczęścia: odwróciłaś jego uwagę.

— Próbowałam go zamordować.

— Tak, wiem, Milo zwykle wpływa na ludzi w ten sposób. Ale przynajmniej go zaskoczyłaś... i dałaś mi okazję. – Wyciągnęła rękę do Ayli – A tak swoją drogą, jestem Jan Dorvin. A ty...? Ayla ujęła jej dłoń i lekko uścisnęła – Ayla Haddon. – Jesteś bardzo

piękna, Aylo – powiedziała Jan i, ku zaskoczeniu dziewczyny, schyliła się i pocałowała ją w usta. Potem puściła jej rękę i podeszła do łóżka JeanPaula. – Na którym Władcy Niebios służyłeś? – Na *Władcy Montcalmie* – odpowiedział.

— Ach, tak, jeden z pierwszych, których podbiłam. Jest tu gdzieś w okolicy? Jak daliście sobie radę ze swoją Ashley? JeanPaul opowiedział jej, co się stało z Ashley i z samym sterowcem.

— Domyślam się, że zostałeś ranny podczas katastrofy? – spytała.

Ayla odpowiedziała za niego.

— Nie, postrzelono go w plecy. Parę dni temu. Ma uszkodzony kręgosłup. Brat... Milo... on... – wskazała Mila – obiecał, że zoperuje JeanPaula, pod warunkiem, że ja... z nim pójdę. Dzisiaj wieczorem.

— Zawsze ten sam stary Milo – powiedziała Jan z niesmakiem. Podeszła, żeby mu się przyjrzeć.

— Jeszcze oddycha. Będziemy musieli wymyślić jakiś sposób, żeby go związać. I to mocno. – Popatrzyła na Aylę. – Mówiłaś, że przyszedł tu po ciebie?

Ayla skinęła głową.

— Nie wiem, dokąd chciał mnie zabrać.

— W jakieś prywatne miejsce, najprawdopodobniej. A to oznacza, że nie będą go szukać aż do jutra. Możemy go ukryć tutaj, w szpitalu. Przebrać za jednego z pacjentów. Mogłabyś ściągnąć tu jedno z tych łóżek na kółkach?

— Oczywiście.

— Więc zrób to teraz.

Kiedy Ayla wyszła, JeanPaul odezwał się do Jan. – Chciałbym wiedzieć, co robisz tutaj, w Palmyrze. Jedni najeżdżcy nam



starczą, nie potrzeba nam nowych. – Przybysze?

— Tak, przekłęci przybysze. Na początku byli bardzo przyjacielscy. A potem, zanim się spostrzegliśmy, zostaliśmy zaanektowani. – Domyśliłam się z tego, co widziałam na plaży. Uzbrojone patrole, puste ulice. Zresztą, dałam sobie spokój z podbojami. Nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. Teraz wypełniam polecenia potężnego programu komputerowego, który przejął Anioła Niebios. – Ashley?

— Nie, nic podobnego. – Zaczęła mu wyjaśniać naturę i pochodzenie Phebus. – Wiedziała, że wylądował tu statek z przestrzeni kosmicznej i wysłała nas, żebyśmy się rozejrzeli w sytuacji. – Nas?

— Mam towarzysza. Czeka w *Maskotce*, która jest... hm, nazwijmy to bardzo wszechstronnym pojazdem. W tej chwili czeka zaparkowana pod wodą około stu metrów od wybrzeża. – Chcesz powiedzieć, że po prostu spadłaś z nieba w tym czymś? – zdziwił się JeanPaul. – Ale przecież mamy tutaj radar, i tak samo przybysze. Namierzyliby cię.

— Namierzyliby nas na krótko, kiedy byliśmy jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. *Maskotka* nie włączyła na czas ekranów. Potem, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego, zanurzyła się i resztę drogi przebyła pod wodą.

— Ale skoro znajdujecie się sto metrów od brzegu, musieliście napotkać na wewnętrzne ogrodzenie – odparł JeanPaul. – Tak, niestety, byliśmy zmuszeni się przez nie przebić. Ale nie przejmuj się, jestem pewna, że szkody łatwo się da naprawić. – Dobrze, ale... – JeanPaul zamarł, kiedy Milo jęknął i poruszył ręką. Jan szybko podeszła i mocno kopnęła go w głowę. Dwa razy. Znieruchomiał znowu.

— Za bardzo zaczyna mi się to podobać – powiedziała, jakby

czuła się winna.

— A ten twój superprogram, czy pomoże Palmyrze uwolnić się od przybyszów?

— Szczerze mówiąc, nie wiem, co ona robi – odparła Jan. – Jej motywy są dla mnie zupełną tajemnicą. Ale lądowanie przybyszów na Ziemi z pewnością zwróciło jej uwagę. A to nie wróży im nic dobrego. – Gdzie teraz jest?

— W tej chwili jakieś osiem godzin lotu od Palmyry. Polecimy z powrotem na Anioła Niebios, przekażę jej, co się tutaj stało i wrócimy przed świtem. Co będzie potem, nie mam pojęcia, ale na pewno sprawy przybiorą lepszy obrót. – Przerwała, kiedy wróciła Ayla z łóżkiem. – A teraz bierzmy się za Mila...

Jan bez problemów dotarła na plażę, raz tylko musiała się skryć za murem, żeby nie dostrzegł jej przechodzący patrol. Nad brzegiem wody wyjęła mały wskaźnik kierunku i przypięła sobie do nadgarstka. Wiedziała z grubsza, gdzie znajduje się *Maskotka*: naprzeciw bramy w ogrodzeniu, w połowie drogi między nim a brzegiem. Wskaźnik miał jej pomóc w ustaleniu dokładnego położenia maszyny, kiedy znajdzie się blisko.

Szła przez ciepłą wodę, aż sięgnęła jej do pasa, potem zaczęła płynąć, kierując się na odległe wrota.

— Z pewnością wygląda teraz na unieszkodliwionego – powiedział JeanPaul.

— Mam nadzieję – odparła Ayla, marszcząc brwi. Milo przypominał metalowy kokon. Jan i Ayla, pomagając sobie nożycami do metalu, owinęły go grubym drutem. Kokon sięgał od szyi do stóp i dodatkowo był przymocowany do łóżka. Praca nad tym i próby przekonania lekarzy, że nie jest to tylko akt bezrozumnego szaleństwa, zajęły im całą godzinę.

— Lepiej go przykryj.

Ayla okryła Mila, podciągając koc w taki sposób, żeby zasłaniał knebel w ustach. Widać było tylko kawałek grubo zabandażowanej głowy. – O Boże! – wykrzyknęła nagle.

— O co chodzi? – dopytywał się JeanPaul, zaniepokojony.

Próbował podnieść głowę z poduszki. – Co on zrobił? Ayla odwróciła się do niego, oczy miała szeroko otwarte, zasłaniała usta dłonią.

— Nie chodzi o niego... Właśnie sobie przypomniałam... To przez to całe podniecenie... Zapomniałam...

— O czym?

— Żeby ją ostrzec. Jan Dorvin. Mówiłeś, że jej maszyna wybiła dziurę w ogrodzeniu. To znaczy, że stwory mogą się tu wedrzeć. Mogą już być w naszych wewnętrznych wodach!

JeanPaul z ulgą opadł na poduszkę.

— I to wszystko?

— Jak to „wszystko”? – wykrzyknęła Ayla. – Jeśli ją dopadną, będzie to moja wina. Nie mogę pozwolić, żeby zginęła w taki sposób! – Aylo, uspokój się i bądź rozsądna. Co możesz teraz zrobić, żeby jej pomóc?

— Podwodny laser. Ciągle jeszcze jest w domu. Wezmę go i pójdę za nią.

— Jezu, Aylo, już za późno! Wyszła prawie kwadrans temu. Musi już być w morzu.

— Nieważne. Muszę przynajmniej spróbować! – Ku jego przerażeniu wybiegła z pokoju.

— Ayla! – krzyknął. – Wracaj! – Na widok zaniepokojonej pielęgniarki, która zajrzała do środka, dodał: – Niech ją siostra zatrzyma! Musi ją siostra zatrzymać!

Jan zatrzymała się, żeby określić swoje położenie. Zobaczyła, że trochę zboczyła z kursu i nie płynie już dokładnie w stronę

wodnych wrót. Podniosła rękę nad wodę i spojrzała na wskaźnik. Zamglone zielone światelko zapalało się i gasło. Kiedy znajdzie się bezpośrednio nad *Maskotką*, powinno przestać mrugać. Blisko, ale jeszcze nie to. Zaczęła płynąć dalej. I wtedy coś pochwyciło ją za łydkę i wciągnęło pod wodę.

Krztusząc się, kopnęła drugą nogą. Stopa natrafiła na coś twardego. Rekin! Poczuała, że ogarniają panika. Zanurzała się coraz głębiej, a potem nadeszło smagnięcie bólu, kiedy coś bardzo ostrego głęboko rozorało jej brzuch. Krzyknęła, wypuszczając resztę powietrza z płuc w chmurze pęcherzyków. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że jej prawa ręka została dosłownie odgryziona. Miała tylko nadzieję, że wkrótce straci świadomość i umrze... Ale zęby i pazury nadal rozdzierały jej ciało i trwało to bardzo długo, zanim wreszcie zapadła w nieświadomość. Robin drzemał. Na głos *Maskotki* ocknął się momentalnie. – Jakieś poruszenie w wodzie – powiedziała maszyna. – Jakiego rodzaju? – dopytywał się niecierpliwie. – Gdzie? – Niedaleko. Około dwudziestu metrów, na sterburcie. Odbieram wibracje i dźwięki.

— Czy możesz zobaczyć, co się dzieje?

— Jan wydała instrukcję, żeby nie używać tak blisko brzegu czujników, które mogłyby zdradzić naszą obecność. – W takim razie unieważniam instrukcję! To może być Jan.

Może ma kłopoty. Użyj detektorów dźwiękowych.

— Tak jest.

— No i? – dopytywał się niecierpliwie. – Co widzisz? – Trzy humanoidalne organizmy wodne. O wiele większe od przeciętnego człowieka. Walczą między sobą o resztki innego wodnego organizmu.

— Pokaż mi to! – Jeden z ciemnych monitorów rozjarzył się.

Nawet mimo komputerowego przetworzenia Robin niewiele mógł dostrzec na ekranie. Widział trzy stwory, o których mówiła *Maskotka*, ale nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów. Stwory atakowały coś z dziką zażartością. Przypominały wygłodniałe rekiny, które przybrały ludzkie kształty. – Podpłyn bliżej – rozkazał. *Maskotka* natychmiast oderwała się od dna, zawróciła i skierowała w stronę walczących potworów. Robin czuł, jak przerażenie chwyta go za gardło. Pomyśleć, że Jan płynie gdzieś w tych wodach...! Stwory zwróciły się w stronę *Maskotki*, kiedy wyczuły, że się zbliża. Wypuściły poszarpane szczątki swojej ofiary i gotowały się do ataku. Robin nadal nie mógł dostrzec szczegółów. – Przełącz na wizualny i zapal światła – rozkazał.

— Czy to rozsądne? – spytała *Maskotka*.

— Zrób, co mówię!

Maszyna usłuchała. Obraz na monitorach się zmienił. Teraz Robin mógł już widzieć wyraźnie. Zbyt wyraźnie. Trzy atakujące humanoidy ukazały się w całej odstręczającej brzydocie. Istne maszyny do zabijania. Zobaczył też szczątki ich zdobyczy opadające wolno na dno: ogryzioną do kości klatkę piersiową, na której pozostały gdzieś resztki mięsa, na wpół zjedzoną rękę... brzucha nie było, poniżej klatki piersiowej ciało Jan przestało istnieć. – Chryste, nie! – krzyknął. – Zabij je! Zabij je!

Ściskając w ręce podwodny laser, Ayla zdyszana wybiegła na plażę. W drugiej ręce niosła maskę i wodoszczelną latarkę, którą złapała w pośpiechu podczas wizyty w domu. Na skraju ciemnej wody zawahała się i rozejrzała wokół. Ani śladu Jan. Pewnie bezpiecznie dotarła do łodzi. Ale Ayla dla własnego spokoju musiała się upewnić. Zrzuciła sandały, założyła maskę i właśnie miała wejść do wody, kiedy nagle padł na nią strumień silnego

światła i usłyszała ostry męski głos: – Stój! Rzuć broń i podnieś ręce do góry!

Rzuciła laser i latarkę na piasek, uniosła ręce i odwróciła się. W dół po plaży szło w jej stronę czterech przybyszów. Mieli na sobie skafandry kosmiczne – ale bez hełmów – i wszyscy nieśli dziwne strzelby, emitujące promienie ciepłe. Wyloty luf były skierowane w jej stronę.

— Wiesz, co ci grozi za posiadanie broni palnej, dziewczyno? – spytał jeden z nich, kiedy znaleźli się bliżej. – To nie strzelba – odparła szybko. – To urządzenie do pracy pod wodą. Zobaczcie sami. Nie działa na lądzie. Otoczyli ją, przyglądając się jej uważnie.

— Taka piękna dziewczyna – powiedział ten, który trzymał latarkę. – Szkoda, że będziemy musieli cię zabić. – Mówiłam, to nie jest strzelba! – krzyknęła.

Mężczyzna rzucił okiem na laser, leżący na piasku.

— Mnie to wygląda na broń. I tylko to ma znaczenie. – Poruczniku! Niech pan spojrzy! Tam! – zawołał w tym momencie jeden z żołnierzy. Wskazywał na zatokę. Wszyscy, łącznie z Aylą, się odwrócili. Pod wodą widać było biały blask. – Co to jest, u diabła?

— Jakaś podwodna lampa – odparł ten, którego nazywali porucznikiem. – Porusza się. Wiesz, co to jest? – zwrócił się do Ayli. Pokręciła głową.

— Nie – skłamała.

Popatrzył na nią, potem na laser.

— A właściwie, co miałaś zamiar zrobić, zanim ci przeszkodziliśmy?

— Chciałam naprawić ogrodzenie. Zostało uszkodzone.

— W środku nocy? Sama? Nie rozśmieszaj mnie.

— To prawda.

— Znowu się poruszyło, poruczniku!

— Nie podoba mi się to – mruknął. Muszę powiadomić dowództwo. Kapitan Wiuszkow powinien się o tym dowiedzieć. – Nacisnął brodą kołnierz swojego skafandra i pojawił się mały mikrofon.

— Mówi porucznik Briuszkin. Jestem na plaży. Mój patrol dostrzegł w zatoce poruszające się światła. Sugeruję, żeby zbadać to jak najszybciej.

### § § §

Robin leżał skulony na tapczanie, wpatrując się w sufit niewidzącym wzrokiem. Jan nie żyje. Jan nie żyje. Wszystko skończone... – Mogę coś zasugerować? – zapytała *Maskotka*.

— Nie. Zamknij się.

— To dotyczy Jan.

— Jan nie żyje! Nie zauważyłaś? – wrzasnął na nią dziko. – Wiem, ale chciałam zwrócić twoją uwagę na jej głowę. Poza ranami twarzy, wydaje się nienaruszona.

O Chryste!, pomyślał.

— Sądzę więc, że mózg nie został uszkodzony – ciągnęła *Maskotka*, na swój zwykły, niewzruszony sposób – i w związku z tym istnieje duże prawdopodobieństwo, że uda się ją ożywić, jeśli tylko dostarczymy ją do maszyny medycznej.

Robin podniósł się, ogarnięty nagłą nadzieją, ale zaraz znowu pogrążył się w rozpacz.

— Nie uda się nam dotrzeć na Anioła Niebios na czas. Jan nie żyje już od prawie dwóch minut. Na długo, zanim dolecimy do statku, w jej mózgu zajdą nieodwracalne zmiany.

— Zapominasz o jednej ważnej rzeczy – zaoponowała

*Maskotka.* – Moim urządzeniu do przechowywania biopróbek. Jest wyposażone w zamrażarkę. Mogę natychmiast zamrozić Jan. Biorąc pod uwagę, jak niewiele z niej zostało, nie będzie problemów z umieszczeniem jej w środku.

Minęło kilkanaście sekund, zanim dotarło to do Robina. Dopiero po chwili zerwał się z miejsca.

— Na co czekasz, do diabła, bierz się do roboty! Ayli pilnowało czterech żołnierzy, niecierpliwie czekających na przybycie posiłków. Dziewczyna była zdenerwowana, bała się. Zastanawiała się, czy naprawdę ją rozstrzelają. Co powinna zrobić? Rzucić się do ucieczki, zanim przybędzie więcej żołnierzy? Nie sądziła, żeby udało się jej ubiec daleko, zanim ją zastrzelą. Cokolwiek się stanie, nie może powiedzieć ani słowa o Jan Dorvin i zbliżającym się Aniele Niebios. Gdyby przybysze się dowiedzieli, że statek przybędzie o świcie, zdążyliby się przygotować...

Wszystkich zaskoczyło, kiedy woda w zatoce nagle zawrzała i wynurzył się z niej owalny metalowy obiekt, mknący z wielką prędkością. Wzbił się wysoko w nocne niebo. Potem wyrównał lot i zniknął nad oceanem. Ayła dojrzała w tym sposobność do ucieczki. Nie dotarła daleko.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Kapitan Ilja Wiuszkow w zamyśleniu wpatrywał się w urządzenie, które leżało przed nim na biurku, zanim zwrócił się do dziewczyny. Stała między dwoma żołnierzami. Patrzyła ze strachem, ale jednocześnie wyzywająco. Była ubrana w brudne białe szorty i żółty podkoszulek. Stopy miała bose. Porucznik Briuszkin był również obecny. – Mówisz, że to nie jest broń? – zapytał Wiuszkow. – Nie – potwierdziła stanowczo. – To narzędzie do cięcia. Działa tylko pod wodą.

— To ostatnie może być prawdą – zgodził się Briuszkin. – Rzeczywiście nie udało mi się go uruchomić.

— Jak ci na imię?

— Ayla Haddon.

Wiuszkow zmarszczył czoło.

— Haddon, mówisz? Jesteś córką Lona?

Skinęła głową.

Zasepił się i podrapał w podbródek. Lon Haddon był eks-przywódcą, człowiekiem, którego brat James wcześniej tego dnia ocalił od śmierci. To znaczyło, że była dziewczyną, którą zakonnik sobie wybrał. Dlaczego więc nie była razem z nim tego wieczoru?

— Znasz brata Jamesa, prawda?

Zauważył, że zawahała się, zanim skinęła głową.

— Widziałas go dzisiaj wieczorem?

— Nie. Mieliśmy się spotkać o ósmej w szpitalu, ale nie

przyszedł.

Teraz Wiuszkow był już przekonany, że stało się coś złego.

— Rozpocząć poszukiwania – rozkazał Briuszkowowi. – Użyjcie również tych żołnierzy, którzy nie mają teraz służby. Chcę, żeby go znaleziono jak najszybciej.

— Tak jest – odrzekł porucznik, zsalutował i wybiegł z pokoju. Wiuszkow surowo spojrział na dziewczynę. – Co wiesz o maszynie, która wynurzyła się z oceanu dzisiaj wieczorem?

— Nic – powiedziała, a po chwili dodała: – Proszę pana.

— Nie kłam.

— Nie kłamię. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Nie mam pojęcia, co to było.

— Twierdzisz więc, że przez czysty zbieg okoliczności znalazłaś się na plaży na krótko przed tym, jak wystartowała?

— Tak sędzę.

— I, jak mówiłaś porucznikowi Briuszkowowi, miałaś zamiar naprawić zewnętrzne ogrodzenie. Sama, w środku nocy... i z tym – podniósł urządzenie.

— Tak.

— Mało przekonująca historia, nawet jak na wymyśloną w wielkim pośpiechu. Co tam naprawdę robiłaś?

Spuściła wzrok na podłogę. Nie odpowiadała.

Kapitan uderzył pięścią w blat biurka.

— Dość tych kłamstw! – ryknął. – Chcę wiedzieć, jak było naprawdę!

Drgnęła, ale wyzywająco podniosła głowę.

— Mówię prawdę.

Westchnął. Będzie musiał użyć siły, żeby wydobyć z niej tę informację. Nie chciał tego robić, szczególnie, że była kobietą, ale nie miał wyboru. Musi się dowiedzieć, co oznacza ta dziwna

latająca maszyna. Nie miała prawa istnieć, ale istniała, wystawiając na niebezpieczeństwo cały plan dotyczący Ziemi. Musi poznać prawdę za wszelką cenę.

Milo dusił się z bezsilnego gniewu. Nie mógł się poruszać, nie mógł mówić i nic nie widział. Porzucił próby rozluźnienia więzów. Było to niemożliwe. Doprowadzało go do furii, że leży bezradnie, słuchając, jak żołnierze wypytują Francuza o brata Jamesa. Szukali go, stali tuż obok i nie udało się im go znaleźć. Idioci. O tak, jeden podniósł nawet koc z jego twarzy, spojrzął przelotnie na zabandażowaną głowę, po czym z powrotem opuścił okrycie. Idiota. Idiota. A przecież musi dotrzeć do Wiuszkowa z informacją o tej przeklętej Jan Dorvin. Skąd, u diabła, się wzięła? Musi ostrzec Wiuszkowa, że powinien się spodziewać kłopotów.

Nadal nie mógł się pogodzić z tym, co mu powiedziała: że jego prawdziwe ja nie żyje. I dalej nie wiedział, jak to się stało – ta mała dziwka walnęła go krzesłem, zanim Jan skończyła swoją opowieść. A potem Dorvin uderzyła go sama – z o wiele gorszym skutkiem niż Ayla. To przez nią nie pamiętał nic więcej. Kiedy spotkają się następnym razem, wynik będzie zupełnie inny.

Jakby tego jeszcze było mało, poczuł, że musi się wysikać. Kapitan przyglądał się Ayli z wyrazem ponurego znużenia. Siedziała zgarbiona na krześle naprzeciw; byłaby się zsunęła, gdyby jeden z żołnierzy nie podtrzymywał jej za ramiona. Głowa chwiała się jej na boki, oczy miała półprzymknięte. Zadrapania i opuchlizny pokrywały twarz, ręce i nogi. Wiuszkow wątpił, by jakaś część jej ciała nie została podobnie naznaczona. Używając kijów od szczotek jako prowizorycznych pałek jego ludzie brutalnie pobili ją trzy razy z rzędu. Z niesmakiem przyglądał się, jak na dziewczynę, zwiniętą na podłodze w pozycji

embrionalnej, z rękoma oplecionymi wokół głowy, spada grad ciosów. Czuł niechęć do siebie za podniecenie, jakie odczuwał słuchając jej krzyków. Brudna robota, miejmy nadzieję, że wkrótce będzie po wszystkim. W czasie trzeciego bicia w końcu się załamała i zaczęła sypać. Jan Dorvin. Imię nic mu nie mówiło, ale zawsze był to jakiś początek. Czekał teraz, aż wróci jej przytomność, żeby się dowiedzieć czegoś więcej.

— Ayla! Obudź się! Mów do mnie! – rozkazał.

Poruszyła się. Otworzyła oczy i próbowała skupić na nim wzrok.

— Chcę... wody... – wymamrotała przez opuchnięte wargi. – Dostaniesz wody, kiedy odpowiesz na moje pytania. Kim jest Jan Dorvin?

— Kobieta z nieba... przyszła do szpitala... dzisiaj. Brat James... Milo... ją przyprowadził.

— Milo? Kto to jest?

— Milo to brat James... to jego prawdziwe imię... tak powiedział.

— Jego prawdziwe imię? – powtórzył Wiuszkow, z rosnącym zaniepokojeniem.

— Więc gdzie znalazł tę kobietę, tę Jan Dorvin?

— Nie wiem. Ale myślę, że... starymi przyjaciółmi. Znali się... dawno temu.

Co? Jak to możliwe? To nie ma sensu. Brat James – Milo – pochodzi z Belvedere! Czy jednak na pewno? Wiuszkow już wcześniej zauważył, że nie jest podobny do innych znanych mu Belvederian.

— Kim dokładnie jest ta Jan Dorvin? – nalegał.

— Bardzo potężna... kobieta. Jest kobietą z nieba... najpotężniejszą... na Ziemi. Dowodzi... wielką flotą Władców Niebios... wielką armią...

Wiuszkow z przerażeniem patrzył na zmalretowaną dziewczynę.

— Gdzie ona jest? Gdzie ma swoją bazę? Gdzie ją można znaleźć? – krzyknął.

Jednak tym razem nie odpowiedziała. Wiuszkow skinął na żołnierza, który ją podtrzymywał. Mężczyzna puścił Aylę i dziewczyna wolno zsunęła się z krzesła.

— Żyje? – spytał Wiuszkow. Żołnierz przyklęknął i dotknął jej szyi. – Tak, panie kapitanie.

Zaraz potem wrócił porucznik Briuszkin.

— Nigdzie ani śladu brata Jamesa, kapitanie – oświadczył.

Kolejna niepokojąca wiadomość. Czy brat James – Milo – naprawdę był w zмовie z tą kobietą, Jan Dorvin? Czy odleciał z nią w maszynie? Wydawało się, że to jedyna prawdopodobna odpowiedź. Okazał się zdrajcą. Knuł przeciwko Wiuszkowowi. Bóg wie, co planowali zrobić oboje. Gwałtownie podniósł się z krzesła.

— Wracam na statek, poruczniku. Ze względów bezpieczeństwa.

— Jan? Jan?

— O co chodzi? – odparła zirytowana.

Właśnie śniła najpiękniejszy sen w swoim życiu. To niesprawiedliwe, że Phebus przerywa jej właśnie teraz.

— Nie będę cię długo męczyć. Muszę chwilę z tobą porozmawiać.

— Porozmawiać? – teraz Jan była lekko zdumiona. Wokół widziała jedynie łagodne błękitne światło. Wydawało się jej, że się unosi w powietrzu; zupełnie nie czuła swojego ciała. – Phebus, Phebus, gdzie ja jestem?

— W bezpiecznym miejscu. Odpręż się.

Jan czuła się odprężona. Całkowicie i absolutnie. Nigdy nie czuła się tak spokojna.

— Posłuchaj mnie – powiedziała Phebus. – Chcę, żebyś przypomniła sobie, dla mnie, wszystkie wydarzenia w czasie dzisiejszej wizyty w mieście. Wyobraź sobie każdą chwilę, z wyjątkiem ostatnich wydarzeń po tym, jak weszłaś do wody. Rozumiesz teraz, o co mi chodzi?

— Tak, Phebus.

— W takim razie zaczynaj. – I Jan ponownie zaczęła przeżywać wszystko, co zdarzyło się w Palmyrze. Kiedy weszła do wody, chcąc wrócić na *Maskotkę*, nagle z powrotem znalazła się otoczona niebieskim światłem.

— Dziękuję – powiedziała Phebus. – Wracaj do swoich marzeń. Jan usłuchała. Piękny sen trwał.

— Wiesz coś o Ayli? – wykrzyknął JeanPaul ledwie wyczerpany Steven, chirurg, wszedł do pokoju.

Lekarz ze zmęczeniem pokręcił głową.

— Nie, niestety nie.

— Ale to już ponad godzina! Musiało się jej coś stać! Pewnie leży gdzieś ranna. Musisz ją odnaleźć!

— Przykro mi, ale nie mogę opuścić moich pacjentów. Nie będę ryzykował życia bawiąc się w kotka i myszkę z oddziałami przybyszów. Musisz się z tym pogodzić, JeanPaul, Ayła albo została aresztowana, albo ją zastrzelili.

— Nie, nie wierzę! Nie wierzę! – protestował JeanPaul. – Do rana nic nie możemy zrobić... Z wyjątkiem jednego. – Podeszedł do łóżka Mila. – Mam zamiar uwolnić tego nieszczęśnika. Nie może tak dłużej leżeć. Nie przeżyłby tego. – Z kieszeni fartucha wyjął nożyce do cięcia drutu.

— Nie! – krzyknął JeanPaul. – Nie możesz tego zrobić! Pomyśl

o Ayli! Wpędzisz ją w poważne kłopoty!

— Myślę, że już jest w poważnych kłopotach – odparł lekarz, ściągając koc z owiniętego drutem ciała Mila.

— Zostaw go tylko na parę godzin – prosił JeanPaul. – Coś ma się wydarzyć przed świtem. Coś, co może całkowicie zmienić naszą sytuację tutaj, w Palmyrze!

Steven zaczął odwijać bandaż z głowy Mila.

— Jestem lekarzem, JeanPaul. Nie mogę stać i patrzeć, kiedy ktoś jest traktowany okrutnie, nawet jeśli to przybysz. – Wyjął knebel z ust Mila.

— Dziękuję, doktorze – powiedział Milo.

Kapitan Ilja Wiuszkow spędził niespokojną noc. Spacerował po mostku tam i z powrotem, ale jego wzrok nieodmiennie kierował się w stronę ekranów radarów. Cały czas utrzymywał kontakt z wieżą radarową w Palmyrze. Jak dotąd niebo było czyste, ale to go nie uspokajało. Zastanawiał się nawet, czy nie porzucić całego przedsięwzięcia i nie rozkazać swoim ludziom opuścić Palmyry tak szybko, jak to tylko możliwe. W głębi ducha nie chciał jednak tego robić. Myśl o powrocie do Karagangi, o hańbie i klęsce, była zbyt bolesna, żeby się nad nią zastanawiać. Nie, zbyt wiele miał do stracenia. Musi podjąć ryzyko i wytrwać.

— Idę skontrolować posterunki – oznajmił załodze na mostku. Raz jeszcze obszedł Christinę, sprawdzając stanowiska przenośnych dział promiennych i rzucając niespokojne spojrzenia w nocne niebo. Właśnie miał wracać do wnętrza, kiedy wybiegł mu na spotkanie adiutant, ściskając w dłoni krótkofalówkę. – Patrol znalazł brata Jamesa, kapitanie. Mówi, że musi się z panem pilnie skontaktować.

Podał mu nadajnik.

— Bracie Jamesie, czy jak się pan naprawdę nazywa, co pan do

cholery wyprawia? – spytał ostro Wiuszkow. Odpowiedź zakonnika zagłuszył głośny świst. Wiuszkow spojrział w górę i w następnej sekundzie zbiła go z nóg potężna eksplozja. Oszołomiony, na wpół ogłuszony, podniósł się na czworaki i zobaczył, że stanowisko ogniowe, które skontrolował przed chwilą, przestało istnieć. Rozrzucone wokół leżały dymiące fragmenty metalu i ceramiki. I szczątki ludzkich ciał.

Rozległ się kolejny gwizd. Potem następna eksplozja – po przeciwnej stronie statku. Wiuszkow podniósł się na nogi i pobiegł w stronę głównego włazu. Adiutant deptał mu po piętach. Zanim dotarł na mostek, rozległy się jeszcze dwa wybuchy. Zrozumiał, że wszystkie cztery stanowiska ogniowe na zewnątrz zostały zniszczone. Na mostku panowało zamieszanie i panika.

— Dlaczego nie strzelamy?! – ryknął kapitan poprzez zgiełk. – Dlaczego nie użyjecie dział statku?!!

— Nie widać żadnego celu! – odkrzyknął mu oficer. – Nic nie ma ani na radarze, ani na skanerze podczerwieni, systemy samonaprowadzające armat też nic nie pokazują!

Statek zakołysał się. Teraz on był celem. Ktoś zaczął odmawiać modlitwę. Wiuszkow przepchnął się do pulpitu sterowniczego i chwycił mikrofon.

— Kapitan Wiuszkow do całej załogi! Człowiek znany jako brat James ma zostać zastrzelony na miejscu! Powtarzam, zastrzelony na miejscu! – Statek zakołysał się znowu i zgasło światło. Milo nie wiedział, co się dzieje, ale bardzo mu się to nie podobało. Żołnierze z patrolu, który spotkał wychodząc ze szpitala, po prostu stali, kompletnie zaskoczeni, kiedy doleciały ich odgłosy kolejnych wybuchów.

— Kapitanie Wiuszkow? – zawołał przez krótkofalówkę, ale



nie działała. Rzucił bezużyteczne urządzenie na ziemię i z niepokojem patrzył w stronę lądu na rozbłyśki czerwonego światła. – To na pewno statek – powiedział. – Został zaatakowany. Tylko przez co? Odwrócił się z powrotem do żołnierzy, w sam czas, żeby zobaczyć, jak jeden z nich do niego strzela. Promień trafił go w pierś i wyszedł plecami. Milo nie rozumiejąc spojrział w dół, na dużą dziurę o dymiących brzegach, którą promień wypalił w jego ciele. – Kretyn – mruknął. Popatrzył na żołnierza. – Dlaczego, u diabła, to zrobiłeś?

Żołnierz i jego trzech towarzysze wpatrywali się w niego nie wierząc własnym oczom. – Rozkaz kapitana Wiuszkowa... właśnie przed chwilą... – powiedział z wahaniem, wskazując na swoją słuchawkę.

Milo ruszył w stronę patrolu zastanawiając się, dlaczego Wiuszkow chciał jego śmierci. Miał zamiar zabić ich wszystkich, ale przekonał się, że nie może poruszać się szybciej. Jego zdolności regeneracyjne zwiększono za pomocą techniki genetycznej w niezwykłym stopniu, ale nawet one nie były w stanie poradzić sobie z wewnętrznymi obrażeniami, jakich doznał. Ku swojemu zaskoczeniu poczuł, że słabną mu nogi. Upadł na kolana. Zaświtało mu, że umiera. – O do diabła! – mruknął. Wolno pochylił się do przodu, aż oparł się na rękach, ze zwieszoną głową. – To cholernie niesprawiedliwe! Najpierw te wszystkie lata w śmierdzącym Belvedere, a teraz to... – Żołnierze ostrożnie podeszli bliżej. Trzymali broń wymierzoną w niego. Milo podniósł głowę. – Wiecie, co jest w tym wszystkim najbardziej niesprawiedliwe?

Wymienili nerwowe spojrzenia, ale nie odpowiedzieli.

— Ani razu nie przeleciałem tej dziewczyny – powiedział i skonał.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

W szarym świetle poranka kapitan Wiuszkow próbował się dopatrzeć jaśniejszych stron w swoim położeniu. Jedynym wyjściem było pójść w krzaki i strzelić sobie w łeb. Wziął więc głęboki oddech, wyprostował się przed załogą i żołnierzami zebranymi obok statku i zaczął mówić, starając się, by jego głos brzmiał na tyle autorytatywnie, na ile było to możliwe w takich okolicznościach. – Nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać. Statek został uszkodzony, ale da się naprawić. W niecały miesiąc, jak mnie poinformowano. I chociaż mamy wiele ofiar, mogło być gorzej. – To prawda, gdyby to, co ich zaatakowało, celowało w cokolwiek poza działami, dawno byłoby już po nich. Tak samo było w mieście. Zniszczeniu uległy wszystkie stanowiska ogniowe i nic poza tym. Z wyjątkiem wieży radarowej. Zresztą ich radary również przestały działać. Jedyną dobrą wiadomością stanowiła informacja, że brat James nie żyje, został zastrzelony. Przynajmniej nie musi nim sobie zawracać głowy. – Nadal mamy broń ręczną i w dalszym ciągu kontrolujemy Palmyrę. – Jak długo jeszcze? – A kiedy to coś powróci, będziemy gotowi! Prawda!? – Żołnierze wpatrywali się w niego kamiennym wzrokiem.

Jeden z nich podniósł rękę.

— Przepraszam, kapitanie, ale jak pan sądzi, co to było?

Cholera!

— Mmm... jakaś prymitywna maszyna latająca zbudowana

przez Palmyrczyków. Mam zamiar przesłuchać dzisiaj mieszkańców miasta, żeby się dowiedzieć, gdzie znajduje się jej baza. Wtedy ją zaatakujemy i zniszczymy na ziemi.

Przerwał. Nikt się nie odezwał. Muchy irytująco brzęczały mu wokół twarzy. Odgonił je, czekając na odpowiedź. W końcu odezwał się jeden z żołnierzy, oschłym tonem, który doprowadzał Wiuszkowa do furii.

— A co jeśli to wróci, zanim zdążymy się przygotować, tak jak dzisiaj?

— Wtedy to zestrzelicie, człowieku! – warknął. – Macie broń, a w dziennym świetle będziecie to widzieć! Mówię w tej chwili do wszystkich!

— A jeśli to jest niewidzialne? – zapytał ktoś inny. – Nie bądź głu... – przerwał. Silna bryza, wiejąca znad oceanu, przyniosła ze sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się i próbował przebić wzrokiem poranną mgiełkę, unoszącą się w powietrzu. Daleko nad horyzontem dostrzegł jakiś niewyraźny kształt. Cokolwiek to było, było ogromne.

Dźwięk przybrał na sile. Kształt stał się wyraźniejszy.

— Chryste... – sapnął kapitan.

— Co to jest? – zapytał ktoś za jego plecami. – Władca Niebios – słabo odpowiedział Wiuszkow. Przez kilka długich chwil patrzył, jak ogromny upiorny biały sterowiec wynurza się z mgły, zahipnotyzowany jego widokiem. Siłą woli wyrwał się z transu. Odwrócił się do swoich ludzi, równie jak on przerażonych widowiskiem.

— W porządku! – krzyknął. – Zająć pozycje obronne! Kiedy znajdzie się w zasięgu strzału, otworzyć ogień! – Niektórzy poruszyli się, ale w tym momencie uwagę kapitana odwrócił jakiś ptak, który spadł na ziemię tuż przed nim. Była to papuga.

Przez chwilę słabo biła skrzydłami, po czym znieruchomiała. Wiuszkow patrzył na nią. Zdawało mu się, że los ptaka musi mieć ogromne znaczenie, ale nie potrafił powiedzieć, dlaczego...

I wtedy jego żołnierze zaczęli się osuwać na ziemię.

— Moje oczy... moje oczy... – jęczał JeanPaul. – Wszystko w porządku... jesteś już bezpieczny... wszystko będzie dobrze – powtarzał czyjś łagodny głos. Ayla. Otworzył oczy. Zobaczył światło. Białe światło. Podniósł ręce do twarzy. Je też widział. Widział! Na wspomnienie tego, co się stało, zadrzał konwulsyjnie. Milo, ledwie został uwolniony z więzów zażądał od JeanPaula, żeby powtórzył mu wszystko, co mówiła Jan Dorvin, kiedy on sam był nieprzytomny. JeanPaul odmówił, a wtedy Milo po prostu wydlubał mu lewe oko. Krzyk bólu sprowadził pielęgniarkę. JeanPaul nie widział, co jej Milo zrobił. Potem zagroził, że jeśli JeanPaul nie zacznie mówić, wydlubie mu drugie oko. Oszalały z bólu i strachu, powtórzył słowa Jan. Milo i tak go oślepił, po czym zostawił, leżącego w ciemnościach, bezradnego, wijącego się z bólu. JeanPaul krzyczał i krzyczał. Nie wiedział, ile czasu minęło zanim usłyszał głosy i poczuł na ręce ukłucie igły. Więcej nie pamiętał. Usiadł, przepełniony zdumieniem i ulgą. Przy łóżku stała Ayla. Była ubrana w długą do ziemi białą suknię z bawełny. JeanPaul zauważył, że ma na sobie podobny strój. Dziewczyna uśmiechała się promiennie. Rozejrzał się dokoła. Znajdowali się w ogromnej białej sali; wydawała się nie mieć końca. Stało w niej mnóstwo łóżek, w tym część zajętych, gdzieś widać było dziwne maszyny. Dopiero teraz uświadomił sobie, co przed chwilą zrobił. Usiadł! Boże, odzyskał czucie w nogach! Co to wszystko znaczy?

Rzucił Ayli błagalne spojrzenie.

— Proszę, nie mów mi tylko, że to halucynacja! Sen, w którym

spełniają się życzenia. A może umarłem i znalazłem tam, gdzie nigdy nie sądziłem, że się znajdę?

— Nic podobnego – odparła ze śmiechem.

— Więc gdzie jesteście?

— Na Aniele Niebios. Sterowcu Jan Dorvin. Chociaż nigdzie jej nie widziałam.

— Mimo wszystko nie rozumiem... Jestem zdrowy... i widzę.

— Co ci się stało w oczy?

— Milo – powiedział i skrzywił się. – Nie chcę o tym mówić. Jeszcze nie. Ale kto dokonał tych wszystkich cudów? – Mają tu te maszyny... – zaczęła Ayla wskazując na jedną, stojącą tuż obok. Był to duży biały cylinder z plastyku, obwieszony kablami i rurkami. – ...które służą do leczenia. Wiem, bo kiedy się obudziłam, właśnie się z jednej wysuwałam.

— Dlaczego cię...

— Przybysze mnie pobili. Dość mocno. Myślałam, że umrę. Próbowali wyciągnąć ze mnie informacje o maszynie Jan Dorvin.

— Powiedziałaś im?

— Tylko część. Zmyśliłam trochę, żeby ich dowódca miał sobie nad czym łamać głowę. Zdaje się, że się dał nabrać.

Poczuł się winny. Ona nic nie powiedziała, on – tak. Zresztą, żeby uniknąć oślepienia, gotów był zrobić wszystko. Absolutnie wszystko. Ostrożnie opuścił nogi na podłogę i wolno wstał. Czuł się dobrze, może tylko trochę słaby. Uśmiechnął się do Ayli, która w odpowiedzi objęła go w pasie i pocałowała.

— Wiesz może, co się zdarzyło tam, w dole, kiedy przyleciał sterowiec? – spytał.

— Nie – odparła. – Pytałam ludzi tutaj, ale nic nie pamiętają.

Wiesz, są tutaj również przybysze. I twoi rodacy. – Moi ludzie? – powtórzył zaskoczony. – Ale przecież zostali wygnani na teren

objęty zarazą.

— Mówiłam o tych poparzonych, ze szpitala. Zostali zupełnie wyleczeni, tak jak ty. Żadnych blizn ani nic. Są gdzieś tam – wskazała ręką.

— Później z nimi pomówię. Najpierw chcę się dowiedzieć, jak się sprawy mają. Chodź, poszukamy Jan.

Ayla potrząsnęła głową.

— Nie możesz stąd wyjść. Paru już próbowało bez skutku.

— Co ich zatrzymało?

— Te roboty – powiedziała dziewczyna, oglądając się przez ramię. Spojrzał i omal nie krzyknął. Przejściem zbliżał się szurając mechaniczny pająk. JeanPaul popchnął dziewczynę za siebie i zaczął się rozpaczliwie rozglądać w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć za broń. Za jego plecami Ayla roześmiała się, dotknęła jego ramienia.

— Spokojnie, nie robi ci krzywdy. To nasza pielęgniarka. – Pielęgniarka? Oszalałaś? – wykrzyknął, z oczyma utkwionymi w zbliżającego się pająka. – To pająk!

Robot zatrzymał się przed nim.

— Dobry wieczór, JeanPaul. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. Jeśli miałbyś ochotę coś zjeść lub wypić, przedstaw proszę swoje życzenie. – Mówił kobiecym głosem, ale dzięki Bogu w niczym nie przypominał on głosu Ashley. JeanPaul mógł jedynie bez słowa gapić się na robota, który budził w nim tak wiele okropnych wspomnień. Ayla szturchnęła go w bok.

— Dalej, powiedz, co byś chciał.

JeanPaul przełknął ślinę.

— Eee... Napiłbym się kawy. Czarnej.

— Proszę bardzo. Za chwilę wrócę – powiedział pająk i odszedł pośpiesznie. JeanPaul patrzył za nim, potem zwrócił się do Ayli. –

Czy aby na pewno nie kłamałaś, kiedy mówiłaś, że żyję? Jan obudziło brzęczenie. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje, potem zorientowała się, że jest we wnętrzu maszyny medycznej. Dlaczego? Ach, tak, odgryzła sobie koniec języka. Ale to już chyba zostało wyleczone...?

Kłapa maszyny odskoczyła i łoże, w którym się znajdowała, zaczęło się wysuwać. Nogami naprzód wjechała w białe światło. Uśmiechnęła się na widok czekającego Robina, zdumiona wyrazem ogromnej ulgi, z jakim patrzył na jej ciało. Podniosła się na łokciach. – O co chodzi? Boisz się, że maszyna mogła pożreć którąś z twoich ulubionych części?

Robin skrzywił się.

— Nie pamiętasz?

— Czego?

— Nieważne. – Pochylił się i pocałował ją. – Jak się czujesz? – Dobrze – odpowiedziała. – Jak się lepiej zastanowić, solidnie napalona – dodała po chwili. Objęła go za szyję i opadła na łóżko, próbując pociągnąć za sobą. Robin łagodnie wyswobodził się z jej ramion. Wyprostował się. – Zrobiłbym to z największą przyjemnością, ale nie mamy czasu. A poza tym, to nie jest najwłaściwsze miejsce. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie jesteśmy sami. Jan usiadła. Robin mówił prawdę. W przestronnej sali medycznej rzeczywiście znajdowali się inni ludzie.

— Kim oni są? Skąd się tu wzięli?

— Z Palmyry. To głównie Palmyrczyki, jest też kilku przybyszów, a nawet paru ocalonych z *Władcy Montcalma*. – Wskazał na łóżko obok maszyny medycznej. Jan zobaczyła na nim swoje rzeczy, równo złożone na kupkę. – Lepiej się ubierz. Wiele się zmieniło. – Tak, proszę pana. – Wstała i podeszła do łóżka. – Powiesz mi, dlaczego się znalazłam w tej maszynie?

Ostatnie, co pamiętam to... – Przerwała, wpatrując się w halkę, którą właśnie miała włożyć. – Właściwie ostatnie, co pamiętam, to jak wyruszyliśmy razem na *Maskotce* do Palmyry. Potem już nic. Kiedy to było? – Przedwczoraj w nocy.

— Bogini Matko! – przyłożyła rękę do czoła. – Całe dwa dni... – Większość czasu spędziłaś w maszynie. Miałaś poważny wypadek, kiedy opuszczałaś Palmyrę.

— Jak poważny?

— Bardzo.

Jan zerknęła na niego podejrzliwie, opuściła halkę na łóżko i popatrzyła w dół na swoje ciało. Uważnie przyjrzała się dłoniom, po czym przyłożyła prawą rękę do piersi. – Oprócz tej ręki cała jestem różowa jak niemowlę.

— Ubierz się już, dobrze? – odparł z westchnieniem.

— Powiedz prawdę, co się ze mną działo?

Nabrał oddechu.

— Zostałaś zabita, Jan.

— Och – sapnęła, siadając na łóżku. – Aż tak poważnie, co? – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oszczędzę ci drastycznych szczegółów. Phebus usunęła je z twojej pamięci. W mojej, niestety, się zachowały.

— Widzisz, to Jan Dorvin! Mówiłam, że to ona!

Jan odwróciła się i zobaczyła jakiegoś mężczyznę i młodą dziewczynę. Oboje mieli na sobie standardowe białe koszule. Dziewczyna była bardzo ładna, mężczyzna – smukły i przystojny. To dziewczyna się odezwała. Wyglądała dziwnie znajomo.

— Czy my się znamy? – spytała Jan. Zdała sobie sprawę, że jest zupełnie naga, zerwała się i zaczęła się pośpiesznie ubierać. – Pewnie, że tak – odparła dziewczyna. – W szpitalu w Palmyrze.

Pamiętasz, prawda? Uratowałaś mi życie. Milo byłby mnie



zabił. Jan narzuciła tunikę. – Milo, mówisz? To on uciekł z Anioła Niebios?

— Nic nie wiem o Aniele – odezwał się mężczyzna – ale rzeczywiście uciekł ze szpitala, kiedy wyszłaś. A zanim to zrobił, ten potwór... on... – nie mógł mówić dalej.

Jan przyglądała mu się zaintrygowana. On również wydawał się znajomy. Na wspomnienie o Milu jakaś klapka otworzyła się w jej głowie. Tak, był jakiś Milo... na tej ciemnej plaży, ale nie jej Milo. Powoli wszystko wracało. Nie, nie wszystko. Pamiętała, jak weszła do wody i zaczęła płynąć, a potem... nic. Uśmiechnęła się do nich. – Pamiętam was teraz i pamiętam, co się stało – zerknęła przelotnie na Robina – Nie do końca, oczywiście.

— Cieszę się, że jesteś cała – powiedziała Ayla. – Naprawdę się o ciebie martwiłam. Zapomniałam cię ostrzec przed tymi stworami. – Jakimi stworami?

— Wystarczy – przerwał im szybko Robin. – Żadnych więcej rozmów na ich temat, proszę. – Spojrzał ostrzegawczo na Aylę. Nie rozumiała, o co mu chodzi, ale umilkła.

— W porządku, w takim razie porozmawiajmy o nas – powiedział JeanPaul. – Co teraz będzie? Co się stało w Palmyrze? Co z przybyszami?

Jan wzruszyła ramionami.

— Mnie o to nie pytaj. Właśnie się obudziłam. Robin, a ty co wiesz?

— Niewiele. Wiem, że Palmyra jest we władzy Phebus. Przy pomocy *Maskotki* zniszczyła działa przybyszów i uszkodziła ich statek. Potem sprowadziła Anioła Niebios na wybrzeże i uśpiła wszystkich za pomocą jakiegoś gazu. Na koniec wypuściła mnóstwo pajaków. Rozbroiły śpiących przybyszów i teraz pilnują wszystkiego. Przybysze zostali otoczeni, oddzielono ich od

Palmyrczyków. – Chciałabym tylko wiedzieć, co knuje ten drugi Milo – powiedziała Jan. – Nie zasnę spokojnie, dopóki go nie zamkną, jak naszego.

— Wiele bym dał za wiadomość, że nie żyje – dodał mściwie JeanPaul.

— Martwię się o tatę – odezwała się Ayla. – Kiedy będziemy mogli iść do domu?

— Nie mam pojęcia – wyznała Jan – ale nie widzę powodu, żeby Phebus miała was tu dłużej trzymać.

— I nadal nie wiesz, jakie ma dalsze plany względem Palmyry? – zapytał JeanPaul.

— Nie. Może spróbujemy ją zapytać... Phebus, słyszysz nas? Jesteś tu?

Phebus zmaterializowała się przed Jan, przerażając tym zarówno Aylę, jak i JeanPaula.

— Tak, Jan. To zrozumiałe, że jesteście ciekawi swojej przyszłości i losu innych ludzi na Ziemi. Więc słuchajcie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jan poczuła nagle, że to, co Phebus ma do powiedzenia, nie będzie się jej podobało. Wkrótce się przekonała, że miała rację.

— Jak wiedzą już Robin i Jan – zaczęła Phebus – mam zamiar zniszczyć zarazę we wszystkich postaciach i sprawić, żeby Ziemia znowu stała się miejscem nadającym się do życia. Dzięki próbkom, które zebrałam, będę mogła skonstruować broń biologiczną, działającą specyficznie, na każdy gatunek z osobna. Wiele gatunków zostanie bezpośrednio zniszczonych, inne staną się bezpłodne, jeszcze inne przestaną być niebezpieczne dla ludzi. Broń będzie miała postać organizmów podobnych do wirusów, zawierających odcinki zmodyfikowanego DNA. Każdy wirus zostanie skonstruowany w taki sposób, żeby atakował tylko jeden, konkretny gatunek. Kiedy zaraza zniknie z powierzchni planety, zacznę odbudowywać jej ekosystem w formie, jaką miał przed Erą Industrialną. Na Aniele Niebios znajduje się dobrze zaopatrzony bank genów, co pozwoli mi odtworzyć wszystkie formy życia, roślinne i zwierzęce, które kiedyś występowały na Ziemi.

— Nie chcę, abyś pomyślała, że nie jestem ci wdzięczna – przerwała jej Jan – ale jeszcze raz muszę zapytać, dlaczego to robicie.

Nie rozumiem, jaki to ma związek z waszym podstawowym celem, z ochroną Elojów.

— Istnieje taki związek.

— Ale dlaczego? – powtórzyła Jan, zirytowana. – I jeśli tak jest, to czemu nie zaczęliście działać wiele lat temu, zanim zaraza tak się rozpanoszyła?

— Sytuacja się zmieniła.

— W jaki sposób?

— Stwierdziliśmy, że największym zagrożeniem dla Eloiów jest ludzkość. W osiedlu pod lodowcem byli zabezpieczeni przed każdym innym niebezpieczeństwem, ale zawsze istniała możliwość, że pewnego dnia inni ludzie zlokalizują Shangri La. – Więc dlaczego nie zniszczyliście resztek ludzkiej rasy? – spytał Robin.

— Program Etyczny zakazuje zniszczenia w sposób bezpośredni jakiegokolwiek człowieka – odparła Phebus.

— Ach tak. Ale pozwalała wam siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy przez całe stulecia ludzkość wygodnie wymierała w nierównej walce z zarazą – gorzko stwierdziła Jan.

— Składanie na nas winy nie ma sensu; robimy tylko to, co przewiduje program. Program stworzony przez waszych ludzkich przodków, którzy stali się Eloiami.

— Twierdzisz, że nie zabijacie ludzi – powiedział Robin – ale kiedy *Maskotka* zaatakowała miasto i statek przybyszów, zginęło kilkanaście osób, wiem na pewno.

— Nie celowałam do nich, tylko w stanowiska dział. Ich śmierć była nieszczęśliwym wypadkiem.

— Uważaj, Phebus – ostrzegła Jan – zaczynasz przejawiać bardzo ludzką cechę: skłonność do dzielenia włosa na czworo. – Mam mówić dalej?

— Ależ tak, oczywiście – ostro odparowała Jan. – Powiedz nam, co się stało, że zdecydowaliście się wyjść ze skorupy. – Przybycie tego statku nad Shangri La i podjęta przez Mila próba wytopienia

sobie drogi do osiedla. Te dwa zdarzenia oznaczały, że musimy zmienić taktykę, żeby zapobiec podobnym wydarzeniom w przyszłości.

— A zniszczenie zarazy dla dobra ludzkości ma być częścią tej nowej taktyki? – spytała Jan.

— Nie tylko zniszczymy zarazę, mamy również zamiar zmodyfikować rasę ludzką.

Słowa Phebus zawisły w powietrzu, złowieszcze i niechciane. To właśnie to, pomyślała Jan. Tego właśnie nie chciałam usłyszeć.

To JeanPaul zadał w końcu pytanie: – Co to znaczy zmodyfikować?

— Trzeba będzie zmienić was, aby ochronić Elojów. Żeby usunąć wszelkie możliwe zagrożenie ze strony ludzkości. Ale nie bójcie się, zmiany, które zajdą w waszym charakterze, nie będą wam przeszkadzały. I wasze życie stanie się o wiele szczęśliwsze niż obecnie. Jan poczuła, jak kurczy się jej żołądek.

— Bogini Matko, chcesz nas zmienić w Elojów!

— Co to za Eloje, o których ciągle mówicie? – nerwowo dopytywała się Ayla.

— Nie, nie staniecie się Elojami – powiedziała Phebus. – Dokonamy jedynie niewielkich zmian w waszym DNA.

— Nieważne, jak mają być małe, ja ich nie chcę! – krzyknęła Jan. – Obawiam się, że nie masz wyboru – odparła Phebus. – Nie możemy nadal dbać o Elojów, jeśli zostawimy ludzkość w obecnym stanie.

— Na czym dokładnie będą polegać te zmiany? – zapytał Robin. – Przede wszystkim dotyczą waszego wrodzonego instynktu agresji. Rozwiążą problem, który gnębił wasz gatunek od dziesiątków tysięcy lat. Rozpoznaliście ten problem na poziomie intelektualnym i od najdawniejszych czasów

wprowadzaliście zakazy religijne i prawa społeczne, żeby sobie z nim radzić. Zwykle wystarczały one, żeby stworzyć, jakkolwiek nieefektywny, ale stały kodeks postępowania w społeczeństwie, okazały się jednak nieskuteczne w wypadku kontaktów z tymi członkami waszego gatunku, którzy byli uważani za stojących poza daną społecznością czy grupą. Głosicie ideały o świętości ludzkiego życia tylko w teorii. Wasze małpie „ja”, leżące nie tak znowu głęboko pod powierzchnią psychiki, odrzuca je bez chwili wahania, kiedy zagrożone jest wasze życie, rodzina, plemię, rasa, religia, naród, klasa, kasta, czy choćby płeć. W tym momencie dosłownie „odczłowieczacie” swoich oponentów, co usuwa nałożone na was moralne więzy i pozwala dopuścić się najgorszych okrucieństw na innych ludziach. Zawsze to robiliście i zawsze będziecie to robić, jeśli my was nie zmienimy.

— Więc twoim zdaniem nadal jesteśmy po prostu małpami, mimo wszystkiego, co osiągnęliśmy? – zapytał JeanPaul ze złością. – Jedyne, co osiągnęliście, JeanPaul – odparła Phebus – to prawie całkowite zniszczenie swojego gatunku i całej planety. Pozostawieni sami sobie, bez wątpienia dokończycie dzieła. Tak, w dalszym ciągu jesteście małpami. Genetycznie prawie się nie różnicie od szympanów. To, co was od nich dzieli, to tylko niewielkie różnice w DNA. Przyznaję, że te niewielkie różnice są decydujące. Dzięki nim wasz gatunek osiągnął wielki sukces. Szybki rozwój zdolności intelektualnych i wytworzenie języka zapewniły wam ogromną przewagę. Potraficie przekazywać z pokolenia na pokolenie złożoną informację, zdobytą na drodze doświadczenia. To pozwoliło wam szybko dostosowywać się do zmian – i zagrożeń – w środowisku, bez potrzeby poddawania się powolnemu procesowi naturalnej selekcji. Przestaliście podlegać jej prawom – przestaliście ewoluować, z wyjątkiem nieznaczących

modyfikacji, jak różnice koloru skóry, kiedy adaptowaliście się do różnych klimatów w miarę zajmowania nowych obszarów.

I na tym polega wasz problem. Inteligentna, wysoce agresywna małpa, znakomicie przystosowana do życia w prehistorycznym, prerolniczym świecie, stała się anachronizmem, kiedy ten świat został gęściej zaludniony przez jednostki, tworzące coraz bardziej złożone społeczności i, z czasem, coraz bardziej złożone technologie. W tym nowym świecie, który stworzyliście, powinien być powstać nowy człowiek, ale ponieważ wy uodporniliście się na presję ewolucyjną i kontrolowaliście środowisko, okazało się to niemożliwe. – Więc masz zamiar odwalić tę robotę za nas, tak? – spytała Jan.

— Pogonić nas trochę wyżej na ewolucyjnym drzewie? – Drzewo nie jest dobrą analogią procesu ewolucji. Tak, mam zamiar was zmienić. Będziecie mieć genetycznie wdrukowany kodeks moralny.

— Kodeks napisany przez ciebie, program komputerowy? – drwiąco zapytał JeanPaul.

— Sądzę, z całym szacunkiem dla was, że okaże się o wiele lepszy niż napisany przez jakiegoś człowieka – powiedziała Phebus. – Ja jestem całkowicie neutralna.

— Bogini Matko – jęknęła Jan, wyobrażając sobie niekończącą się listę wdrukowanych przykazań, których nie można złamać... „Przykazanie numer trzysta pięćdziesiąt cztery: NIGDY NIE MÓW Z PEŁNYMI USTAMI; przykazanie numer trzysta pięćdziesiąt pięć: NIE ZOSTAWIAJ NIC NA TALERZU”... szczególnie znienawidzone w dzieciństwie. – Jaka długa ma być ta lista reguł?

— To nie żadna lista. Zmiana będzie polegać głównie na

podwyższeniu zdolności empatii. W efekcie nie będziecie zdolni popełnić żadnego czynu, który mógłby prowadzić do śmierci lub cierpienia innego człowieka – poważnie odpowiedziała Phebus. Jan zmarszczyła brwi.

— Będzie mnóstwo problemów, jeśli zostaniemy biologicznie zmuszeni, żeby trzymać się tego co do litery – W pewnych okolicznościach może to mieć skutek odwrotny do zamierzonego. Na przykład, co się stanie, jeśli trzeba będzie kogoś zabić, aby uwolnić go od zbyt wielkich cierpień? Albo w sytuacji, kiedy życie matki będzie zależało od przeprowadzenia aborcji?

— Takie wypadki zostały również wzięte pod uwagę. Sposób postępowania będzie wtedy zależał od oceny sytuacji przez jednostkę lub grupę jednostek. Nie stanięcie się bezmyślnymi robotami. – Skoro ty tak mówisz, nie byłabym tego pewna – odparła Jan. – Ale w ten sposób odbierasz nam najbardziej podstawowe prawo człowieka – zaproponował JeanPaul, który został wychowany w katolicyzmie. – Prawo wyboru między dobrem a złem. Daną od Boga wolną wolę.

— Nie ma czegoś takiego jak prawa podstawowe, poza arbitralnie ustanowionymi, tymczasowymi prawami tworzonymi przez ludzkie społeczności – powiedziała Phebus. – I nie istnieje wolna wola w takim sensie, jak myślisz. Prawdę mówiąc, nie istnieje też dobro i zło w takim sensie, jak...

— ...ty to rozumiesz. Oczywiście – dokończył JeanPaul z goryczą. – Czujecie się urażeni. Spodziewałam się tego. Ale, jak mówiłam, zmiana, kiedy się już dokona, nie będzie wam przeszkadzała. Na przykład strach wzbudza agresję; odtąd więc będziecie go rzadziej odczuwać.

— Strach jest nieodzowny dla przeżycia – wskazała Jan. – Powiedziałam, że będziecie go odczuwać rzadziej. Zachowacie



zdolność odczuwania strachu w razie prawdziwego niebezpieczeństwa.

— W dalszym ciągu mi się to nie podoba – powiedziała Jan kręcąc głową.

— Posuwamy się tylko krok dalej w modyfikowaniu waszego DNA niż robiliście to sami w połowie dwudziestego pierwszego stulecia, kiedy stworzyliście Główny Wzorzec. Wy zwiększyliście długość życia, poprawiliście układ odpornościowy. Zmieniliście się nawet pod względem psychologicznym: wyeliminowaliście chroniczne depresje i tak przekształciliście swoje mózgi, że stały się odporne na wirusy i uszkodzenia genetyczne wywołujące schizofrenię... całkowicie wytepełiliście tę chorobę. A twoi przodkowie, Jan, w pierwszych latach Minervy, poszli jeszcze dalej. Kobiety stały się wyższe i bardziej podobne do mężczyzn pod względem emocjonalnym, podczas gdy mężczyźni – niżsi, nieagresywni i mniej nastawieni na współzawodnictwo. Krok we właściwym kierunku, ale zbyt mały.

— Bogini Matko! – sapnęła Jan. – To ja wam podsunęłam ten pomysł, prawda? Te wszystkie pytania Davina o Minervę i minerviańskich mężczyzn!

— Rzeczywiście, wniosłaś użyteczny wkład w stworzenie planu – przyznała Phebus. – Twoje uwagi o mutantach skłoniły nas do stworzenia niezawodnej jednostki genetycznej, która zapobiegnie w przyszłości mutacjom w przekształconym DNA. Jednak zawsze rozważaliśmy możliwość wprowadzenia zasadniczych zmian do rasy ludzkiej, gdyby stała się ona zagrożeniem dla Elojów. Z tego względu stworzyliśmy w celach badawczych pewną liczbę ludzkich jednostek o cechach sprzed wprowadzenia Głównego Wzorca. Zdecydowaliśmy się na to ze względu na krótki czas ich życia – Phebus zwróciła się do Robina.

– Ty byłeś ostatni, Ryn.

Robin wyglądał na zaskoczonego.

— Ale przecież mówiliście, że powstałem na skutek błędu w laboratorium rozrodczym...

— My nigdy nie popełniamy błędów. Stanowiłeś dogodny obiekt badań w końcowej fazie eksperymentu, ale zanim uciekłeś na *Maskotce*, byłeś bliski osiągnięcia stadium, w którym, dla bezpieczeństwa Elojów, musielibyśmy cię bezustannie trzymać na lekach uspokajających.

Robin ciężko opadł na łóżko.

— Nie wierzę! To znaczy, że będę żył tylko sześćdziesiąt-siedemdziesiąt lat... że się zestarzeję?

— Przystosujemy cię do Głównego Wzorca, jeśli sobie tego życzysz.

— Tak... tak – potwierdził pośpiesznie, zerkając na Jan. – Proszę.

Jan podeszła i usiadła obok niego. Wzięła go za rękę.

— Wszystko w porządku?

— Tak, tylko... to był straszny szok. Przez te wszystkie lata myślałem... – Pokręcił głową. – Byłem dla nich cholerną świnką morską! – I kimś, kogo się trzyma na lekach uspokajających – dodała Jan. – To dlatego nie wyleczyli cię całkowicie, kiedy cię przywiozłam na *Maskotce*. Zabawne, że nagle odzyskałeś potencję, ledwie opuściliśmy osiedle...

— Prawda – przyznała Phebus. – Wiedząc, że opuszcza Shangri La i prawdopodobnie już nie wróci, dyskretnie przywróciliśmy mu męskość.

Jan spojrzała na Phebus płonąącym wzrokiem.

— I to ty masz poprawiać naszą moralność! Umrę ze śmiechu. A wszystko dla tych śmierdzących elfów spod lodowca.

Niedobrze mi się robi.

— Spojrzysz na to inaczej... po wszystkim.

— Tak, nie wątpię – powiedziała Jan nieufnie. – Więc oprócz większej zdolności do empatii i obniżonego poczucia lęku, jakie będą te inne nieznaczące zmiany?

Wydawało się, że Phebus waha się z odpowiedzią. Jan bardzo się to nie podobało.

— Żeby osiągnąć pożądany efekt, jeśli chodzi o empatię i obniżenie agresji, konieczne będzie zmniejszenie waszej skali emocjonalnej. Jakby to powiedzieć, obcięcie jej z obu końców. – Czy mogłabyś, jakby to powiedzieć, wyrażać się nieco ściślej? – spytała Jan sarkastycznie.

— Wasze przeżycia staną się mniej intensywne – odpowiedziała Phebus. – Nie będziecie doświadczać krańcowych namiętności. Bez wątpienia wpłynie to na wasz sposób przeżywania emocji, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych.

— Innymi słowy, masz zamiar stępić nasze uczucia – powiedział Robin oskarżycielsko.

— To twoja interpretacja, nie moja – odparowała Phebus. – Moja również – włączyła się Jan. – Więc kiedy ma nastąpić ta kretyńska przemiana?

— W twoim wypadku, i wszystkich tu na pokładzie, już się rozpoczęła. Zostaliście zakażeni syntetycznym wirusem. Zmiana będzie stopniowa i potrwa trzy miesiące.

— Już w nas jest? – powtórzyła Jan, wstrząśnięta. – O Bogini Matko... – mocniej ścisnęła dłoń Robina.

— Wirus wkrótce zostanie rozpylony w powietrzu, żeby zakazić tych, którzy znajdują się na Ziemi. Przybysze przeniosą go do osiedli na orbicie i marsjańskich kolonii, kiedy ich statek zostanie naprawiony. Rozkazy przekazane im w głębokiej

hipnozie dadzą nam gwarancję, że odwiedzą wcześniej czy później wszystkie zamieszkane przez ludzi obszary w przestrzeni. Ja na Aniele Niebios dotrę do wszystkich miejsc na Ziemi, żeby zainfekować resztę populacji. Jan nie wiedziała, jaki będzie efekt, ale czuła, że musi to zrobić, choć był to jedynie gest. Wstała, podeszła do Phebus i z całej siły uderzyła ją pięścią w usta. Rozległ się przyjemny dźwięk, kiedy kostki dłoni natrafiły na ciało. Phebus zatoczyła się do tyłu i wylądowała na siedzeniu. Możliwe, że było to tylko złudzenie wygenerowane w jej mózgu przez komputer, ale mimo to widok Phebus siedzącej na podłodze, ze zdumieniem malującym się na twarzy i krwią ciekącą z rozciętej wargi, sprawił Jan prawdziwą przyjemność.

- Po prostu musiałam to zrobić, ciągle miałam ochotę spróbować
- powiedziała Jan, rozcierając bolącą rękę.

## EPILOG

Na plaży siedziała Jan z sześciomiesięcznym dzieckiem Ayli na podołku. Ayła nadała mu imię Lon, na pamiątkę po swym nieżyjącym ojcu. Lon Haddon senior zmarł wkrótce po rozstrzygających wydarzeniach sprzed osiemnastu miesięcy, więc ominęła go tak zwana „zmiana”...

Nic się nie zmieniłam – powiedziała sobie w duchu Jan. Od chwili, kiedy się dowiedziała, że nosi w sobie wirusa, powtarzała to sobie kilkanaście razy dziennie. Przez wiele miesięcy kładła się spać zastanawiając się, czy wstanie jako ktoś zupełnie inny. A kiedy się budziła, leżała analizując powoli swoje uczucia, próbując wykryć czy nie nastąpiły w niej jakieś zmiany. Nigdy się to jej nie udało. Ale...

— Cześć, Jan!

Odwróciła się. Plażą nadchodził Milo. Miał na sobie jedynie szorty, jego blade dawniej ciało było mocno opalone. – Cześć.

Usiadł obok na piasku i połaskotał Lona w pięty.

— Ładny dzień, prawda? – powiedział.

— Tak jakby wszystkie nie były ładne – odparła kwaśno.

Milo roześmiał się.

— Nadal walczysz, co?

Nie odpowiedziała.

— Wcześniej czy później będziesz musiała stawić temu czoło.

Zmieniłaś się tak samo jak wszyscy. Nie jesteś już taka jak kiedyś.

— Jestem.

— Spójrz na mnie; w końcu się z tym pogodziłem. A przecież w

moim wypadku zmiana była największa. Różnica między tym, czym jestem teraz i czym kiedyś byłem, jest zbyt duża, żeby ją zignorować.

— Tak, przyznaję, że się zmieniłeś – powiedziała ze znużeniem.

— Nie jesteś już takim... takim... – urwała.

— Potworem? – spytał i zachichotał. – W porządku, wiem, co myślisz. Kiedy sobie przypominam, w jaki sposób myślałem... jak się odnosiłem do innych... przechodzi mnie dreszcz. A mimo to równocześnie jakaś część mnie nienawidzi „zmiany”. Czuję wstręt do tego, czym byłem, ale wiem, że to było moje prawdziwe ja. Teraz jestem jedynie rezultatem modyfikacji wprowadzonych do moich genów przez ten cholerny program. I uczucie niechęci szybko blaknie, i wiem, że niedługo będzie mnie to głównie obchodziło. Tak samo stanie się z tobą. Na dłuższą metę nikt nie będzie się tym przejmował. – Wzruszył opalonymi ramionami.

— Ja będę. Zawsze – zaprotestowała. Spojrzała na niego. – Powiedz szczerze, czy widzisz we mnie jakąkolwiek zmianę? – Na pierwszy rzut oka nie – przyznał.

— No właśnie! – powiedziała tryumfalnie.

— Och, daj spokój, musisz zdawać sobie sprawę z niewielkich różnic!

Pokręciła głową. Dziecku odbiło się, powiedziało coś do siebie.

— A jak tam Robin? – spytał Milo.

— W porządku – odparła ostrożnie. – Czemu pytasz?

— Z czystej ciekawości. Więc wasze stosunki się nie zmieniły?

— Oczywiście, że nie – powiedziała, ale w jej głosie brakło przekonania.

Milo natychmiast to dostrzegł.

— A więc jednak jest inaczej. To dlatego, że się oboje

zmieniliście. Brakuje dawnej namiętności. Pewnie, nadal się lubicie i sypiacie ze sobą, ale nie ma w tym dawnego ognia.

— Wcześniej czy później dzieje się tak w każdym związku.

— Prawda, aleja nie o tym mówię. Miewasz jeszcze orgazmy?

Pytanie ją zaskoczyło. – Hmm... tak, wydaje mi się...

— Wydaje ci się? – zapytał, uśmiechając się.

— Tak, mam orgazmy – powiedziała nerwowo. – Tyle tylko, że... – Nie są takie, jak dawniej, wiem – skinął głową. – Brak im intensywności. To samo ze mną. Ta dziewczyna, z którą się ostatnio prowadzam, Juli, przyjaciółka Ayli... no cóż, sypiamy ze sobą i jest fajnie. W porządku. I to wszystko. Żadnej namiętności. Nie to, co dawniej...

— Juli powinna za to dziękować niebu – stwierdziła Jan sucho.

— Daj spokój, wiesz, o co mi chodzi. Seks nie jest taki jak kiedyś.

I sama to przyznajesz. A przecież to nie dotyczy tylko seksu. Jan westchnęła. Obwiniła o to Robina, ale domyślała się, że ona też jest nie w porządku. Po prostu nie pragnęła go tak, jak kiedyś. Pożądała go, ale – jak mówił Milo – czegoś w tym brakowało. Było dokładnie tak, jak przepowiadała Phebus: „Nie będziecie doświadczać krańcowych emocji”, a mimo to Jan ciągle nie mogła się zmusić, żeby zaakceptować ten przerażający fakt. – Nasze uczucia zostały stępione – mruknęła, przypominając sobie słowa Robina.

— Tak – zgodził się Milo. – Odebrali wszystkiemu ostrość. Jedną z podstawowych rzeczy, która czyniła nas ludźmi. Czy, jak by powiedział JeanPaul, usunęli grzech pierworodny. Zastanawiam się, w jaki sposób to wpłynie na naszą rasę w przyszłości. Może i przestaliśmy stanowić zagrożenie dla siebie nawzajem, ale jeśli kiedykolwiek spotkamy się z prawdziwą

konkurencją, wątpię, żebyśmy przetrwali jako gatunek. Będzie nam brakowało dawnej przebojowości, staniemy się łatwym łupem. Nie znaczy to, że się przejmę, kiedy to nastąpi. Pójdziemy na dno z tym idiotycznym uśmiechem na twarzach... – Wstał, otrzepał szorty i przeciągnął się. – Zdaje się, że zaraz będziesz miała spokój z niańczeniem. Ayla tu idzie.

Jan podniosła wzrok i zobaczyła, jak łódź Ayli przepływa przez wewnętrzne ogrodzenie. Wrota były teraz stale otwarte, wkrótce miano je rozebrać.

— A jak twoja łódź? – zapytała. Milo budował ją od miesiący. Miał zamiar popłynąć wzdłuż wybrzeża i zobaczyć, jak się sprawy mają na południu kraju – i czy cokolwiek się tam dzieje. Mówił, że zostanie wędrownym emisariuszem Palmyry.

— Powoli, bardzo powoli – odpowiedział. – Jak wszystko w ostatnich czasach. – Zszedł na skraj wody, żeby pomóc Ayli i Juli przycumować łódkę. Patrząc na niego Jan zdała sobie sprawę, że tęskniłaby za nim, gdyby rzeczywiście wyruszył w podróż. Teraz nawet go lubiła.

Wcale się nie zmieniłam, powtórzyła w myślach.

Ale narastały w niej wątpliwości.